

JoAnn Ross

*Trzydzieści nocy*

## ***Prolog***

*Cambridge, Massachusetts*

Pełen zieleni campus Instytutu Techniki w Massachusetts (MIT), położonego nad brzegiem Charles River, mógłby się przygodnemu gościowi wydać zaciśzną polaną. Jednakże pozory myliły – wewnątrz sześćdziesięcioletniego, porośniętego bluszczem budynku z czerwonej cegły toczyła się zażarta walka.

Hunter St. John był wystarczająco wściekły, by zabić człowieka, którego nieopatrznie uznał za swojego mentora. W epoce kamiennej, złapałby pierwszą z brzegu maczugę i walnął nią w głowę George'a Cassidy. Ponieważ jednak cywilizacja ma swoje prawa, zmuszony był walczyć jedynie słowem.

– Ukradłeś moje badania i wykorzystałeś jako własne.

– Ty znowu swoje. Tragizujesz. – Cassidy stanowczym gestem dłoni dał do zrozumienia, że nie zamierza tego słuchać. – Chwilami się o ciebie martwię, St. John.

– Projekt integracji genowej był mój – upierał się Hunter.

– Jesteś moim asystentem naukowym i wszystko co tu robisz jako student prawnie należy do mnie. Łącznie z tym drobnym eksperymentem integracji genowej.

– Przecież, do licha, ten drobny eksperyment zapewnił panu właśnie fundusze z Narodowego Instytutu Zdrowia.

– W pełni zasłużenie – odparł Cassidy z triumfalnym samozadowoleniem.

– To był mój projekt – warknął Hunter. – Ja go stworzyłem, ja go forsowałem, ja go niańczyłem, przychodziłem pracować nad nim bez przerwy na sen, w czasie, kiedy nie byłem zajęty pańskimi badaniami. Nie miał pan do niego prawa.

Ku zdumieniu Huntera, Cassidy miał czelność jeszcze się uśmiechać.

– Jesteś inteligentnym, młodym człowiekiem, St. John. Obawiam się jednak, że nie panujesz nad swoimi emocjami, a to konieczne, jeśli chce się odnieść sukces w badaniach naukowych. Oprócz przenikliwego umysłu i dociekliwości, naukowiec musi mieć poukładane w głowie. Tego ci brakuje. I dlatego właśnie musiałem, z przykrością, powiadomić władze uczelni, że nie nadajesz się już do pracy tutaj.

Hunter zawsze był zdania, że Cassidy to egoistyczny sukinsyn bez skrupułów. Ponieważ było to, zdaje się, normą w świecie badań naukowych, jego zachowanie specjalnie mu nie przeszkadzało. Ale taka perfidia przekraczała wszelkie granice.

– Odsunął mnie pan od projektu? Chce mi pan dać łupnia?

– Nie jest to określenie, jakiego ja bym użył, ale tak. Hunter poczuł wzbierającą furję. Zaciśnął dłonie w pięści, z trudem powstrzymując się od rozkwaszenia pyszałkowatemu draniowi jego kształtnego nosa.

– Mógłbym cię zabić.

– Och, nie chciałbyś tego – odparł Cassidy. – Wierz mi, chłopcze, więzienne laboratoria są wyposażone grupo poniżej twoich oczekiwań.

Hunter nawet nie myślał odpowiadać. Starszy mężczyzna potrząsnął głową, udając skruchę.

– Robisz z tego zbyt wielką sprawę – powtórzył. – Jesteś młodym człowiekiem. Masz tylko dwadzieścia lat.

– Dwadzieścia jeden.

Idąc w ślady swego genialnego, nieżyjącego ojca, Hunter miał już na koncie ukończenie studiów medycznych na Harvardzie i tytuł magistra biochemii z MIT. Projekt integracji genowej, z którego został tak bezczelnie przez Cassidy’ego obrabowany, był jego pracą doktorską.

– Ciągłe masz mleko pod nosem. Czeka cię jeszcze wiele projektów, nad którymi warto podjąć pracę.

– Przecież do licha miałem projekt! Ale mi go nie ukradziono.

– Naprawdę, chłopcze, używasz słów nie tylko nieodpowiednich, ale i niepotrzebnych. – Cassidy, najwyraźniej znudzony tą rozmową, otworzył klatkę, wyciągnął białego królika doświadczalnego i zaczął się przygotowywać do pobrania próbki krwi.

Kapitulacja bez walki nie leżała w naturze Huntera.

– Mógłbym pójść do władz uczelni i powiedzieć im, co pan zrobił.

– I, jak sądzisz, komu by uwierzyli? Studentowi, wyrzuconemu już z dwóch uczelni z powodu wybuchowego charakteru? Czy szanowanemu, uznanemu w świecie, nagradzanemu naukowcowi, który jest na krótkiej liście nominowanych do Nagrody Nobla?

Obaj znali odpowiedź na to retoryczne pytanie. Tak, jak obaj wiedzieli, że czas Huntera skończył się tu w sposób nagły i mało chwalebny.

– Jeżeli kiedykolwiek będziesz w stanie kontrolować swe niepokohamowane emocje – odezwał się Cassidy, przerywając ciszę, która zaległa w laboratorium – z łatwością udowodnisz, że jesteś jednym z największych naukowych umysłów swoich czasów. Ale jest jedna rzecz, której musisz się nauczyć.

Hunter miał wrażenie, że zaraz się udusi.

– Jaka?

Starszy mężczyzna głąskał bezwiednie delikatne, białe futerko królika.

– Żyjemy w świecie, w którym trwa walka na śmierć i życie. Przetrwaj najlepiej przystosowany.

I najbardziej podstępny, pomyślał Hunter. Cięższa do przeżycia niż sama kradzież badań okazała się świadomość, że ta nikczemność spotkała go ze strony człowieka, któremu zaufał. Ze strony człowieka, którego w swej naiwności uważał prawie za ojca.

– Zapłaci mi pan za to!

– Być może. – Kipiąca odwetem groźba Huntera najwyraźniej nie zrobiła na Cassidy’m wrażenia. – Tymczasem, wychodząc, zamknij proszę drzwi. Nie chciałbym, żeby króliki rozchorowały się od tego przeciągu.

Hunterowi krew uderzyła do głowy ze wzburzenia.

Wypadł z laboratorium, chcąc uciec, nim gołymi rękami zamieni twarz swego byłego mentora w bezkształtną masę. Zaślepiiony wściekłością nawet nie zauważył, że o mało nie wpadł na młodziutką córkę Cassidy'ego.

Ubrana w regulaminowy strój szkoły katolickiej – śnieżnobiałą bluzkę i zieloną, wełnianą spódnicę w kratę – Gillian Cassidy kurczowo przyciskała podręczniki do swej płaskiej jeszcze piersi, obserwując, jak Hunter St. John pędzi przez hol.

Wychodził. On i jej ojciec kłócili się już wcześniej. Każdą cząstką swego młodego jestestwa czuła jednak, że tym razem Hunter nie wróci.

Zagryzła dolną wargę, aby powstrzymać mimowolny szloch, zamknęła oczy i oparła się plecami o zieloną, przybrudzoną ścianę. Z żalem pomyślała, że chociaż jej sławny ojciec wiedział zapewne wszystko, co trzeba o ludzkim ciele, ona posiadała nagle wyjątkową wiedzę medyczną o sobie samej. Mimo, że miała tylko dwanaście lat, Gillian zozumiała, jak przeszywający jest ból towarzyszący łamaniu ludzkiego serca.

## ***Rozdział pierwszy***

*Rio de Janeiro, 13 lat później*

Rio miało w sobie zaraźliwy rytm i niepowtarzalne piękno. Olśniewało przybyszów szybkim tempem życia i entuzjastycznym podejściem do zabawy miejscowych cariocas, szczególnie po północy, kiedy olśniewająco atrakcyjni ludzie wylegali na wyłożone różowymi płytami chodniki i zapełniali kluby.

Garderoba Gillian Cassidy szczyła się zapierającym dech w piersiach widokiem na Zatokę Guanabara. Ale uwagi Gillian nie skupiała feeria roztańczonych świateł otaczających słynny szczyt Sugarloaf, kształtem przypominający żelatynowy cukierek. Wraz z menadżerem swego *tournée* rozkładała na czynniki pierwsze zakończony przed chwilą premierowy koncert w tym brazylijskim mieście. W ciągu najbliższych dwóch nocy, przed wyjazdem do Australii, czekały ją jeszcze cztery.

Pokój był po brzegi wypełniony kwiatami. Kierownictwo teatru przysłało wyszukaną kompozycję z mie-

czyków i kalii. Oszałamiający wizerunek pomarańczowego ptaka, ułożonego finezyjnie z rajszych kwiatów i gigantycznych szkarłatnych maków, był darem amerykańskiego ambasadora, który przyleciał z La Paz. Reszta pochodziła od fanów i wielbicieli z całego kraju.

– Co sądzisz o oświetleniu? – zapytała, siadając przy toalecie. Zmieniła już długą czarną suknię wieczorową na biały szlafrok frottée.

– Myślę, że było doskonałe. Jak zawsze – zapewnił ją Deke Feller. Otworzył mini-barek i wyjął butelkę brazylijskiego piwa dla siebie, a wodę mineralną dla Gillian.

– Nie uważasz, że to niebieskie światło do „Dreams” było zbyt zimne? – Zanurzyła palec w małym porcelanowym pojemniczku i zaczęła rozcierać po twarzy aromatyczny krem orzeźwiający.

– Już ci mówiłem, że było doskonałe.

– A ja uważam, że mogłoby być cieplejsze. – Woń kwiatów była zniewalająca, i zaczynała ją boleć głowa. Gillian postanowiła odesłać wszystkie te bukiety do lokalnych szpitali. – Co byś powiedział, gdyby tak dodać odrobinę różowego?

– Różowego – powtórzył niespiesznie matowym głosem, zapisując tę zmianę w notesie, z którym się nigdy nie rozstawał.

Spojrzała na jego odbicie w lustrze.

– Nie zgadzasz się?

– Już ci powiedziałem – wzruszył ramionami.

– Moim zdaniem wyszło świetnie. Ale ty tu jesteś gwiazdą.

A jeżeli gwiazda chce różowego, to oświetleniowcy mogliby, do licha, wyświadczyć jej tę grzeczność,



uważała Gillian. Doszły ją słuchy, że ekipa brazylijskich machos, nieprzyzwyczajonych do bezustannej dbałości o szczegóły, i to ze strony kogo – kobiety, miała ją za jędzę. Obcowanie z krytykami nauczyło ją wprawdzie, by ignorować nieprzyjemne uwagi, jednak, mimo wszystko, czuła się dotknięta.

Zmarszczyła brwi.

– Myślisz, że zachowuję się jak primadonna?

Współpracowała z Dekem od trzech lat. Przez ten czas stał się najbliższą jej osobą i Gillian uważała go za najlepszego przyjaciela. W odróżnieniu od wielu innych pracowników, mówiących jej zwykle to, co chciała usłyszeć, jego szczerości mogła być pewna. Nawet jeżeli ją raniła.

– Oczywiście, że nie. – Deke wydawał się zaskoczony tym pomysłem. – Raczej jak perfekcjonistka, Gilly. Ale właśnie dzięki temu, gdziekolwiek pojedziemy, bilety na wszystkie twoje koncerty są zawsze wyprzedane.

Od pierwszych chwil, jeszcze jako jedna z wielu pianistek walczących o zaistnienie w muzycznym biznesie na estradzie zdominowanej przez artystów country i pop, Gillian zdawała sobie sprawę, że interesy są nie mniej ważne od samej muzyki.

Prawdziwym wyzwaniem była oczywiście próba zrównoważenia magii i rozkoszy, płynących z muzyki, z koniecznością korzystania z własnego systemu nagłaśniającego przy większym audytorium oraz posiadania własnego księgowego, który by pilnował realizacji umów z firmą fonograficzną.

Gillian rozumiała również, że ludzie zbyt często mylili się sądząc, że skoro wygląda delikatnie, tak samo

proceedzi interesy. Z biegiem czasu zatrudniła agenta, menadżera, producenta i więcej osób, niż mogła się doliczyć. Mimo to upierała się, by osobiście podejmować wszystkie decyzje od koloru szminki, który zdobił jej usta na scenie, do rodzaju czcionki używanej przy drukowaniu programów.

Czy to źle starać się, by fani czuli, że dostają, za co zapłacili? – zastanawiała się. Niechętnie przyznawała w duchu, że jej obsesyjna potrzeba kontrolowania wszystkich aspektów własnego życia zrodziła się dawno temu w szwajcarskiej szkole z internatem, tego dnia, kiedy zadzwonił do niej ojciec i bez emocji zakomunikował, że rozwodzi się z tą zdzirą, jej matką.

– Poza tym – odezwał się niedbale Deke, przerywając niskim głosem jej retrospekcje – moja ciotka Fayrene miała takie powiedzenie...

– Czy to ta, co śpiewała w Grand Ole Opry?

Opędzając się od tego nietypowego dla niej zwątpienia, Gillian ścierała chusteczką krem orzeźwiający i ciężki makijaż. Nie mogąc się połapać w nadzwyczaj rozłożystym drzewie genealogicznym Deke'a, dała za wygraną.

– Nie, nie – potrząsnął głową. Pociągnął duży łyk piwa, delektując się nim przez chwilę, potem wierzchem dłoni otarł pianę z ust. – To była ciotka Patsy. Ciotka Fayrene to ta, co pod Turkey Gulch prowadziła Rebel's Roost.

– No, oczywiście – bąknęła Gillian. – Jakże mogłabym zapomnieć niesławną madame z Turkey Gulch, najpopularniejszego przybytku w Tennessee?

– Możesz się śmiać, ale Fayrene nie była w ciemni bita. Zdała sobie sprawę, że skoro tak wiele dziewcząt

ochoczo uprawia seks na prawo i lewo, trzeba przekształcić to w dochodowy interes.

– Porównujesz mnie z prostytutką? – Rozbawiona Gillian sączyła swą wodę mineralną, czując, jak powoli opada z niej zmęczenie.

– Nie, do diabła! Ale dyżurne powiedzenie ciotki Fayrene o dziwce, co to zdała sobie sprawę, że siedzi na kopalni złota, pasuje akurat do twojej sytuacji. – Błysnął szerokim uśmiechem, którym, jak podejrzewała, oczarował mnóstwo piękności z Południa. – Masz do zaoferowania dużo szczerego, błyszczącego złota, Gilly. Sztuka polega na tym, żeby nikogo nie dopuścić do poszukiwań, dopóki nie zapłaci za prawa do złóż.

Gillian rozbawił sposób, w jaki się o niej wyraził.

– Zapamiętam to sobie.

### *Castle Mountain, w stanie Maine*

Hunter St. John leżał w łóżku, delektując się uczuciem błogiego zmęczenia po nocy pełnej namiętności. Przytulona do niego kobieta była biochemikiem, pracującym w pobliskim zespole ekspertów, zwanym przez miejscowych „fabryką mózgów”. Toni Maggione była inteligentna, ambitna, uwodzicielska i, co do Huntera przemawiało najbardziej, miała wybitnie hedonistyczne podejście do seksu.

Poznali się trzy lata wcześniej, gdy po opuszczeniu szpitala w Bośni przybył na tę odludną wyspę, u skalistych wybrzeży Maine. Miał tu podjąć pracę nad swym kolejnym projektem. Po lapidarnej wymianie informacji o własnych dokonaniach i jeszcze bardziej skąpych wyjaśnieniach na temat badań aktualnie prowa-

dzonych, Toni oparła się o swój laboratoryjny stół z nierdzewnej stali i, obgryzając krótki, szkarłatnoczerwony paznokiec, zaczęła przypatrywać się Hunterowi, jakby należał do zwierząt doświadczalnych, których użycie w badaniach nad rakiem rozważała. Hunter dostrzegł jej spojrzenie, przemykające po jego naznaczonej bliznami, zniekształconej twarzy. Czekał na nieuchronny grymas odrazy, ale wszystko, co wyczytał w piwnych oczach Toni, to ledwie dostrzegalna ciekawość.

– Właśnie zdechły mi trzy szczury – oświadczyła.

– Powinienem powiedzieć, że jest mi przykro?

– Niekoniecznie. Przecież nie zmieniłoby to faktu, że zdechły. A ja tak liczyłam, że zaczną zdrowieć. – Jej pełne usta wyduły się. – Co za okropny ranek!

– Może się jeszcze poprawi.

Na twarzy Toni pojawił się z wolna jawnie prowokacyjny uśmiech.

– Czytasz w moich myślach. Myślałam dokładnie o tym samym.

Jej biodra kołysały się ponętnie, kiedy przemierzała wyłożone białymi kaflami laboratorium, w sposób, który przypominał mu lwicę na łowach. Zamknęła drzwi. Potem, wciąż uśmiechnięta, obróciła się do niego i zaczęła zdejmować ubranie. Nie czekając na werbalne zaproszenie, Hunter pospiesznie pozbył się swojego.

Spotykali się regularnie trzy, cztery razy w miesiącu. Permanentnie niedofinansowana, borykająca się z frustrującymi przeciwnościami, nieodłącznie towarzyszącymi badaniom medycznym, doktor Maggione wykorzystywała seks do odreagowania chronicznego

stresu zawodowego. Hunter okazał się być wyjątkowo chętny do pomocy.

– O mało nie zapomniałam. Kupiłam ci prezent – powiedziała i wyślizgnęła się z jego ramion.

– Prezent?

Roześmiała się, słysząc wyraźnie dzwonek alarmowy w jego głosie.

– Bez paniki, kochanie. – Wyciągnęła rękę i pogładziła go po zniekształconym bliznami policzku. – Dopiero co się upierałeś, że i w tym roku mam ci nie dawać żadnego prezentu gwiazdkowego – przypomniała mu. – To tylko małe co nieco, które kilka dni temu zobaczyłam w sklepie ze sprzętem video. – Wstała z łóżka, poszła do salonu i wróciła z zapakowaną kasetą. – Pomyślałam, że byłoby bardziej nastrojowo.

Hunter podniósł się na łóżku.

– Jeśli dla poprawy nastroju potrzebujesz kasety porno, to znaczy, że nie robię tego, co do mnie należy.

Znowu się roześmiała.

– Kochanie, gdybyś nie był wspaniałym kochankiem, potrzebowałabym jej dużo wcześniej. To nie jest pornografia. To taśma video z muzyką.

Włączyła stojący w sypialni telewizor i umieściła kasetę w odtwarzaczu. Potem wślizgnęła się z powrotem do łóżka.

Pokój wypełniła muzyka fortepianowa.

Hunter nigdy, nawet w najmniejszym stopniu, nie uważał się za romantyka, jednak sposób, w jaki ta muzyka płynęła – jasny i czysty – przypominał mu skąpaną w słońcu rzekę, mknącą pomiędzy omszałymi skałami w poszukiwaniu morza.

Na ekranie, w kręgu piętrzących się kamieni, sie-

działa smukła kobieta. Była odwrócona plecami do kamery. Jej długie włosy – mieszanka czerwieni, miedzi i złota, przywodząca na myśl olśniewający wschód słońca – falami opadały na talię.

– Jestem ciekaw, jak ten producent dostał pozwolenie na filmowanie w Stonehenge – zastanawiał się głośno.

Toni wzruszyła nagimi ramionami.

– Dane na temat ilości sprzedanych płyt Gillian Cassidy są pewnie wystarczająco przekonujące. Wątpię, czy jest na świecie biurokrata płci męskiej, który by odmówił tej kobiecie. Jest też kilka fantastycznych scen na irlandzkim wybrzeżu.

– Cassidy?

Wspomnienie nazwiska prześladowcy spadło na Huntera jak grom z jasnego nieba. Natychmiast jednak upomniał sam siebie, że było ono dość pospolite, szczególnie na Wschodnim Wybrzeżu, gdzie osiedliło się tak wielu imigrantów irlandzkiego pochodzenia.

Czy jednak George Cassidy nie miał córki? Jak przez mgłę widział szczupłą, drobną osóbkę z aparatem ortodontycznym na zębach o rozwichrzonych, marchewkowych włosach, które stale wymykały się z warkoczy.

– Gdybyś czasami wystawiał nos ze swojego laboratorium, wiedziałbyś, że Gillian Cassidy udało się właśnie zostać najpopularniejszą artystką New Age w kraju – poinformowała go Toni. – W ubiegłym roku jej krążek „Machu Picchu” sprzedawał się lepiej niż albumy Johna Tescha i Yannisa razem wzięte.

W miarę jak smukłe dłonie Gillian przemykały po klawiaturze, muzyka stawała się coraz bogatsza, coraz bardziej skomplikowana, burząc w Hunterze krew, ale

i kojąc jego umysł. Dochodził do przekonania, że to nie mogła być ta sama dziewczyna. George Cassidy zawsze miał w sobie więcej cech robota niż człowieka, czego on sam doświadczył na własnej skórze.

Nie mieściło mu się w głowie, że ten nieczuły drań mógł być ojcem dziecka, zdolnego poruszyć tak głęboko w człowieku ukryte, archetypowe namiętności, i to tylko ledwie dostrzegalnymi muśnięciami osiemdziesięciu ośmiu klawiszy z ebonitu i kości słoniowej.

Obraz zmienił się, kiedy kamera zrobiła zbliżenie twarzy pianistki. Hunter mimowolnie nachylił się do ekranu.

Gillian spoglądała w dół, na klawisze, ale z wolna podniosła wzrok, posłuszna poleceniu, którego nie mogła słyszeć.

Nie do wiary, to ona! Patrząc prosto w jej zielone, przysłonięte parawanem rzęs oczy, tak obce a zarazem tak znajome, Hunter czuł, jak uchodzi z niego powietrze. Do licha, ale ta mała córeczka Cassidy'ego wyrosła! Co, przyznał, miało nawet sens, jako że planeta z pewnością nie przestała się obracać tamtego dnia, kiedy został zdradzony przez swego mentora.

Jej aksamitne, łagodne oczy, kiedyś, z tego co pamiętał, ukryte za grubymi szklami w oprawkach o kształcie żółwiej skorupy, na pozór zbyt duże przy tak drobnej twarzy, zwężyły się w kącikach, jak u kotki. Miała bladą, alabastrową cerę, naturalną dla osób o rudych włosach, i albo nie dbała o malowanie ust, albo wizażystka sesji wybrała blady róż, o odcieniu wnętrza morskich muszli.

Kiedy lekki podmuch wiatru uniósł kilka kosmyków jej włosów i rozrzucił je na delikatnie rozchyłonych,

różowych ustach, Hunter poczuł głębokie i niepoahomowane pożądanie.

Wyglądała krucho, jak szklana figurka. Ale muzyka wydobywająca się spod jej nielakierowanych palców była mocna jak irlandzka whisky. I równie mocno uderzała do głowy.

Zdaje się, że namiętność odziedziczyła po matce. Hunter przypomniał sobie trzecią żonę George'a Cassidy, Irene, znacznie od niego młodszą i zdecydowanie mniej powściągliwą. Mimo różnicy wieku, jedno upodabniało małżonków Cassidy: ciągłe, agresywne dążenie do zdobywania tego, czego zapragnęli. W tamtym czasie Irene Cassidy zapragnęła jego.

– Cóż, myślałam, że ta kasetka mogłaby stworzyć nastrój pełen erotyzmu. – W matowym głosie Toni było tyleż rozbawienia, co kobiecej pretensji. – Ale nie spodziewałam się konkurencji.

Muzyka z głośników stereo wzmagająca się dokoła, wzmagająca się w nim, wrzała jak jego krew.

– Nie mów głupstw. W tych rozgrywkach nie masz rywali, kochanie. – Przyciągnął ją do siebie i pocałował, bardziej z afektacją niż z pożądaniem.

W takich chwilach, kiedy jego ciało było syte, a umysł błogo apatyczny, wolny od ciężaru romantycznych zobowiązań, Hunter przyznawał George'owi Cassidy rację w jednym: emocje niepotrzebnie komplikowały życie, osłabiały mężczyznę, wystawiały go na cel.

Dwanaście lat od opuszczenia MIT Hunter przetrwał, z sukcesami, grzebiąc swe uczucia możliwie głęboko. Uważał, że za to powinien być Cassidy'emu wdzięczny.



Toni znowu się do niego przytuliła, lecz jego umysł ciągle zajmowały myśli o Cassidy'm. I o jego córce, która ukazała mu się jak jeden z eterycznych aniołów malowanych w renesansie na sklepieniach katedr.

Zastanawiał się leniwie, czy naprawdę była tak niewinna, jak się zdawało, ale mając w pamięci głębię namiętności, którą obnażała jej własna muzyka, uznał, że pewnie nie była. To zestawienie namiętności i niewinności było niezaprzeczalnie intrygujące. Czegóż potrzeba, myślał, aby ta nierzeczywista, delikatna kobieta zaczęła krzyczeć z dzikiej, bezwstydney rozkoszy?

Nagle Hunter, który od czasu opuszczenia MIT tamtego feralnego popołudnia, nie obchodził żadnych świąt, zrozumiał, jaki prezent chciałby dostać pod choinkę.

Chciał Gillian Cassidy. I dzięki temu, co wiedział o jej niegdyś sławnym ojcu, zamierzał ją dostać.

## ***Rozdział drugi***

– Człowieku, zlituj się! – Naukowiec wpatrywał się w swego dawnego protegowanego. – Chyba nie mówisz poważnie.

– Wprost przeciwnie, nigdy w życiu nie mówiłem poważniej – odparł Hunter.

Fakt, że George Cassidy bez oporu stawiał się na Castle Mountain na wezwanie swego byłego studenta, dowodził, że ich wzajemna relacja uległa zasadniczej zmianie. Hunter myślał z satysfakcją, że teraz uczeń stał się mistrzem.

Och, Cassidy był nadal szanowanym badaczem i wykładowcą.

Jego artykuły ukazywały się w prasie naukowej, był częstym prelegentem na konferencjach. Jednak nie uszło powszechnej uwagi, że w ciągu ostatniej dekady nie dokonał żadnego naprawdę przełomowego odkrycia.

Jego gwiazda gasła, podczas gdy Hunter, który po wydaleniu z MIT wtargnął na naukowy firmament

niczym kometa, świecił teraz na nim najjaśniejszym światłem. Nie mógłby zliczyć zaproszeń na wykłady, które co miesiąc odrzucał. W przeciwieństwie do Cassidy'ego, którego referaty były w programach umieszczane zwykle w ostatnim dniu konferencji, w niedzielny ranek, kiedy uczestnicy byli już bardziej zajęci pakowaniem walizek i snuciem planów niż odgrzewanymi, zdezaktualizowanymi danymi, Hunter był zazwyczaj zapraszany na najbardziej prestiżowe zgromadzenia świata, i to w roli kluczowego mówcy.

Oczywiście nie pojawiał się na nich osobiście, ale jego nagrane przemówienia – wyłącznie audio, nigdy video – były wystarczająco interesujące, by gromadzić tłumy.

Hunter zawsze bardzo dbał o prywatność, jeszcze przed zamachem terrorystycznym, który go oszpecił, a jego pustelniczy tryb życia prowokował różne domysły. Dwie z najczęściej powtarzanych plotek głosiły, że jest okaleczony tak bardzo, iż nie można w nim rozpoznać człowieka, oraz że stał się szalonym naukowcem, tworzącym w laboratorium na wyspie, Bóg jeden wie, jakie genetyczne mutacje. Hunterowi było obojętne, co ludzie o nim mówili, byle zostawili go w spokoju.

Starszy mężczyzna potrząsnął głową. Hunter zauważył mimochodem, że choć na pierwszy rzut oka George Cassidy wyglądał jak lew zimą, to jego bujna, przyprószone siwizną grzywa, przerzedziła się. Jego patrycjuszowski niegdyś nos był czerwony i bulwiasty, co wskazywało na wzmożony pociąg do alkoholu.

– To chyba jakiś chory żart.

– Ja nigdy nie żartuję. – Hunter rozsiadł się wygod-

nie w skórzanym fotelu, oparł łokcie na poręczach i zaczął przypatrywać się Cassidy'emu. – Jak mi to niegdyś dobitnie uświadomiłeś, emocje wchodzą logice w drogę. Co oznacza, jak sądzę, że sukces zawdzięczam w dużej mierze twojej radzie – przyznał.

– Osiągnąłbyś ten sukces i bez moich rad.

– To prawda. Ale gdybyś nie odsunął mnie od tamtego projektu, nadal żerowałbyś na moich pracach.

Dawny projekt Huntera rozwinął się w zupełnie innym kierunku, częściowo na skutek nikczemności oficjalnego autora. Gdyby Cassidy nie ukradł jego badań, być może Hunter nigdy nie zainteresowałby się poważniej odwiecznym sporem o to, co ważniejsze: wiedza przyrodzona czy wiedza nabyta.

– A więc o to chodzi, tak? Powiedziałaś mi kiedyś, że zapłacę. I właśnie nadeszła pora na rewanż.

– „Rewanż” to niesympatyczne słowo, nie sądzisz? – odparł uprzejmie Hunter. – I prawdę mówiąc, mylisz się, Cassidy. Zarzuciłem ten pomysł bardzo dawno temu, kiedy zdałem sobie sprawę, że nie jesteś już dla mnie godnym przeciwnikiem.

Błysnął zębami w uśmiechu, bezlitosny niczym grzechotnik, jak to kiedyś określiła Toni.

– Zwycięstwo nad papierowym tygrysem nie jest prawdziwym zwycięstwem.

Ten strzał najwyraźniej doszedł celu. Cassidy był poruszony. Lepiej uważaj na emocje, George, pomyślał Hunter, bo pewnego dnia doprowadzą cię do zguby.

– Więc dlaczego...

– To proste. Jak powiedziałem, twoja córka wyrosła na utalentowaną, piękną kobietę. I ja jej chcę.

– Mówisz o niej jak o przedmiocie, jak o samochodzie.

Gillian nie jest jakimś marnym świecidełkiem, którym można handlować. Jest kobietą...

– Doskonale zdaję sobie z tego sprawę. Właśnie dlatego jej chcę – przerwał ze spokojem Hunter.

– Rzecz w tym, że ona nie jest moja, więc nie mogę nią dysponować. Ta dziewczyna nie mieszka pod moim dachem od czasu, gdy rozwiódłem się z jej matką. Miała wtedy niewiele więcej niż dziesięć lat.

– Ale jesteście w kontakcie?

Mając w pamięci obiadki, przy okazji których Irene Cassidy stale osaczała go w jakimś zacisznym kącie domu profesora na Cape Cod, bez powodzenia próbując go uwieść, Hunter podejrzewał, że nie był to typ kobiety, która z własnej woli poszłaby do pracy, by zapewnić byt sobie i swojej córce.

– Dość ograniczonym. – Następne słowa Cassidy'ego potwierdziły przypuszczenia Huntera. – Choć mój adwokat walczył jak lew, Irene udało się nakłonić sędziego do przyznania jej wysokich alimentów. Domagała się również, skutecznie, refundacji pokaźnego chesnego za szkołę średnią z internatem i studia. Ja oczywiście zażądałem równie wspaniałomyślnego potraktowania moich praw do wspólnego spędzania wakacji.

– Oczywiście – mruknął Hunter.

Miał wrażenie, że rodzice nie troszczyli się przesadnie o dorastającą dziewczynę, której życie wywrócili do góry nogami. Gillian Cassidy była jedynie użytecznym pionkiem na wojennej szachownicy dwojga zajętych sobą egoistów.

Hunter skonstatował, że dorastał w podobnych warunkach. Żadne z jego szacownych, narcystycznych

rodziców nie miało zamiaru zawracać sobie głowy synem, którego stworzyli bardziej dla zapewnienia sobie nieśmiertelności niż z miłości.

– Ale nawet, gdyby Gilly nie była samodzielna, a, mimo tej słodkiej powierzchowności, możesz mi wierzyć, że jest – ciągnął Cassidy – to czasy, kiedy ojciec wydawał córkę za mąż...

– A kto tu mówi o ślubie? – uciął ponownie Hunter.  
– Małżeństwo jest dla głupców, którzy wierzą w miłość i wszystkie związane z nią komplikacje. Doświadczenia z własnego związku powinny ci uzmysłwić, że taka ruletka jest zbyt ryzykowna. Chcę Gillian tylko w jednym celu. Dla seksu.

– To odrażające!

Hunter uniósł brwi.

– Od kiedy to obwołano cię obrońcą społecznej moralności, Cassidy?

Mężczyzna nie odpowiedział. Wpatrywał się w swego byłego studenta, jakby stanął oko w oko z potworem, jakim, zgodził się Hunter, w gruncie rzeczy był.

– Co ci się stało, do licha? – spytał Cassidy cicho.

Twarz Huntera wykrzywiła się w ironicznym, ponurym uśmiechu.

– Jak mnie kiedyś ostrzegałeś, żyjemy w świecie, gdzie toczy się walka na śmierć i życie. I nawet w naszej branży, badania mogą nieść pewne ryzyko.

Przemknęło mu przez myśl wspomnienie listu-pułapki, który eksplodował w jego rękach. Wspomnienie palącego się ciała drażniło jego nozdrza; nieludzkie krzyki, wydobywające się z jego własnego gardła, rozbrzmiewały w jego głowie. Dzięki żelaznej woli,

która utrzymywała go przy życiu przez długie, bolesne miesiące powrotu do zdrowia i rehabilitacji, Hunter zamknął wrota nieproszonej retrospekcji.

– Cóż, na wieczór zapowiadają burzę. Nie sądzę, żeby któryś z nas chciał tu utknąć i czekać, aż nawałnica ustanie. Zamierzam zaoszczędzić nam obu trochę czasu tak, abyś zdążył wrócić do Cambridge... Jest faktem, że mam ochotę na twoją córkę. Myślę o niej ostatnio zbyt dużo i te myśli przeszkadzają mi w pracy. Mógłbym bez pośpiechu zabrać się do przydługich, śmiesznych i pretensjonalnych zalotów, ale, ponieważ mam przekonanie, że pomimo pewnych oczywistych niedoskonałości fizycznych, jestem całkiem niezłą partią, bez wątpienia, uwiódlbym ją bez trudności. Nie mam jednak ani czasu, ani cierpliwości na tego rodzaju gierki, zdecydowałem się więc oddać sprawę w twoje ręce.

– W moje ręce?

– To całkiem proste. Oczekuję, że przekonasz córkę, aby przybyła tu, do Maine, gdzie, mogę cię zapewnić, będzie traktowana z troską i szacunkiem. Nie skrzywdzę jej fizycznie, ani też nie będę grał na jej emocjach tak, jak robi to wielu kochanków. Czytałem, że wróciła właśnie z wyczerpującego tournée i potrzebuje wypoczynku. Oferuję jej spokojne dni w odludnym, idyllicznym miejscu. A jeśli chodzi o nocę... – posłał starszemu mężczyźnie szeroki, nikczemny i lubieżny uśmiech, obserwując z satysfakcją jego wzburzenie – nie chcę cię zanudzać szczegółami.

– Jesteś diabłem wcielonym, St. John.

Nerwowe spojrzenie Cassidy'ego spoczęło na poszarpanej, czerwieniejącej szramie, przecinającej twarz Huntera od lewej skroni aż po szczękę.

– Być może. Ale jestem też mężczyzną, Cassidy.  
– Głos Huntera pozostał równie obojętny, jak jego nieruchomy wzrok. – Mężczyzną z potrzebami. I dlatego potrzebna jest mi twoja śliczna Gillian. A kiedy moje potrzeby zostaną zaspokojone, odeślę ci ją z powrotem. Zdrową i całą.

– Czemu myślisz, że kiwnę choćby palcem, żeby pomóc ci przespać się z moją córką?

Cassidy drżał z gniewu. Jego twarz była tak czerwona, że Hunter zastanawiał się beznamytnie, czy za chwilę nie dostanie wylewu. Pomyślał też, że chyba trafił go w czułe miejsce. Może mimo wszystko troszczył się jednak o swoją jedynaczkę.

– Opowieści, które słyszałem o twojej słabnącej pozycji, muszą być prawdziwe. – Hunter potrząsnął głową z pozornym ubolewaniem. – Rzeczywiście jesteś coraz słabszy, starcze. Powodem, dla którego przekonasz swoją córkę, aby do mnie przybyła, jest groźba, że jeśli tego nie zrobisz, wyjawię publicznie, co wydarzyło się trzynaście lat temu.

Cassidy zbladł, i jego rozpalone policzki zupełnie straciły kolor.

– Niczego nie udowodnisz!

– To dyskusyjna sprawa. Karty się odwróciły, Cassidy. Jak sądzisz, komu ludzie uwierzą? Człowiekowi, który ostatnio został wybrany największym naukowym umysłem swoich czasów? Czy przegranemu ex-naukowcowi, rękami i nogami trzymającemu się swojej posady, który desperacko próbuje tuszować niepowodzenie?

– Nie zrobisz tego?

Hunter spojrzał mu prosto w oczy.



– Bez wahania. – Wstał, obrzucając Cassidy’ego chłodnym spojrzeniem. – Daję jej siedem dni.

– Gdyby to ode mnie zależało, przysłałbym ją do ciebie – zadeklarował Cassidy. – Ale ona zawsze była okropnie uparta. Nawet szwajcarskie zakonnice z klasztoru żeńskiego w Lucernie, dokładne jak tamtejsze zegarki, nie potrafiły jej zmusić do robienia rzeczy, których robić nie chciała. – Znowu potrząsnął swoją lwią grzywą, spoglądając wymownie na Huntera. – Spróbuję, ale niczego nie mogę obiecać.

Odpowiedź dawnego mentora dowodziła, że nie było takiej rzeczy, której by nie poświęcił dla ratowania swej nędznej kariery i kruchej reputacji. Gotowość Cassidy’ego, by zostać alfonssem własnej córki, mogła przyprawić o mdłości.

– W takim razie znowu się różnimy. Bo ja ci mogę coś obiecać. Obiecuję, że cię zniszczę, jeżeli Gillian nie będzie tu do końca tygodnia.

Cassidy w milczeniu wyszedł z pokoju.

Stojąc w oknie i obserwując samochód odwożący Cassidy’ego, Hunter dał się opanować, przez chwilę, uczuciu mocno spóźnionej satysfakcji.

Potem przypomniał sobie zielone oczy Gillian Cassidy i jej pełne, blade usta, a satysfakcja ustąpiła miejsca wyczekiwaniu.

### *Cambridge*

Gillian nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała.

– Wyjaśnijmy to jeszcze raz. – Przeczesała dłonią włosy i spojrzała na ojca przez cały gabinet, którego mahoniową podłogę wyścielał miękki perski dywan.

– Po trzynastu latach Hunter St. John nagle zaprasza cię do swojego domu, a potem grozi szantażem?

– To diabeł nie człowiek – skarżył się Cassidy, wlewając kolejną porcję whisky do staromodnie zdobionej irlandzkiej szklaneczki.

– Już to mówiłeś.

Gillian nie miała przekonania do tej historii. Mimo, że długo patrzyła na Huntera St. John przez beznadziejnie romantyczne różowe okulary, nie wierzyła w wersję ojca.

Musiało być jeszcze coś. Coś, czego ojciec nie chciał jej powiedzieć.

– Ale to nie ma sensu – dowodziła, wytężając całą uwagę. Odkąd sięgała pamięcią, ojciec nigdy nie okazywał tak silnych emocji. – Jesteś szanowanym naukowcem. Jak Hunter mógłby zrujnować twoją reputację?

Jedno z polan zajęło się płomieniem, wznecając obłok iskier. Wyraźnie rad z odwrócenia uwagi, Cassidy zerwał się z fotela i pogrzebaczem wepchnął żagiew pachnącego drewna z powrotem do kominka.

Gillian nie dała się zbić z tropu.

– Zadałam ci pytanie, ojczu. Czy Hunter wie coś, o czym mi nie powiedziałeś? Czy to ma coś wspólnego z projektem, nad którym wspólnie pracowaliście...

– Nie pracowaliśmy wspólnie nad żadnym projektem! – Rumiane policzki George'a z gniewu pokraśniały jeszcze bardziej. – Hunter St. John został po studiach asystentem w laboratorium. Niczym nie różnił się od setek innych, którzy pracowali dla mnie przez te lata.

– Był najwyraźniej bardziej inteligentny niż pozostali – podsumowała Gillian. – W czasie lotu

powrotnego z Nowej Zelandii czytałam w „Newsweeku”, że uważany jest za geniusza.

Zastanawiała się, ile czasu musi upłynąć, aby kobieta wyrosła z miłostek wieku dziewczęcego. Nie mogła jednak powstrzymać się od przeczytania całego artykułu. I to dwukrotnie.

Dotyczył głównie zamachu bombowego, który omal nie zabił Huntera. I chociaż nie podano za wiele szczegółów, komentarze sugerowały, że zamach miał związek z jakimś ściśle tajnym projektem rządowym, nad którym pracował. Dziennikarz „Newsweeka” pisał, że Hunter wrócił do zdrowia dostatecznie szybko, by dokończyć pracę – co przyniosło Gillian ulgę – jednakże w następstwie wypadku, zamknął się w sobie bardziej niż kiedykolwiek wcześniej. Fakt, że odmówił udzielenia wywiadu na potrzeby tego artykułu nie zdziwił Gillian, która pamiętała Huntera jako osobę bardzo skrytą.

– Ten człowiek jest dość błyskotliwy – przyznał niechętnie Cassidy. – Pod tym względem odziedziczył oczywiście geny rodziców. Ale Isabel Montgomery i David St. John byli rozsądnymi naukowcami-intelektualistami. Żadnemu z nich nie można było przypisać emocjonalnej chwiejności, jak to niestety ma miejsce w przypadku młodego St. Johna. Jeszcze jako student, ten chłopak był zdecydowanie zbyt krnąbrny, i nie wyszło mu to na zdrowie... Odmawiał wykonywania moich poleceń, mając się zawsze za najmądrzejszego. A nie był nieomylny. – Wydatna szczeka Cassidy’ego ciągle symbolizowała jego wojowniczego ducha. – Wskutek czego nie miałem wyboru i musiałem pozwolić mu odejść.

– Tak wtedy powiedziałaś.

Tamten wieczór wyrzył się w pamięci Gillian jak wszystko, co miało związek z Hunterem. Nawet teraz, trzynaście lat później, mogła przywołać nader wyraźne wspomnienie wzburzonego Huntera, wypadającego z laboratorium.

– A zatem? – Usiadła, podwijając zamasyżcie tiulową spódnicę w kwiaty, która była zbyt cienka na mroźny grudniowy poranek w Massachusetts, ale odpowiednia w Auckland, kiedy piętnaście godzin wcześniej wsiadała do samolotu. – Skoro nie ma podstaw do tej groźby, to dlaczego jesteś taki niespokojny?

– Bo może narobić hałasu. – George wychylił whisky, po czym napełnił szklankę ponownie, tym razem niemal po brzegi. – St. John zawsze był postrzelony. Cholerny awanturnik. Jeżeli będzie mnie kosztował posadę...

– To przecież śmieszne! – mimo emocji, jakie wkładała w swoją muzykę, Gillian zawsze była dumna z tego, że jest kobietą o niezmaconej logice. – Dostałeś tę posadę wiele lat temu, zanim się urodziłam. Jedyny teoretycznie dopuszczalny powód, dla którego mógłbyś ją stracić to...

Jej głos zawisł w próżni, bo nagle przyszło olśnienie i zaczęła dostrzegać rzeczywiste powody.

Nie, wmawiała sobie, to nie mogło być prawdą. Nigdy nie było dla ojca nic równie ważnego jak praca. Ani koledzy, ani studenci, ani żony, ani córka. Gillian już dawno zrezygnowała z walki o miłość, której nie był zdolny jej dać. Ale zawsze uważała go za człowieka honoru.

Niestety, obserwując człowieka, który opróżnia już trzecią szklankę irlandzkiej whisky jakby to była woda, zaczęła w to wątpić.

Wszystko układa się w logiczną całość, myślała ponuro. Nigdy nie uwierzy w opowieści ojca o tym jak Hunter porzucił swój projekt i MIT. Studentom odbierano projekty badawcze z najrozmaitszych powodów. Sama była świadkiem różnych przejawów rozczarowania i frustracji. Ale nigdy nie widziała tak przerażającej eksplozji wściekłości, jak tamtego dnia u Huntera.

– Ojcie. – Pochyliła się, kładąc dłonie na kolanach.  
– Spójrz na mnie.

Kiedy wreszcie opieszale spojrział na nią, w jego przekrwionych oczach Gillian zauważyła błysk czegoś, co wyglądało na poczucie winy.

– Hunter pracował wtedy nad doktoratem – powiedziała wolno i ostrożnie. – Miał swój własny projekt...

– Był to tylko radykalny, niesprawdzony pomysł.

– To możliwe. Zawsze powtarzałeś, że myśli niekonwencjonalnie. Ale jeśli rzeczywiście jest tak inteligentny jak się powszechnie mówi...

– Był na niewłaściwym tropie – odparł Cassidy, przerywając jej niecierpliwym ruchem drżącej ręki.  
– I tak by mu nie wyszło. Nie wychodziło, dopóki...  
– Tym razem sam przerwał w połowie zdania.

Gillian zamknęła oczy i potarła skroń. Prawda wyszła na jaw.

Wielkie nieba, po co jej było to wiedzieć! Właśnie wróciła z męczącego, dziewięciomiesięcznego tournée. W Londynie złapała przeziębienie, które towarzyszyło jej przez kilka tygodni. Dawało o sobie znać zmęczenie, wynikające z ciągłej zmiany stref czasowych, mimo iż

robiła wszystko by przed nim uciec, występując przed tłoczącą się widownią, udzielając wywiadów, starając się zapamiętać, co jednego dnia mówiła w Sydney, żeby nie powtarzać się następnego w Melbourne...

– Ukradłeś jego projekt? – Ton głosu Gillian zdradzał rozczarowanie, które przeszywało ją na wskroś.

– Niczego nie udowodni – oznajmił Cassidy, uchylając się od odpowiedzi.

Gillian westchnęła, pozwalając sobie na chwilę głębokiego smutku, po ostatnim złudzeniu dotyczącym ojca, które prysło jak mydlana bańka. Potem, dzięki sile charakteru, która pomagała jej znieść dużo trudniejsze sytuacje, zaczęła analizować problem.

– Biorąc pod uwagę obecną sławę i reputację Huntera, nie musiałby udowadniać swych zarzutów – myślała głośno. – Jego słowo przeciw twojemu. Obawiam się, że w tej bitwie byłbyś z góry skazany na porażkę.

W końcu minęło wiele czasu, kiedy jej ojciec ostatni raz pojawił się w „Newsweeku”,

– To właśnie próbowałam ci powiedzieć, do licha – mruknął. – Ten szalenciec może mnie pozbawić wszystkiego, co w życiu osiągnąłem, Gilly.

Lekki ból głowy zamienił się łomotem młota pneumatycznego. Spojrzała na mokry śnieg, opadający na szybę i rozpaczliwie zapragnęła znaleźć się z powrotem w Nowej Zelandii. Albo w Rio. Albo gdziekolwiek indziej.

– Zastanawiam się, dlaczego tak długo czekał?

– To proste. – Alkohol zniekształcał jego słowa. – Nigdy nie miałem niczego, co ten diabeł wcielony chciałby osiąść, aż do dzisiaj.

– Rozumiem – rzekła Gillian, niczego tak naprawdę nie rozumiejąc.

Piekielnie zmęczona, bezpośrednio z lotniska Kennedy'ego zamierzała lecieć do swej nadmorskiej rezydencji w Monterey, gdzie, siedząc na tarasie i obserwując migrujące wieloryby, mogłaby spędzić beczynn timer kilka tygodni, aby zregenerować siły, zarówno po przeziębieniu, jak i po trudach trasy koncertowej. Siedziała w poczekalni dla pasażerów podróżujących pierwszą klasą, popijała herbatę z miodem, która miała oczyścić jej zatoki i czekała na lot do domu, kiedy wytropił ją ojciec, oświadczając, że jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Stanowczo odmówił podania szczegółów, ale zaniepokojona nietypowym drżeniem jego głosu, natychmiast zmieniła swoje plany i przyleciała do Bostonu. Tylko po to, by odkryć, że niebezpieczeństwo w żadnej mierze nie zagrażało życiu, co najwyżej – karierze. Wtedy znowu przypomniała sobie znużoną, że ojciec zawsze traktował swoją pracę w kategoriach życia i śmierci.

– Czego zatem chce Hunter, ojczec?

Cassidy wpatrywał się w nią zamglonymi, szklis timerymi oczami.

– Nie powiedziałem ci?

– Nie

– Chce ciebie, Gilly. Ten bezduszny, niemoralny sukinsyn powiedział, że zrujnuje mnie, jeżeli nie przyślę cię do Maine, żebyś spała z nim przez trzydzieści nocy. Dał mi na to siedem dni. Trzy już minęły. Cztery dni dzielą mnie od ruiny.

Potrząsnął głową. Potem, mamrocząc coś o diabłach i piekielnych czeluściach, stracił przytomność.

## ***Rozdział trzeci***

### *Castle Mountain*

Dwadzieścia cztery godziny po upływie terminu ultimatum Gillian ciągle nie dotarła na wyspę. Sfrustrowany i zdegustowany ciągłym patrzeniem na zegar Hunter pojechał do „fabryki mózgów”, leżącej kilka mil od domu, i bez większych efektów próbował skoncentrować się na pracy.

– Myślałem, że dzisiaj będziesz pracował w domu – usłyszał znajomy głos.

Hunter obejrzał się przez ramię i zobaczył w drzwiach Dylana Prescottta. Dylan, założyciel „fabryki mózgów”, był człowiekiem wyjątkowo błyskotliwym i niezmiennie dobrze usposobionym. Jego siostra kierowała miejscowym posterunkiem policji, a żona pisała powieści science fiction, co przeczyło niemąderemu stereotypowi, zgodnie z którym ten gatunek literacki był zarezerwowany przede wszystkim dla mężczyzn. Była przy tym olśniewająco piękna

Co ważniejsze, Dylan należał do tych nielicznych



osób, którym Hunter ufał. Nie pracowali w tej samej dziedzinie – Dylan specjalizował się w podróżach w czasie i przestrzeni – a mimo to Hunter chętnie słuchał opinii przyjaciela na temat swoich hipotez, a Dylan, jako twórczy naukowiec, zawsze potrafił spojrzeć na problem w sposób, którego Hunter nie brał pod uwagę.

– Skąd ten pomysł?

Dylan wzruszył ramionami.

– Zanim tu rano przyszedłem, wstąpiłem na kawę do „Gray Gull,„. Ben Adams wspomniał coś o twoim gościu, którego miał wieźć swoją łodzią pocztową.

Zbyt dyskretny, by wypytywać i mieszać się w sprawy osobiste Huntera, Dylan bez wątpienia był za-intrygowany. Szczególnie dlatego, że w swym ustronnym, dobrze strzeżonym domu Hunter na ogół nie podejmował gości.

Teraz z kolei St. John wzruszył ramionami.

– To niewykluczone – odpowiedział tajemniczo.

Dylan obrzucił go badawczym spojrzeniem i uznał, że dalsze dociekanie nie miało sensu – dostatecznie dobrze znał swego przyjaciela.

– To dlatego tu jesteś – powiedział. – Masz gościa.

– Tak? – Zastanawiał się, czy Ben faktycznie przyprowadził Gillian tutaj, zamiast do domu, jak miał przykazane.

– To ten facet z Waszyngtonu – zdradził Dylan.

– Czeka już koło recepcji.

Hunter potrząsnął głową. Dzień był paskudny i do szczęścia brakowało mu tylko rozmowy z jakimś rządowym gryziپیórkiem. Zaklął. Potem, pamiętając, że to rząd płaci jego rachunki, westchnął z rezygnacją.

– Przypuszczam, że skoro fatygował się taki szmat drogi, będę się musiał z nim zobaczyć.

– Pójdę powiedzieć Janet, żeby go wpuściła – oznajmił Dylan.

Kiedy recepcjonistka wprowadziła mężczyznę do gabinetu, Hunterowi przyszło na myśl, że gdyby Hollywood szukało kiedyś aktora do roli karierowicza grającego o najwyższe stawki w międzynarodowej dyplomacji, James Van Horn nadawałby się idealnie. Fryzura za sto dolarów i kaszmirowy płaszcz sugerowały, że pochodził z zamożnej rodziny, dzięki czemu mógł zostać studentem legendarnej akademii w Princeton. Brytyjski akcent, z jakim niekiedy mówił, to pozostałość z pobytu w Oxfordzie. A buty – o Boże, w szpic! – nadawały się bardziej do chodzenia po marmurowych korytarzach Departamentu Stanu, niż do pokonywania śnieżnych zasp na Castle Mountain.

– Nie spodziewałem się ciebie. – Hunter nawet nie wysiłał się na uprzejmości. Był poirytowany najściem Van Horna tym bardziej, że przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny oczekiwał przyjazdu kogoś zupełnie innego.

– Nie uwierzysz, ale byłem niedaleko i zdecydowałem się wpaść, żeby zapytać o postępy prac.

– Masz rację, nie uwierzę.

Nie czekając na powitanie, Van Horn zdjął płaszcz, powiesił go precyzyjnie na wieszaku, otrzepał nogawki spodni wełnianego garnituru, usiadł w skórzanym fotelu, założył nogę na nogę i przesunął wymuskaną dłońią wzdłuż idealnie odprasowanego kantu.

– Miałem interes w Nowej Anglii. – Wzruszył niedbale ramionami. – Nie musiałem nadkładać zbyt wiele.

To nie była prawda i obaj o tym wiedzieli. Hunter nie palił się do rozmowy.

– No więc, czy te pogłoski są prawdziwe? – zapytał w końcu Van Horn.

– O jakich pogłoskach mówimy?

– Tych, co krążą po Waszyngtonie. Podobno twój projekt jest na ukończeniu?

Chodziło o metodę analiz genetycznych, nad którą Hunter pracował jeszcze na MIT, zanim Cassidy go wykopał. Mówiąc krótko, stworzył model matematyczny, który z pomocą danych dotyczących politycznej i ekonomicznej historii wybranego regionu, czynników socjologicznych z przeszłości i teraźniejszości, jak również profilu genetycznego mieszkańców – wynik badań nad ich DNA – teoretycznie był w stanie prognozować reakcje danej populacji w różnych okolicznościach.

Była też druga, mroczna strona tego projektu, o czym Hunter nikomu nie mówił. Gdyby szczegółowe wyniki badań nad DNA dostały się w niepowołane ręce, mogłyby zostać wykorzystane przy klonowaniu genetycznie doskonałych wojowników, zamachowców pozbawionych jakichkolwiek hamulców.

Chociaż Hunter nie lubił współpracować z biurokratami, nie zamierzał rezygnować z funduszy, których bardzo potrzebował. Zawsze unikał kwestowania, a po incydencie w Bośni, który kosztował go pół twarzy i rękę, doszedł do wniosku, że nie byłby zbyt mile widziany na rautach i koktajlach.

Jego obecna praca była finansowana przez departamenty Stanu i Obrony. Departament Obrony potrzebował danych do prognoz wojennych i planów

skutecznych strategii bitewnych, natomiast Departament Stanu poszukiwał sposobów rozładowywania międzynarodowych zatargów, nim przerodzą się w prawdziwe wojny.

– Mam jeszcze trochę do zrobienia – powiedział ogólnie. – Z takim na przykład Bliskim Wschodem ciągle są problemy.

W tej części świata nie mógł liczyć na entuzjastyczne przyjęcie. Podczas pobytu tam strzelano do niego tyle razy, że nie chciało mu się już liczyć. I chociaż osobiście lubił większość tamtejszych mieszkańców, przy wielu okazjach dostawał ostrzeżenia, że uznano go zdrajcą za to, iż zbierał do swojego modelu dane o różnych wojujących frakcjach. Problem polegał na tym, że w zbyt wielu częściach świata ludzie z etykietą zdrajcy często znikali. Albo wylatywali w powietrze.

Hunter miał nadzieję, że, nie będzie na razie musiał wracać do Libanu. Bejrut może i był kiedyś Paryżem regionu, ale dziś te okolice mogły służyć jedynie za poligon strzelecki.

Potem było Kosowo. Hunter westchnął. Powodzenia wszystkim misjom pokojowym w tym kraju! I Bośnia. I Afganistan. Lista była bardzo długa i, chociaż Hunter wiązał z tym projektem wyjątkowo duże nadzieje, był pragmatyczny i wiedział, że zapobiegając przemocy na świecie to jak zatykać palcem dziurę w Zaporze Hoovera.

– Pewne siły zaczynają się niecierpliwić – ostrzegł go Van Horn.

– Trudno. Robota będzie skończona, kiedy przyjdzie na to czas. I ani minuty wcześniej.

– Muszą jakoś uzasadnić wydatki przed Komisją

Budżetową. Wątpię, żebyś chciał stać się celem dochodzenia w Kongresie.

Hunter uniósł brwi.

– To groźba?

– Tylko luźna uwaga.

– Budżet mojego przedsięwzięcia to kropla w morzu dolców, które wy, chłopaki, puszczaście lekką ręką. Sumka, jaką zostawiacie w restauracjach Waszyngtonu, zamawiając biznesowe lunche, wystarczyłaby mi na kolejnych sześć miesięcy. A gdyby nawet tam, na górze, doszło do jakichś przepychanek w kwestii kosztów, to już wy, chłopcy, potraficie się tym zająć. I tylko nie myślcie sobie, że to wasza piaskownica.

Van Horn skrzywił się.

– Więc pogłoski o twoich kontaktach z Rosjanami też są prawdziwe?

– Nie kontaktowałem się z nimi. – I nigdy by tego nie zrobił. Ale trwoga, jaka na ułamek sekundy zagościła na jankeskiej twarzy Van Horna, sprawiła Hunterowi przyjemność. – Zadano mi jedynie parę pytań o niektóre aspekty projektu.

– Zdajesz sobie sprawę, że za dzielenie się z nimi informacjami, a w szczególności informacjami utajnionymi, możesz zostać aresztowany pod zarzutem zdrady?

– Wezmę to pod uwagę.

Van Horn posłał mu jeszcze jedno twarde spojrzenie, próbując dociec, czy Hunter go nie podpuszcza. Oczywiście, że podpuszczał. To jedna z dodatkowych przyjemności współpracy z biurokratami. Byli tak doskonale przewidywalni. I zawzięci.

– Jest jeszcze coś.

Hunter zwrócił uwagę, że Van Horn znowu zajął się kantem u spodni.

– Tak przypuszczałem.

W końcu zapowiadano zamieć i Hunter wiedział, że facet nie fatygowałby się do Castle Mountain tylko po to, żeby przy skwierczącym kominku w tawernie „Gray Gull” sączyć rozgrzewające nalewki i wpatrywać się w baśniowy, zimowy krajobraz za oknami.

– Słyszałem od jednego z moich informatorów w CIA, że terroryści wciągnęli cię na czarną listę.

– Dlaczego nie powiesz mi czegoś, czego jeszcze nie wiem?

– Chciałem cię tylko ostrzec.

– Możesz mnie uważać za ostrzeżonego. – Hunter wstał, definitywnie kończąc spotkanie. – A teraz, kiedy już zostałem stosownie ostrzeżony przed Kongresem i terrorystami, nie obrazisz się, mam nadzieję, że wrócę do pracy. No, bo przecież – powiedział, zdejmując z wieszaka kaszmirowy płaszcz i podając go Van Hornowi – cytując twoje słowa z poprzednich wizyt, czas to pieniądz.

To powiedziawszy, odprowadził swego eleganckiego gościa do drzwi. Zrezygnował jednak z dalszej pracy tego dnia, zamknął drzwi gabinetu, wstukał tajny kod systemu zabezpieczającego i ruszył do domu, by tam czekać na przyjazd Gillian.

Minęło pięć dni od niewiarygodnych rewelacji, które Gillian usłyszała od ojca. Siedziała na tylnym siedzeniu samochodu, mozolnie wspinającego się po skałach górujących nad wioską, która mógłby posłużyć za plan zdjęciowy do filmu o dziewiętnastowiecznych

rybakach z Nowej Anglii. Wąska żwirowa droga, teraz zasypana skrzypiącym śniegiem, wkrótce, na czas zimowych sztormów, stanie się nieprzejezdna. I o to zapewne Hunterowi chodziło, pomyślała Gillian.

Wszystkie artykuły, które o nim czytała, łącznie z ostatnim, z „Newsweeka”, wspominały o jego obsesyjnie samotniczym trybie życia. Specjalnie jej to nie dziwiło. Pamiętała z jakim dystansem odnosił się do przyjęć organizowanych przez jej rodziców. Już wtedy nikt nie nazwałby Huntera duszą towarzystwa.

To oczywiście nie przeszkadzało matce zapraszać go. A kiedy Hunter z rzadka przyjmował zaproszenie, Irene Cassidy pozbywała się wszelkich zahamowań. Rozpuszczała coraz mniej powabne włosy, jej spódnice stawały się krótsze, a dekolty głębsze. Jej oczy emanowały niebezpiecznym światłem. Jej dźwięczny śmiech był o kilka tonów wyższy i o kilka decybeli głośniejszy. A sposób, w jaki kołysały się jej biodra, gdy paradowała w szpilkach i obcisłej spódnicy, gwarantował koncentrację wszystkich męskich spojrzeń.

Gillian miała matce za złe jej krzykliwą seksualność. Jak, do licha, Hunter miał ją w ogóle zauważyć, wychudzoną nastolatkę z aparatem ortodontycznym, kiedy matka ciągle wokół niego latała, jak jakiś egzotyczny, złocisty motyl?

Prawda była taka, że nawet bez konkurencji ze strony matki, Hunter i tak by jej nie zauważył.

Tymczasem, zgodnie z tym, co powiedział ojciec, Hunter, po obejrzeniu jej najnowszej kasety, postanowił zaciągnąć ją do swego łóżka. Choć jako nowoczesna, wyzwolona kobieta dwudziestego pierwszego wieku, powinna być wstrząśnięta i wzburzona tak ohyd-

nym, szowinistycznym traktowaniem, Gillian miała jeszcze w sobie na tyle dużo z zadurzonej dwunastolatki, by poczuć gorącą falę na samą myśl o takiej możliwości. Nie, żeby zamierzała naprawdę wskoczyć Hunterowi do łóżka, to oczywiste. Ten pomysł był w równym stopniu niewiarygodny, co oburzający.

Zajechali pod wysoką bramę z kutego żelaza, zwieńczoną czymś, co przypominało piekielnie ostre groty. Kierowca opuścił szybę i uruchomił elektroniczny zamek. Kamera, wbudowana w bramę, zaterkotała i po chwili usłyszała szcęk puszczających zasuw. Brama rozsunęła się bezszelestnie, otwierając przed nimi wjazd.

Powtarzali tę procedurę trzykrotnie i przy trzeciej bramie Gillian uznała, że „samotnik” to dla Huntera St. John było zbyt łagodne określenie. „Paranoik” pasowałoby lepiej, pomyślała, kiedy zdała sobie sprawę, że kamera dokonywała odczytu informacji z oka kierowcy. Słyszała o takiej technice, ale osobiście nigdy się z nią jeszcze nie spotkała.

Liczne punkty kontrolne kazały Gillian przypuszczać, że Hunter mieszka w ogromnej, przysadzistej, kamiennej warowni, przypominającej średniowieczne fortece. Kiedy pokonali ostatni zakręt i ukazał im się dom, oniemiała z zachwytu.

Wzniesiony z popielato-niebieskich dziś, cedrowych bali, przycupnął nad urwiskiem jak morski ptak, oferując efektowne widoki na wszystkie strony.

– Och, jest po prostu urzekający – wymamrotała do szofera, który podczas całej niespokojnej podróży ze stałego lądu milczał jak zaklęty w sposób typowy dla mieszkańców Nowej Anglii.



– Mhm – zgodził się mężczyzna, który przedstawił się jako Ben Adams. – Większość ludzi tak reaguje na ten widok.

– Domyślam się.

Właściwie, określenie „urzekający” nawet w małym stopniu nie oddawało piękna tego architektonicznego cudu. Najbardziej reprezentacyjnym elementem domu była szklana ściana, dwupiętrowej wysokości, wychylająca się z drewnianej połaci dachu dumnie jak dziób okrętu. Wyobraziła sobie, że stojąc w tym oknie, można się poczuć jak ptak szybujący nad wzburzonym Atlantykiem. Po obu stronach sterczały skrzydła okienne o wysokości jednego piętra. Sosny rosnące za domem przypominały nastroszone strzały, owinięte białym aksamitem.

– Oczywiście, pewnego pięknego dnia erozja spowoduje osunięcie się tej skarpy – zauważył szofer, praktyczny jak typowy Jankes. – Wtedy wszystko, co zostanie St. Johnowi, to kupa desek na plaży.

– Tymczasem jednak ma stąd fantastyczny widok – odpowiedziała.

Wzruszył ramionami.

– Nie da się zaprzeczyć.

Zajechał krętym podjazdem i zatrzymał się dokładnie na wprost podwójnych drzwi.

– Moja żona pracuje tu w tygodniu – zdradził, wydobywając z siebie teraz więcej słów, niż przez całą drogę. – Powinna być w środku; przygotowuje wszystko na pani przyjazd. Doktor St. John mówił, żeby się przygotować wcześniej – kontynuował bez zachęcania. – Na przedwczoraj najpóźniej.

– Coś mnie zatrzymało.

– Tak właśnie moja żona mu tłumaczyła. – Zaparkował samochód. Gdy podszedł otworzyć Gillian drzwi, ta stała już na wybrukowanym podejździe. – Ale doktor St. John nie wyglądał na zadowolonego, kiedy wczoraj wrócił, a pani jeszcze nie było.

– Jak rozumiem, doktor St. John jest przyzwyczajony do tego, że wszyscy wokół tańczą, jak on im zagra.

– Mhm, taki jest – zgodził się Ben. – Ale to porządny szef. Kiedy zeszłej zimy moja Mildred zachorowała na grypę, zapłacił jej za te dni, kiedy nie mogła pracować.

Te rewelacje nie zrobiły wrażenia na Gillian.

– Łaskawca – powiedziała wolno, tonem pełnym sarkazmu. – Jestem zdumiona, że nie wybrano go altruistą roku.

Szofer popatrzył na nią z ukosa, dziwiąc się, co właściwie robi na tej wyspie na początku grudnia. Lodowaty wiatr znad oceanu upewniał Gillian w tym, że nie był to szczyt sezonu turystycznego na Castle Mountain.

– To porządny człowiek – powtórzył. – Jak pani z nim popracuje, to sama się pani przekona.

Gillian zastanawiała się, co powiedziałby ten starszy człowiek, gdyby znał prawdę. Nie uwierzyłby. Gillian sama w to nie wierzyła. Gdy tak było, nigdy nie zgodziłaby się na coś równie absurdalnego. W głębi duszy nadal wierzyła, że jedynym motywem działania Huntera było wywołanie trzęsienia ziemi w poukładanym świecie jej ojca. I to mu się niezaprzeczalnie udało.

Teraz, kiedy już zobaczył byłego mentora u swych stóp, Gillian spodziewała się, że Hunter wyśmieje jej dziecinną naiwność, po czym odeśle ją do domu. I tak byłoby najlepiej.

Człowiek, którego pamiętała, może i zachowywał się nietypowo, ale nie był ani okrutny, ani groźny. To niemożliwe żeby mógł się tak zupełnie zmienić.

Żona Bena Adamsa była szczupła i wysoka. Posiwiąte włosy zbierała w praktyczny warkocz, który opadał jej na plecy.

– Doktor St. John oczekiwał pani wcześniej – odezwała się. Jej mąż wnosił w tym czasie bagaże Gillian do domu.

– Jako naukowiec, doktor St. John powinien być przyzwyczajony do cierpliwego czekania.

Mildred Adams obrzuciła Gillian długim, twardym spojrzeniem.

– Jest pani inna niż ta druga.

– Ta druga?

Mąż i żona wymienili krótkie spojrzenia. Z ich niemej konwersacji Gillian wywnioskowała, że Ben zwykle zachowywał dyskrecję, podczas gdy Mildred była osobą wyjątkowo gadatliwą.

Bładniebieskie oczy Mildred przez dłuższą chwilę wpatrywały się w Gillian. Nie odpowiedziała bezpośrednio na pytanie Gillian.

– Mam nadzieję, że jest pani silniejsza niż na to wygląda.

Badawcze spojrzenia obu kobiet skrzyżowały się.

– Muszę taka być.

Odpowiedź Gillian sprowokowała kolejne nieustępliwe spojrzenie gospodyni.

– Doktor St. John też musi. To może być interesujące.

– Interesujące jak nitrogliceryna i miotacz ognia – bąknął jej mąż. – Dokąd mam zanieść te bagaże?

– Doktor St. John polecił ulokować pannę Cassidy w jego pokoju. – Odwróciła się do Gillian, zdając się nie zauważać rumieńców zakłopotania, jakie ten pomysł wymalował na policzkach dziewczyny. Adamsowie byli przekonani, że Gillian będzie dzielić łóżko z ich pracodawcą. – Pokażę pani, gdzie to jest. Później może się pani odświeżyć przed kolacją. Podaję zawsze o szóstej, co do minuty. Zaraz potem kończy się moja dniówka. Doktor St. John zawsze jada w laboratorium. Ale polecił mi nakryć dla pani w jadalni.

– Nie zje ze mną? – zapytała Gillian, podążając za kobietą przez hol.

– O, nie. Doktor St. John pracuje dzisiaj w domu, ale wątpię, czy zobaczy się pani z nim przed północą. Nawet kiedy jest już zmęczony eksperymentami, wyciążnięcie go z laboratorium graniczy z cudem. – Podała Gillian kopertę. – Miałam polecenie oddać to pani zaraz po przyjeździe. Myślę, że znajdzie tu pani wyjaśnienie.

To powiedziawszy, gospodyni otworzyła jedno z dwojga drzwi prowadzących do pomieszczenia, które najwyraźniej pełniło funkcję sypialni głównej. Ściany zbudowano z tych samych bali, co resztę domu, ale tutaj zostały one pomalowane na lśniący złociście brąz. Gillian zauważyła, że były jedyną ciepłą rzeczą w tym pokoju.

Pełna odcieni czerni i szarości, sypialnia prezentowała się krzykliwie i awangardowo. Jak na tak urocze, dziewicze otoczenie, była zdecydowanie zbyt zimna i nieprzystępna; bardziej nadawałaby się do apartamentu przy Piątej Alei.

Centralną część pokoju zajmowało ogromne łóżko, przykryte błyszczącą, ciemnobrązową kapą. Na widok

powieszonego nad łóżkiem lustro, z ust Gillian wydobył się głuchy jęk. I Ben, i Mildred dyskretnie zignorowali lustro i mimowolną reakcję Gillian.

– Tu jest łazienka – oświadczyła Mildred, wskazując łukowate drzwi, za którymi na czarnym, szklistym podeście naprzeciw okna kusiła przesadnie duża wanna z jacuzzi. Wielkich rozmiarów okno o potrójnej szybie oferowało widok czerniejącej toni oceanu. – Doktor St. John polecił mi opróżnić to na pani rzeczy. – Wskazała ręką wysoką komodę, w tym samym kolorze co podest.

– Niedługo będę musiała podać kolację i zbierać się do wyjścia – ciągnęła beznamiętnie Mildred. – Więc, kiedy już się pani odświeży, pokażę drogę do jadalni.

– Jeżeli mam jeść sama, to mogę równie dobrze w kuchni – zapewniła ją Gillian.

– Doktor St. John mówił o jadalni.

– I doktor St. John stawia na swoim – skomentowała Gillian, zaczynając pojmovać otaczającą ją rzeczywistość.

– Lepiej to sobie zapamiętać – powiedziała Mildred rzeczowym, zdecydowanym tonem. – To dobry pracodawca. Wymagający, ale sprawiedliwy – oświadczyła, powtarzając jak echo wcześniejsze słowa męża. – A nawet, jeżeli nie, to ja bym mu się nie sprzeciwiała.

I, jak pomyślała dziesięć minut później Gillian, właśnie dlatego siedziała zupełnie sama przy stole zaprojektowanym dla co najmniej tuzina gości. Zdawała sobie wprawdzie sprawę z tego, że wzbogacony ziarnami zbóż krem z owoców morza, zielona sałata i ciemne pieczywo były pyszne, ale chociaż od chwili wejścia na pokład samolotu w San Francisco nic nie

jadła, nie mogła przełknąć ani kęsa. Nie po przeczytaniu listu Huntera. To właściwie nie był list, raczej instrukcja obsługi. Napisana drukowanymi literami, zaczynała się bez wstępów.

*Witaj na Castle Mountain, Gillian. Ufam, że miło spędzisz czas na naszej wyspie, i że wyjeżdżając, zabierzesz ze sobą niepowtarzalne wspomnienia.*

*Przez chwilę uwierzyła, że podróż do Maine nie była niczym więcej niż zasłużone wakacje po wyczerpującym tournée.*

Następny wiersz świadczył o czymś przeciwnym, bezwzględniej ukazując prawdziwy powód, dla którego znalazła się na tej odludnej wyspie, w tym odludnym domu.

*W łóżku znajdziesz szlafrok. Po kąpieli załóż go. Rozpuść włosy, a jeżeli masz makijaż, zmyj go. Chcę, abys zrobiła na mnie takie wrażenia, jak na koncercie w Stonehenge – czysta i niewinna, otoczona aurą nietkniętej zmysłowości. Będę pracował do późna, jednak spodziewam się, że nie zaśniesz, zanim nie dotążę do ciebie w sypialni. Ufam, że najbliższy miesiąc będzie niezapomniany dla nas obojga.*

*Gdybyś uznała, że moje wymagania ci nie odpowiadają, zapamiętaj jedno: jeśli wyjedziesz przed upływem trzydziestu dni, zniszczę twojego ojca bez chwili wahania. Wybór należy do ciebie, uroczą Gillian. Mam nadzieję, że twój przyjazd, chociaż o jeden dzień spóźniony, oznacza gotowość do spełniania moich życzeń. Jakie by one nie były.*

Podpis był ledwo czytelny.

– Do diabła – zakłęta znowu Gillian, wpatrując się w nieprzeniknioną ciemność. Księżyc był w nowiu. Niebo i woda były zupełnie czarne i ta czerń zdawała się wypełniać wszystko.

Po raz pierwszy izolacja i to wszystko, na co się tak naiwnie zgodziła, dotarły z całą mocą do świadomości Gillian.

Hunter obiecał, że jej nie skrzywdzi. A jeżeli kłamał? A jeżeli był równie zimny i bezwzględny, jak jego wstrętny list? No, bo w końcu, jaki człowiek mógł wymyślić taki scenariusz, myślała. A jeżeli zamierzał zniewolić ją dosłownie i wykorzystywać w sposób tak przerażający, że nawet nie chciała o tym myśleć?

Pomysł, by dziewczica trafia w odcięte od świata miejsce, żeby tam płacić za winy ojca, mógłby posłużyć za scenariusz jakiegoś szmirowatego melodramatu.

– Nie cię diabli, ojcie. – Gillian najpierw wybuchła złością, by zaraz popaść w rozpacz. Miała jak najgorsze przeczucia. – O, Boże, co ja zrobiłam? – mamrotała.

Hunter obserwował ją na monitorze w wypełnionym książkami gabinecie. Nareszcie do niej dotarło. Dobrze.

Widział, jak wchodziła do domu – zupełnie jakby przyjechała do jakiegoś luksusowego nadmorskiego kurortu, gdzie spodziewała się uwagi, wygód i obiadów złożonych z fikuśnych sałatek z kwiatów. Nie uszedł jego uwagi lekki grymas pogardy na jej delikatnej jak porcelana buzi, kiedy zauważyła lustro.

Krótkie przyпіływy pewności siebie, okazywanej wobec Adamsów sugerowały, że Cassidy nie mijał się z prawdą. Ta kobieta potrafiła się cenić. Uznał, iż dzięki temu stanowiła dla niego tym większe wyzwanie.

Hunter obiecał Cassidy'emu, że nie skrzywdzi Gillian. To prawda. Ale miał zamiar zrobić wszystko, aby

w ciągu najbliższych trzydziestu dni skłonić ją do posłuszeństwa, uświadomić jej ciemne, zakazane, nieznane zakamarki jej seksualności, których istnienia nawet nie podejrzewała.

Widok rozczulającej się nad sobą Gillian nie trwał długo. Hunter usłyszał jej przekleństwo. Mocne, dosadne słowo wywołało jego lekki uśmiech. Rzuciła na stół serwetkę, wstała i wyszła.

Kiedy zdecydowanym krokiem maszerowała do głównego apartamentu, kamera w holu zarejestrowała błysk w oczach i zaciśnięte usta.

O tak, powiedział do siebie Hunter. Jego ciało drżało w dzikim oczekiwaniu. Ta delikatna pianistka o zaskakująco niezależnej duszy mogła ich małą gierkę tylko uatrakcyjnić.

Kiedy córka George'a Cassidy zostanie odpowiednio wytresowana, zwycięstwo Huntera będzie o wiele okazalsze.

Płomienie z ogniska rozpalonego w wyłożonym czarnymi kaflami kominku ogrzewały sypialnię, podczas gdy lodowata mżawka stukwała o szyby. Migotliwe pomarańczowe światło tańczyło na suficie. Na stoliku obok łóżka, w lichtarzu z kutego żelaza, stała gruba świeca w kolorze kości słoniowej.

Koszula nocna – raczej bladozielona jak morska toń niż czarna, jak się spodziewała – leżała zwinięta na łóżku, tak jak to Hunter zapowiedział w swym zuchwałym liście. Ponieważ wcześniej jej tam nie było, a państwo Adams wyszli zaraz po kolacji, Hunter musiał opuścić swoje laboratorium, aby wyłożyć dla niej tę koszulę.



Na samą myśl o tym, że on się gdzieś czai, niezauważony w tym rozległym domu, wchodzi do jej pokoju, może nawet penetruje jej prywatne rzeczy, Gillian dostała gęskiej skórki.

Naprawdę ją to wkurzało.

Koszula była w staromodnym francuskim stylu, z koronkową, ręcznie haftowaną górą, tak zwiewna, jakby z pajęczych nici przez nimfy utkana. Mimo gniewu i stanowczego postanowienia, że nie da się wciągnąć w zastawioną przez Huntera pułapkę zmysłów, Gillian czuła nieodparty pociąg do tej zwiewnej tkaniny.

Podniosła ją z łóżka i przesunęła palcami po koronkowych rozetach, które miały zakrywać jej piersi. Środek kwiatu był pusty tak, aby obnażyć sutki.

– Jeszcze jeden dowód na to, że subtelność nie jest najmocniejszą stroną tego człowieka – zachnęła się.

Materiał mógł sobie być wyśmienity, jednak styl zbyt wyzywający. Nic jej nie zmusi do założenia tego, stwierdziła kategorycznie. Popatrzyła w lustro nad głową.

– Chyba, że najpierw ustalimy nowe reguły gry.

Słyszając tę deklarację, Hunter roześmiał się. Chrapliwy rechot zadowolenia odbił się echem od ścian laboratorium, bardziej przypinającego pieczarę. Pomieszczenie było ciemne, oświetlone jedynie słabą, lodowatą poświatą gwiazd, zagląających tu przez szklaną ścianę, blaskiem komputerowego ekranu i kilku monitorów telewizyjnych.

– Brawo, mała – skomentował, podnosząc przysadzisty kieliszek z koniakiem w niemym toaście. – Ale gadanie ci nie pomoże. Już nie.

Obserwował, jak jej gniewne spojrzenie łagodnieje, a palce bezwiednie wędrują po koronkowym kwiatach. Kobiety są tak cudownie przewidywalne, pomyślał z satysfakcją. Często dziwiło go, dlaczego mężczyźni utrzymywali, że kobiecy umysł jest nieodgadniony.

Wszystko, co należało zrobić, to dowiedzieć się o nich wystarczająco dużo, aby stworzyć możliwy do zastosowania program oparty na tych informacjach. Zawsze postępowały zgodnie z oczekiwaniami, przynajmniej w dziewięćdziesięciu dwóch procentach. Tych osiem procent zachowań, które należałoby by uznać za nieprzewidywalne, nigdy mu nie przeszkadzało. Dzięki nim, jak to Hunter już wiele lat temu stwierdził, kobiety nie były nudne.

– To pokusa, Gillian – powiedział do ekranu. – Przyjmierz tę koszulę. Wiesz, że tego chcesz.

Przyglądał się jak dziewczyna zamyka oczy i gładzi dłonią zmysłowy jedwab.

– Wystarczy. Poczuj jaka jest gładka. Wyobraź ją sobie na swej nagiej skórze, ześlizgującą się po ciele jak chłodny wodospad.

Jak gdyby w odpowiedzi na to, Gillian otworzyła oczy i wsunęła rękę między warstwy jedwabiu. Potem, jak zahipnotyzowana, podniosła koszulę, przyłożyła do swego ciała i powoli odwróciła się do lustra w rogu pokoju, mogącego pokazać całą jej sylwetkę.

Nadal miała na sobie ciemnozielony sweter i tweedowe spodnie, w których przyleciała do Maine. Ale Hunter nie musiał się specjalnie wysilać, żeby wyobrazić ją sobie nagą. Trzymała koszulę prawą ręką, gdy

tymczasem lewa zaczęła powoli sunąć po błyszczącym, delikatnym jedwabiu.

Hunter nacisnął pilota, by zrobić zbliżenie, i zauważył, że z rozchylnych różowych ust Gillian wydobyło się lekkie westchnienie. Nie było głośniejsze od szeptu, ale mikrofon w sypialni bez problemu je zarejestrował. Pożądanie nagle ożyło.

Owładnięty potrzebą dotknięcia czegoś, kogoś, Hunter wepchnął prawą dłoń pod sweter i rozłożył palce na swej gorącej, rozpłomienionej piersi, wyczuwając coraz szybsze bicie serca.

Kiedy tak obserwował wędrującą powoli w dół rękę Gillian, obudził się jego penis, uciskany boleśnie dzinsowym szwem, marnym substytutem kobiecej dłoni. Dręczony nieokiełznanym pragnieniem rozerwania spodni i zaspokojenia żądz Hunter uznał, że nadszedł czas, by osobiście powitać swego gościa na Castle Mountain.

Koszula nocna była chłodna i uwodzicielsko zmysłowa w dotyku. Była też prawie zupełnie przezroczysta. Gillian obawiała się, że ubrana w nią kobieta odsłoniłaby znacznie więcej niż tylko ciało. Obnażyłaby również swoje wnętrze.

Nawet jeżeli z tym walczyła, jakaś siła, której nie była w stanie się oprzeć, sprawiała, że przyciskała tę koszulę do piersi. Jej oddech rwał się. Nie była naga, a mimo to dotyk jedwabiu sprawił, że nastąpiło w niej porywające przeobrażenie.

Jej oczy zdawały się być nienaturalnie rozszerzone i płonąć tym samym napastliwym blaskiem, jaki Gillian zapamiętała w spojrzeniu matki, kiedy ta

przygotowywała się na powitanie Huntera w domu swego męża. Czuła niezwykle, niemal bolesne napięcie w piersiach. I między nogami.

– Do twarzy ci w tym.

Nie słyszała, jak nadchodził, więc zerwała się na równe nogi. Upuściła koszulę, przyciskając dłoń do łomoczącego w piersi serca. Rozejrzała się wokół i w drzwiach zobaczyła Huntera.

## ***Rozdział czwarty***

Hunter stał w cieniu, przez co Gillian dobrze go nie widziała. Wydał jej się jednak wyższy niż go zapamiętała. I znacznie bardziej niebezpieczny. W czarnym swetrze i czarnych dżinsach sprawiał wrażenie nocnego widma.

Przycisnęła rękę do piersi, strwożona jak ścigany zająca.

– Śmiertelnie mnie wystraszyłeś!

– Dlaczego? Przecież wiedziałas, że jestem w domu i że po kolacji przyjdę do ciebie, do pokoju. Powinnaś była się mnie spodziewać.

– Pani Adams powiedziała, że zwykle nie opuszczasz laboratorium przed północą.

– Nie mam pojęcia, skąd pani Adams może znać moje zwyczaje, skoro nigdy nie została nawet minuty po szóstej w ciągu tych trzech lat, od kiedy ją zatrudniam.

Przemierzył pokój, z niebezpiecznym, dyskretnym męskim wdziękiem, schylił się i podniósł z ziemi koszulę.

– Nie ubrałaś się.

Gillian uniosła podbródek i spojrzała Hunterowi w oczy których wspomnienia nigdy nie zdołała usunąć z pamięci. Musiała wykazać się pełną samokontrolą, by nie jęknąć na widok nieregularnych blizn szpecących lewą stronę jego twarzy. Podobnie jak na widok błyszczącego w świetle kominka przedmiotu o hakowatym kształcie, który zajął miejsce jego lewej dłoni.

Przełknęła ślinę, starając się zachować zimną krew. Jej wszystkie problemy były niczym, w porównaniu z tragedią, jaka musiała spotkać Huntera.

– W zasadzie, to jestem ubrana.

Jego mocno zaciśnięte usta wykrzywiły się w grymasie uśmiechu, bez cienia radości. Jeżeli oczy były naprawdę oknami duszy, to oczy Huntera przypominały okiennice przeciwburzowe pomalowane na czarno.

Minęło zbyt wiele czasu od ostatniej wizyty St. Johna u fryzjera: jego kędzierzawe, kruczoczarne włosy, wijące się po kołnierzyku, robiły równie niepokojące wrażenie, jak jego reputacja. Do tego był nieogolony. Ponury cień na wolnej od blizn części twarzy dopełniał groźnego wizerunku barbarzyńcy.

Gillian trochę się go bała. Ale jeszcze bardziej obawiała się samej siebie i tego jak na nią działał. Z całej siły powstrzymywała się, by nie dotknąć tego pokiereszowanego, zaczerwienionego ciała. Pragnienie przyciągnięcia go walczyło z prastarym zakazem zabraniającym dzieciom fascynacji wszelkimi deformacjami czy ułomnościami. A obie te emocje ścierały się z niepohamowaną kobiecością, pulsującą teraz w jej żyłach.

– Nadal masz na sobie rzeczy, w których przyjechałaś

- powiedział łagodnie. – Poleciałem ci założyć to.
- Podsunął jej koszulę nocną.

Kontrast między delikatnym pastelowym jedwabiem a chłodną stałą powodował wyraźny ucisk gdzieś głęboko, w jej sercu. Gillian zawsze potrafiła okiełznać emocje, jedynym wyjątkiem była tu muzyka. Na potrzeby tej dziwnej gry, w którą wciągnął ją Hunter, postanowiła przestrzegać pewnych podstawowych zasad.

– Pomyślałam, że byłoby miło najpierw trochę porozmawiać.

– Zdaje się, że nie rozumiesz.

Hunter usiadł na czarnym, zamszowym pufie, pozostawiając na razie w spokoju kwestię koszuli. Wprawdzie nie stał już nad nią jak kat, lecz kiedy wyciągnął przed siebie długie nogi i uwydatnił, jak silnie jest podniecony, Gillian znowu poczuła się zagrożona. I jeszcze bardziej emocjonalnie rozdygotana.

– Nie ma o czym mówić – stwierdził.

– Moglibyśmy zacząć od „cześć”.

Westchnął ciężko, zmęczonym głosem.

– Cześć. – To słowo nie oznaczało wcale miłego powitania. Jego niewidoczne oczy lustrowały ją, oceniały, szacowały. – Dorostaś.

– Obawiam się, że to było nie do uniknięcia. Ostatni raz widziałeś mnie, jak miałam dwanaście lat.

– Dlatego ledwo cię pamiętam.

Nawet nie miał pojęcia, jak takie słowa mogły ranić. Na tę niepochlebłą uwagę, kobiecość Gillian zareagowała z pretensją.

– Cóż, nikt ci nie zarzuci, że próbujesz zaciągnąć dziewczynę do łóżka pochlebstwami.

– Wolałabyś, żeby skłamał i powiedział ci, jak

niesamowicie na mnie działałaś? Że na samą myśl o tobie robiło mi się gorąco? Że nie spałem po nocach, podniecając się fantazjami o rozbieraniu cię z tego okropnego szkolnego mundurka i dotykaniu każdego miejsca twego nieskazitelnie białego, dziewiczego, dziewczęcego ciała?

– Nie, oczywiście, nie chciałabym tego – oświadczyła, zaskoczona spokojem swojej odpowiedzi na słowa, które odczuła jak policzek. Jej fantazje, które, trzeba przyznać, mogły być wzmocnione odrobiną seksualnego pożądania i których wtedy nie rozumiała, były zawsze owiane mgiełką romantyzmu, jak gdyby sfilmowane w delikatnej poświacie z lat dwudziestych.

– Już sam pomysł jest odrażający.

– A więc się zgadzamy. Wierz mi, skarbie, jedyne kobiety, jakie mnie kiedykolwiek kręciły, były od dawna pełnoletnie.

– Jak moja matka. – Słowa te wydostały się z jej ust, zanim zdążyła się powstrzymać.

Hunter nie od razu zareagował. Jeszcze raz się jej przyjrzał, teraz dokładniej, dłużej, bardziej intymnie, zaczynając od czubka głowy, a potem wolno, kusicielsko przesuwając wzrok w dół, ku stopom, i z powrotem do góry.

Oceniał ją, w beczelnie męski sposób, który pobudzał każdy centymetr skóry, na którym jego oczy spoczęły.

– Irena była, na swój sposób, bardzo ponętną kobietą. Jednak, Gillian, ty ją przewyższasz.

Komplement, wygłoszony bez cienia czułości przez człowieka sprawiającego, że było jej na przemian gorąco i zimno, nie powinien być przyjemny, pomyślała w duchu. Nie powinien. Ale, do licha, był.



– Mężczyźni zawsze uważali, że moja matka jest ponętna.

Gillian wiedziała, że to dlatego wysłano ją do szkoły z internatem, zanim skończyła czternaście lat. W końcu nie można w nieskończoność uchodzić za podlotka, kiedy ma się w domu nastolatkę.

– Prawdę mówiąc – rzekł Hunter, marszcząc czoło – Irene była zawsze zbyt wyzywająca jak na mój gust. Bardzo przypominała mi bimber, który robiliśmy w laboratorium za czasów studenckich: tania, mocna i zdolna wywołać koszmarnego kaca następnego dnia... Przez te lata przerzuciłem się na delikatny, bogaty w smaku koniak. Taki, którego smak długo pozostaje w ustach.

Kiedy jego spojrzenie lubieżnie powędrowało z powrotem w kierunku jej piersi, motyle trzepoczące skrzydłami w żołądku Gillian zmieniły się w gigantyczne ptaszyska.

Zdecydowała, że nadszedł czas, by zmienić temat. Przede wszystkim, by wrócić do powodów jej przybycia na wyspę Castle Mountain.

– Ojciec powiedział mi o twojej groźbie.

– Domyślam się. Dlatego tu jesteś.

Przeciągnął jedwab między delikatnymi końcami hakowanej protezy, gładząc go bezwiednie zdrową ręką tak, jakby właśnie wyobrażał sobie Gillian w tej koszuli. A potem bez niej.

– Lojalna z ciebie córka. Jaka szkoda, że George Cassidy nie zasługuje na takie poświęcenie.

Był tak szczęśliwy, mogąc bawić się ludźmi, okręcać ich sobie wokół palca, jak gdyby życie było tylko jego prywatną, naturalnej wielkości szachownicą. Tak piekielnie butny!

Gillian podniosła głowę wyżej.

– Powiedział mi też o twoim oskarżeniu.

Jego oczy zwęziły się, jakby właśnie nazwała go kłamcą.

– Tak się składa, że to prawda. I mogę to udowodnić.

Nie było potrzeby. Gillian wiedziała, że Hunter mówi prawdę.

– To dlaczego tak długo z tym czekałeś? – Jej głos, już nie tak oziębły i zdecydowany, zdradzał rozżalenie nie tylko jej własną sytuacją, ale i oszustwem ojca.

– Nie sądzę, abyś uwierzyła w to, że czekałem, aż dorośniesz – ironizował.

Gillian była mu właściwie wdzięczna za pozbawiony emocji, pełen dystansu ton wypowiedzi. Pomagało jej to przywrócić wewnętrzny spokój. Zagłuszało też współczucie dla jego dramatycznych losów od tamtego dnia, kiedy wybiegł z laboratorium.

– Dopiero co przyznałeś, że mnie nie pamiętasz.

Jego niedbałe wzruszenie ramionami sugerowało, że się nie myliła.

– Na pewno znasz takie stare powiedzenie, że zemsta jest słodka?

– I tylko o to chodzi? O zemstę?

– Możesz mi podać lepszy powód?

Był niebezpieczny. Niebezpieczny i fascynujący. Gillian, które umawiała się tylko z mężczyznami ze swojej sfery – uroczymi i niegroźnymi – uważała wyrachowane, cyniczne zachowanie Huntera za równie ekscytujące, co deprymujące.

– Nie boję się ciebie – powiedziała, niezupełnie zgodnie z prawdą.

– A powinnaś. Poza tym kłamiesz, co jest wbrew zasadom naszej małej gry.

– Nie rozumiem. – Znowu odrzuciła dłonią włosy, a kiedy te opadały jej z powrotem na ramiona, zauważyła w jego oczach płomień gorącego pożądania, równie niepokojący, jak on sam. – Dlaczego ja?

Nigdy nie sądziła, że jest typem kobiety prowokującym zdrożne myśli. Nawet jej muzyka, nazywana przez krytykantów „muzyczką do poduchy”, miała raczej uspokajać niż pobudzać.

– To całkiem proste, Gillian. Było coś w twoim celtyckim koncercie, co mnie poruszyło. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale jest faktem, że chcę cię mieć. I mam zamiar mieć.

– Zawsze dostajesz wszystko, czego chcesz? – zapytała z autentyczną ciekawością.

Wstał i ruszył w jej kierunku.

– Zawsze jesteś taka kłótniwa?

I nagle zbliżył się za bardzo. Mimowolnie cofnęła się o krok.

– Właściwie to większość ludzi uważa, że jestem dość spolegliwa. – Uznała, że nie czas na wspomnianie machos z Rio.

– Naprawdę? – Postąpił jeszcze krok na przód.  
– Może wzbudzam w tobie najgorsze instynkty?

Czuła ciepło jego ciała, ale nie chciała dać mu tej satysfakcji i pokazać po sobie, jak bardzo ją przerażał – nie cofnęła się ani o krok.

– Och, powiedziałaabym, że to pewnik – odparła z udawaną czułością.

W normalnych warunkach nie była taka sarkastyczna. Ale czy można tu mówić o normalności.

Hunter westchnął i pokręcił głową.

– Nie rozumiem. Byłaś świadoma moich zamiarów, a fakt, iż znalazłaś się tu, na Castle Mountain, w moim domu, a właściwie w moim łóżku, kazałby każdemu rozumnemu człowiekowi uznać, że przyjęłaś moje warunki. Skąd więc u ciebie ta nagła potrzeba wybadania, na ile mnie stać?

– Nie mam pojęcia o czym mówisz – powiedziała, mimo zakazu postępowania się kłamstwem. Mimo liściku, koszuli nocnej, lustra nad łóżkiem ciągle nie mogła uwierzyć, że Hunter mówi poważnie.

– No proszę, znowu łamiesz zasady. – Jego ciemne oczy były tak nieustępliwe, jak oczy drapieżnika, który właśnie odciął swej ofierze jedyną drogę ucieczki. – Wiesz oczywiście, o czym rozmawiamy? Umowa, jaką zawarłem z twoim ojcem mówiła, że dni należą do ciebie. Ale noce są moje.

Złowieszczy uśmiech Huntera emanował męską arogancją.

– Tymczasem, słońce zaszło, a ty – proszę – nadal ubrana.

Zmarszczył brwi, przyglądając się jej drogim spodniom i swetrowi, który kupiła w Belfaście – koncertowała tam, w Grand Opera House, przez trzy noce z rzędu.

– Jeżeli spodziewałaś się, że je przed tobą zdejmę, byś mógł mnie w jakiś dziki i nieprzyzwoity sposób wziąć, to muszę ci wyznać, że gwałt nigdy nie należał do moich fantazji.

– Ale ty je dla mnie zdejmiesz, Gillian – zapewnił ją, wodząc po niej rozognionymi, ciemnymi oczyma. – To może potrwać kilka minut, może kilka godzin, ale wkrótce nauczysz się słuchać moich poleceń. Jeżeli

każę ci oprzeć się na skrzyni tak, abym mógł cię posiąść mocno i szybko od tyłu, zrobisz to bez pytania. Jeżeli zażądam, abyś uklękła tu na podłodze i wzięła go głęboko do swoich ślicznych ust, bez słowa protestu będziesz go połykała głębiej niż robiłaś to jakimkolwiek mężczyźnie. Moja gra, Gillian, moje zasady.

W jego głosie pobrzmiwały ponure tony, przemijające ją lękiem i wywołujące dreszcze. Ale Gillian starała się zachować choćby pozory opanowania, rozumiejąc, że było to niezbędne dla określenia jej pozycji w tej dziwnej grze.

– Masz naturę szowinisty, Hunter i pewnie będzie to dla ciebie szokiem, ale w tak oświeconych czasach kobiety nie muszą wykonywać rozkazów mężczyzn.

– Ty musisz. I wiesz co, Gillian, spodoba ci się to. Będziesz mi posłuszna, ponieważ będziesz tego chciała, a nie dlatego, że zmuszę cię do czegoś, na co się kategorycznie nie zgadzasz.

Wpatrywała się w Huntera wyzywająco, nieugięta i wojownicza.

– Nie życzę sobie, abyś traktował mnie jak prostytutkę, której zapłaciłeś za noc.

– Nie traktuję cię jak prostytutkę, Gillian, chociaż nie minąłbym się z prawdą mówiąc, że na swój sposób zarezerwowałem sobie twoje usługi. I to na znacznie dłużej niż jedną noc.

Dłonie Gillian zacisnęły się w pięści. Choć jeszcze nigdy w życiu nikogo nie uderzyła, w tej chwili miała nieodpartą ochotę przyłożyć Hunterowi. Nadludzkim wysiłkiem powstrzymała się od spełnienia tego nagłego pragnienia.

– Jesteś diabłem.

– Możliwe. – Zdając się nie zważać na jej inwektywy, Hunter podrapał się po nieogolonej szczęce. – Co moim zdaniem oznacza, że wkrótce się przekonasz, jakie to uczucie zatańczyć z diabłem – oświadczył metaforycznie.

Jeszcze raz podał jej tę koszulę. Jego spojrzenie było twarde i mroczne jak cień, a wyraz ust nie wróżył nic dobrego.

– Teraz, Gillian, chcę, żebyś pozbyła się tego, co okrywa twoje śliczne ciało. Więc albo sama zdejmiesz ubranie, albo zrobię to za ciebie. A jeżeli mnie do tego doprowadzisz, wierz mi, skarbie, nie będą się już nadawały do ponownego użycia.

Zastanawiała się, co się stało z jego ostatnią obietnicą, tą o nie zmuszaniu jej do niczego.

– Mogłabym wyjechać.

– Noc jest dzisiaj ciemna. I nawet gdybyś przedostała się przez moje wszystkie zabezpieczenia, co, możesz mi wierzyć, jest niemożliwe, to czeka cię jeszcze droga w dół, na wybrzeże, droga, która jest zdradliwa nawet za dnia. Po zmroku jest zabójcza. Mogłabyś runąć w przepaść. I jak wtedy wytłumaczyłbym taki wypadek twemu kochającemu ojcu?

Jego głos był pełen sarkazmu. Nawet biorąc po uwagę fakt, że, kiedy poznała Huntera, była jeszcze niedoświadczonym, zakochanym podlotkiem, nie wierzyła, by tak naprawdę był zdolny kogoś skrzywdzić.

Ale przecież, pomyślała ponuro, czy kiedykolwiek zwątpiła w honor swojego ojca? I jakże się zawiodła.

– Jeżeli zamierzasz mnie bić, chłostać lub poniżyć w inny sposób, wyjadę.

– Nie musisz się niczego obawiać. Nie jestem fanem bicza ani łańcuchów.

– Nie chcę też brać udziału w żadnych orgiach. – Co do tego miała jasność. – Więc jeśli myślisz o wprowadzeniu do tej twojej dziwnej gry dodatkowych graczy, raczej spróbuję stawić czoło nocy i skałom.

– Sądzę, że i na to mógłbym przystać. Tak długo, jak będziesz potrafiła zaspokoić mnie jako kobieta – dodał frywolnie.

Przepełniała ją gorycz. I pomyśleć, że wokół tego mężczyzny kręciło się kiedyś jej życie uczuciowe.

Kiedy dorastała samotnie w Szwajcarii, zawsze miała przy sobie sekretny album, wypełniony wycinkami z gazet, gdzie opisywano dokonania Huntera od czasu przymusowego opuszczenia MIT. Były tam też artykuły o jego badaniach profilu osobowości genetycznej, który, choć kontrowersyjny, jak wszystko co dotyczyło Huntera, był wykorzystywany przez firmy na całym świecie. Bez wątpienia, to dzięki tantiomom z tego źródła mógł utrzymać tak luksusowy dom.

Nawet jeśli od kilku lat nie uzupełniała już tego albumu, nadal myślała o nim bardziej, niż nakazywał rozsądek kobiety dojrzałej.

– Jesteś obrzydliwy.

Wzruszył tylko ramionami.

– Ubranie, Gillian – przypomniał jej miękkim głosem, który trwożył ją bardziej niż najgłośniejszy krzyk. – Proponuję zacząć od butów. Potem posuniemy się dalej.

## ***Rozdział piąty***

Nawet kiedy ojciec powiedział jej o pogroźkach Huntera, Gillian wmawiała sobie, że tak naprawdę nie będzie musiała z Hunterem sypiać. Och, raz, może dwa razy przyszło jej do głowy, że mógł mówić serio. A wtedy – z tą myślą już się oswoiła – dla ratowania ojca była gotowa ponieść taką ofiarę. Teraz jednak nie mogła się ruszyć.

– W porządku. – Jego głos owijał się wokół niej jak kruczoczarna aksamitna wstęga. – Pomogę ci. Ten pierwszy raz.

Przycisnęła rękę do piersi.

– Hunter, nie rób tego.

Zignorował jej słaby protest.

– Lubię sposób, w jaki wymawiasz moje imię. Mówisz to tak gardłowo, jak gdyby z pewnym trudem.

Przejechał palcami po wywiniętym kołnierzu swetra Gillian, wznecając w niej iskry podniecenia. Potem wcisnął kciuk w pulsujące zagłębienie w dolnej części jej szyi. – Boisz się mnie, Gillian?



Gdy nie odpowiadała – nie mogła – Hunter wsunął palce pod miękką wełnę.

Spędzając w dzieciństwie tyle czasu w domu, gdzie nikt nie okazywał jej uczuć, gdzie nawet dotyk matki był zarezerwowany dla mężczyzn innych niż ojciec, mężczyzn w rodzaju Huntera St. John, Gillian nigdy nie myślała o sobie jako o osobie zmysłowej. Aż do dziś.

– Nie musisz się obawiać. – Jego niski głos działał hipnotyzująco, jak głos anioła ciemności, wiodącego ją na nieuchronne pokuszenie. – Mówiłem ci, że obiecuję nie zrobić niczego, na co byś się nie godziła, tak naprawdę, z głębi duszy.

Jego palce siały zamęt w jej zakończeniach nerwowych. Miała wrażenie, że stoi na samym skraju skalnej przepaści, oddzielona jedynie ścianą ze szkła, i że za chwilę rzuci się w bezmierną, czarną otchłań.

Bez ostrzeżenia ściągnął jej sweter przez głowę.

– Nigdy nie sądziłem, Gillian, że należysz do dziewcząt noszących białą, bawełnianą bieliznę – powiedział z lekkim rozbawieniem, przypatrując się wymownie praktycznemu stanikowi.

– Bawełna jest wygodna.

– I całkowicie pozbawiona erotyzmu. – Uwięził oba jej nadgarstki w prawej dłoni, po czym zręcznym ruchem protezy zwolnił zatrzask na przodzie stanika. – Pewnie tak ubierają się zakonnice, żeby powstrzymać się od nieczystych myśli. Nie wkładaj tego więcej, dopóki tu jesteś.

– Myślę, że powinno mi być wolno nosić to, na co mam ochotę – wybełkotała, chociaż jej serce biło szybciej. I mocniej. – Przynajmniej w ciągu dnia, kiedy zgodnie z obietnicą sama o sobie decyduję.

– Skłamałem.

Wyraźnie owładnięty bladością jej skóry, wyciągnął rękę i podążył za delikatnym śladem żyły, wiodącym od brzegu jej lewej piersi do sutka. Potem powtórzył tę zmysłową pieśczętę na drugiej piersi, obserwując jej twarz i czekając na reakcję. Mimo, iż Gillian starała się niczego nie okazywać, jej twarz zdradzała już niemal kompletne odurzenie.

Nie mogła się zdecydować, na kogo powinna być bardziej zła – na Huntera za wymyślenie tak szokującego scenariusza, czy na samą siebie, za głupią wiarę w to, że uda jej się zachować nad wszystkim kontrolę. Krew uderzająca do głowy uświadomiła Gillian, że znalazła się na emocjonalnych ruchomych piaskach.

Wyrwała się.

– Do licha, Hunter, jeżeli nadal się upierasz, żebym brała udział w tej śmiechu wartej farsie, to odpuść sobie to marne uwodzenie i miejmy to już za sobą.

– To nie farsa.

– Naprawdę? Zawsze szantażujesz kobiety, żeby zaciągnąć je do łóżka?

– Nie – odparł Hunter, nieco rozbawiony jej wojowniczością. – Ty jesteś ta pierwsza.

Nie mogąc w tej sytuacji znaleźć równie dowcipnej odpowiedzi, Gillian z ulgą powitała złość malującą się na jego sardonicznie wykrzywionych ustach. Dzięki temu mogła oderwać się myślami od tego dziwnego, rozpalającego ją bezgranicznie uczucia, jakie wywołał jego nikczemny dotyk.

– Nie sądzę, byś w ogóle pomyślał o zastosowaniu jakiejś bardziej zaawansowanej taktyki uwodzenia, jak przysłanie mi kwiatów albo zaproszenie na obiad.

– Zastanawiałem się nad tym. Szczególnie dlatego, że tak wiele kobiet czuje się dużo swobodniej, kiedy może ładnie i romantycznie opakować coś, co jest w zasadzie tylko zwierzęcym instynktem. Ale w twoim przypadku zdecydowałem się na metodę bezpośrednią.

Gillian podejrzewała, że udawanie romantycznych uczuć wobec niej uniemożliwiłoby mu wykonanie tego, czego naprawdę pragnął – satysfakcji z patrzenia, jak jej ojciec wije się, nie mogąc nie przyjąć znieważającej, rzuconej prosto w twarz propozycji.

– Powiedz mi, Gillian, gdybym posyłał ci kosze świeżo ściętych czerwonych róż i złożone pudełka trufli w czekoladzie, a może nawet wypisywał kwieciste liściki, porównując twoje piękno do letniego dnia, poszłabyś ze mną do łóżka?

– Skądże znowu.

W porządku. Może to i nie była zupełna prawda. Gillian odkrywała nagle, że mimo okropnego zachowania Huntera, była na tego mężczyznę równie nieodporna co dawniej. Może nawet bardziej. Teraz rozumiała już nienazwane odczucia, jakich doświadczała jako dziewczynka.

Zapadła między nimi nieznośna cisza. Powietrze w pokoju zrobiło się ciężkie od zmysłowości.

– Wiesz – odezwał się w końcu Hunter – myślę, że zmienię zasady naszej małej gry.

– Czemu mnie to nie dziwi?

Potrząsnął głową i mlasnął językiem.

– Masz niefortunny zwyczaj odpowiadania sarkazmem na wszelkie próby podjęcia rozmowy, na której, jak twierdzisz, ci zależy. Skończ z tym. Natychmiast.

Zesztywniała w obawie, że Hunter powróci do kwestii nieużywania przemocy. On jednak uwolnił ją z uścisku, poszedł w miejsce, gdzie Ben Adams złożył jej bagaże, rozpiął mniejszą z toreb, znalazł przegródkę, do której spakowała bieliznę i wyciągnął jej zawartość. Gillian była zszokowana, kiedy wziął jej gładkie majtki i staniki, i wrzucił do kominka.

– Przestań!

– Moja gra, moje zasady. Mogę wszystko, jeśli zechcę, pamiętasz? – zapytał miękko i groźnie, tonem, który ją jednocześnie rozbrajał i podniecał.

Podczas gdy ona patrzyła zszokowana, jak płomień obejmują jej majtki i staniki, on podszedł do toaletki, wysunął szufladę i wydobył z niej stos jedwabnej i atłasowej bielizny w jaskrawych kolorach, przypominającej z daleka łup ze sklepu jubilerskiego.

– Domyślam się, że zostały skonfiskowane innym kobietom z twojego haremu? – zapytała ironicznie.

– George miał rację – odparł Hunter. – Masz nie tylko wysokie mniemanie o sobie, ale również nie boisz się tego okazywać.

– Jeżeli chcesz bezwonną kochankę, gotową na każde twoje skinienie, proponuję nadmuchiwaną lalkę – odparła z wyjątkową słodyczą.

Hunter zdawał się być nieporuszony jej imperytyncją.

– Myślę, że prędzej wstąpię do zakonu niż ucieknę się do takich zabaw. A skoro o tym mówimy, kupiłem je wszystkie dla ciebie.

– Och. – Chociaż nigdy nie gustowała w efektownej bieliźnie, widok tej haftowanej konfekcji robił na Gillian z pewnością równie podniecające wrażenie co

koszula nocna. – Mam trudności z wyobrażeniem sobie, jak robisz zakupy na Victoria Street.

– Zdziwiłabyś się, co w dzisiejszych czasach można kupić przez Internet.

– Na pewno nie chcesz ich spalić? – Nie zrobiłby tego. Ale w przypadku Huntera St. John niczego już nie mogła być pewna.

Nastąpiła kolejna długa przerwa, podczas której Hunter przyglądał się wnikliwie kolorowej bieliźnie, jakby poważnie rozważał ten pomysł.

– Nie – zdecydował w końcu. – Nie sądzę. Może później znajdziemy dla niej jakieś zastosowanie. – Jego głos kipiał seksualnym podtekstem. – Dużo, dużo później... A tymczasem dochodzę do wniosku, że seksualnie nie jesteś zbyt rozbudzona, Gillian, co jest dla mnie nowością, bo twoja muzyka zawiera w sobie niezwyklej potencjał namiętności. I chociaż na pierwszą noc zaplanowałem mnóstwo erotycznych rozkoszy, myślę, że musimy trochę zwolnić.

Upuścił jedwabne i atłasowe fatałaszkę na materac, na którym wyglądały jak confetti, a potem znowu do niej podszedł. Długimi, ciemnymi palcami prawej dłoni ujął jej pierś.

Potem, nie spuszczać z niej władczego wzroku, nachylił się wolno, aż na swych ustach mógł poczuć ciepło jej oddechu.

– Wiem, jak bardzo mój dotyk rozgrzewa twoje ciało, Gillian – szept Huntera owiał twarz dziewczyny jak delikatny, letni wietrzyk. W jego oddechu poczuła koniak, o którym wcześniej wspomniał. Uniósł jej pierś i pocałował blade miejsce pod nią, wywołując łomot serca, który wyczuwał ustami. – Mógłbym rzucić cię na

podłogę i w jednej chwili posiąść. A potem, drżącą ciągle po najsilniejszym w życiu orgazmie, zaspokoić znowu. I znowu. Przez całą noc. Mógłbym dać ci najlepszy seks, jaki kiedykolwiek przeżyłaś, Gillian. I zostawić cię błagającą o jeszcze.

Jego głos i błysk dzikiego pożądania w oczach sprzysięgły się, by wzbudzić żądzę i wywołać zamęt w głowie. Nigdy nie uwierzyłaby, że tak nieprzyzwoite słowa mogą wprawić w drganie każdy nerw jej ciała.

Gillian próbowała coś mówić, lecz jego usta bezwzględnie podporządkowały sobie jej delikatne wargi, odbierając jej dech w piersiach.

Podobnie jak w słowach, które miały ją zaszokować i pobudzić, tak i w tym dzikim pocałunku nie było cienia subtelności. Jego wargi wpiły się w nią gwałtownie, jego nieogolona szczęka drapała jak papier ścierny, jego zęby sprawiały ból. Wepchnął język między jej zęby, zatapiając go głęboko.

Mierzwił jej włosy ręką i protezą, potem szarpnął jej głowę w tył, sprawiając, że pocałunek stał się jeszcze głębszy, jeszcze bardziej mroczny, aż ją pochłonął.

Wtedy, gdy Gillian wirowało w głowie, a nogi ugiwały się pod nią, jak z waty, niszczycielski pocałunek skończył się równie błyskawicznie, jak zaczął.

– Miałś męczący lot, męczący dzień – odezwał się.  
– Wrócimy do tego jutro.

Gillian wpatrywała się w Huntera ciągle przez mgiełkę mimowolnego pożądania, starając się zrozumieć jego słowa. Była jednak tak rozdygotana i wstrząśnięta, że równie dobrze mógł mówić do niej w jakimś obcym języku.

- Nie rozumiem, czego ty ode mnie chcesz.
- Czego chcę, śliczna Gilly?

Wierzchem dłoni przesunął po jej policzku, wywołując kolejną falę dreszczy. Jego oddalające się spojrzenie nie straciło nic ze swej mocy.

- Wszystkiego.

Po złożeniu tego złowróżbnego oświadczenia, zebrał bieliznę z łóżka i wyszedł.

Bicze, których wcześniej się obawiała, nie sprawiły by Gillian więcej bólu niż taka oznaka nagłej obojętności. Jakież człowiek może zmienić się w ułamku sekundy z namiętnego kochanka w bryłę lodu? Jego gra, powtórzyła ponuro w myślach.

Wstrząśnięta do głębi, opadła na posłanie. Przyłożyła rękę do głowy, zamknęła oczy i wzięła kilka głębokich oddechów. Potem ukryła twarz w dłoniach, próbując stłumić szloch.

Kiedy Hunter wrócił, Gillian nadal siedziała w tej samej pozycji. Wyglądała jeszcze bardziej krucho i bezbrannie. Stał w drzwiach i przyglądał się jej, siedzącej na jego rozłożystym, pustym łożu, z twarzą osłoniętą długimi palcami, niezaprzeczalnie stworzonymi dla pianina.

Obudziło się w nim coś, co przypominało poczucie winy, ale natychmiast zostało zagłuszone.

Gillian Cassidy jest dorosłą kobietą, przypomniał. Nikt jej nie zmuszał do przyjazdu na Castle Mountain. Znalazła się tu z własnej woli, rozumiejąc, że przez trzydzieści dni będzie na jego zawołanie, do jego dyspozycji i, cokolwiek by to miało znaczyć, dla jego przyjemności.

Ale i ona będzie czerpać z tego przyjemność. Przekraczając jej najśmielsze wyobrażenia. Było oczywiście, że pomimo tej okropnej bielizny, była równie głodna seksu jak Toni.

W chwili, kiedy jego usta przywarły do ust Gillian, poczuł przeszywający ją wstrząs, a potem drzenie strachu. Wreszcie poddała się zmysłowemu dotykowi języka, który penetrował wewnątrz jej ust i bez reszty zniewalał.

Jeden pocałunek starczył, by potwierdzić to, co zdradzała jej muzyka: pod fasadą niewinności tlił się ukryty żar namiętności. Hunter był pewien, że bez trudu zdoła rozniecić iskrę w płomień.

Dlaczego więc, była tak przygnębiona, tak zagubiona?

Patrzył na jej drżące palce. Rozcierała skronie, by uspokoić żywyoty, które za jego sprawą szalały w jej głowie. Przez chwilę zapragnął ją pogłaskać, może nawet szepnąć kilka słów otuchy.

Hunter pożądał Gillian od pierwszej chwili, kiedy obejrzał tamtą kasetę. Ostre klucie pożądania specjalnie mu nie przeszkadzało. Bywały kobiety, których pożądał. Przed zamachem, w którym omal nie stracił życia, prowadził bardzo aktywne i urozmaicone życie seksualne. A już na pewno nigdy nie czuł potrzeby przeproszenia za to, że Bóg stworzył go mężczyzną i człowiekiem.

Nigdy jednak żadna kobieta nie zawładnęła jego umysłem do tego stopnia co Gillian. Myślał o niej w ciągu dnia, kiedy powinien pracować. Marzył w ciągu nocy, kiedy powinien spać. I nawet nie potrafiłby policzyć, ile razy oglądał tę przeklętą kasetę z koncertem w celtyckiej scenerii.



A na domiar złego, nigdy jeszcze żadnej kobiety nie pragnął bardziej niż Gillian w tej chwili.

I dlatego zdecydował, że z tej dość niepewnej sytuacji najrozsądniej byłoby się na razie wycofać, dosłownie i w przenośni.

Targany nieznanymi emocjami, wszedł do pokoju, ujął jej dłoń, przyklejona do twarzy, i energicznie wcisnął w nią szklankę z wodą.

– Przyniosłem coś, co pomoże ci zasnąć.

Gillian powoli otworzyła oczy i zerknęła podejrzliwie na małą, białą tabletkę, którą jej podawał.

– Nie potrzebuję środków nasennych.

– To nie jest lek. To zioła, zupełnie nieszkodliwe. Sam ich używam, szczególnie po długich lotach.

– Nie mam problemów z lataniem.

– I pewnie zawsze śpisz jak niemowlę, co? Dlaczego jej po prostu nie weźmiesz? – Była to tylko propozycja, nie rozkaz.

– Spodziewam się, że gdybym odmówiła, wepchnąbyś mi ją do gardła. – Wąty, drżący, pełen lęku głos Gillian wywołał w Hunterze lawinę nieznanych wrażeń. Do licha!

– Powiedziałem ci, Gillian, nie musisz robić niczego wbrew sobie.

Chciał, by się poddała. Chciał jej kapitulacji, bezwarunkowej i dobrowolnej. Na szczęście przez wiele lat pracy badawczej nauczył się cierpliwości. Chociaż nie o to mu pierwotnie chodziło, był gotów czekać.

– Mimo, że masz za sobą długi dzień i męczący lot, że czeka cię noc w obcym łóżku, i że zaprzeczysz temu, co powiem, myślę, że podniecam cię równie mocno, jak ty mnie.

Poddając się impulsowi, pogładził jej złote, falujące loki, opadające na nagie ramiona.

– Pasujemy do siebie, Gillian. Razem będziemy robić rzeczy, o jakich ci się nawet nie śniło. Zabiorę cię poza granice tego, co nazywasz seksualną przyzwoitością. A ty będziesz błagać, bym się nie zatrzymywał. Uwolnimy cię, Gillian. Rozkujemy niewidzialne okowy, krępujące równie skutecznie jak habit krępuje mniszkę. Potem, naga, skoczysz ze mną w ogień.

Dłoń Huntera wślizgnęła pod miękką czuprynę włosów i zaczęła masować jej kark.

– Dzisiejszej nocy jednak możesz się niczym nie martwić.

Wstał i spojrział na nią, pobudzony niegasnącą zmysłowością, tłącą się w jej oczach. Miał wrażenie, jakby piorun wstrząsnął jego penisem, choć czuł się osobliwie nieswojo, dotknięty obawą, którą dostrzegł w subtelnej głębi jej zielonych oczu.

Chciał jej dotknąć, jeszcze raz, ale konieczne było zachowanie kontroli, i nad tą sytuacją, i nad samym sobą, więc nie pozwolił spełnić się temu przemożnemu pragnieniu.

– Będziesz o mnie śniła.

Posłał jej diaboliczny, wyuczony uśmiech, potem odwrócił się i ponownie wyszedł z sypialni, by być z dala od pokus.

Hunter to chyba jakiś szatański jasnowidz w sprawach seksu, przyznała następnego ranka z niechęcią Gillian. Stało się tak, jak przewidział: naprawdę o nim śniła. Gorąco, namiętnie, zmysłowo. Zbytkowne egipskie prześcieradła były teraz rozpaczliwie pomięte,

ręka zmęczona od ciągłej wędrówki między udami, a ciało obolałe od niezaspokojonego pożądania.

Nie kłamała, mówiąc Hunterowi o tym, że dalekie loty nigdy nie wywoływały u niej zaburzeń snu. Należała na szczęście do ludzi, którym obce są kłopoty z zaśnięciem. Czy to na pokładzie samolotu, czy na tylnym siedzeniu taksówki, czy też w obcym łóżku, w kolejnym hotelu, tysiące kilometrów od domu, w jednej chwili potrafiła uciąć sobie zarówno dziesięciominutową drzemkę, jak i zapaść w sześciogodzinny sen, a potem obudzić się rześka i wypoczęta.

Dzięki temu trasy koncertowe była dla niej mniej forsowne niż dla innych artystów. Wychodziła na scenę o północy, by już następnego ranka bez problemu zjawić się na lotnisku wyspana i gotowa zmierzyć się z następnym dniem.

Ale pierwszej nocy na Castle Mountain sen nie przyniósł jej orzeźwienia, a do tego prawie do północy nie mogła go przywołać. Ślaniając się na nogach dotarła do łazienki, przylegającej do jej luksusowej sypialni.

Chociaż starała się nie spoglądać na jacuzzi, trudno było tego uniknąć, skoro zajmowało centralną część pomieszczenia. Przez ułamek sekundy wyobrażała sobie, że leży naga w ramionach Huntera, a wokół nich wydobywają się z wody ciepłe pęcherzyki powietrza.

– Bezpieczny, ziołowy środek nasenny, co? – mruknęła, odkręcając kurek prysznic.

Wyłożona kafelkami, oszklona kabina wypełniła się parą. Gillian stała pod prężerzem gorącej wody, pozwalając jej zaciekle nacierać na swą skórę. Po prysznicu otuliła się grubym szlafrokiem, który wisiał tuż obok. Szlafrok okrywał ją jak ciepły czarny kokon.

Od razu zorientowała się, że należy do Huntera. Miał go ostatnio na sobie. Kiedy poczuła zapach właściciela, mimowolnie powiodła dłonią po wyłogach.

Nigdy nie uważała się za osobę przesadnie pociągającą seksualnie, dzięki czemu udało jej się w wieku dwudziestu pięciu lat zachowywać dziewictwo. Będąc świadkiem ciągłych miłostek i eskapad matki, już dawno temu podjęła decyzję, by seks zawsze traktować poważnie.

W smutnej, desperackiej pogoni za męskim pożądaniem matka straciła dom, męża, córkę. Obserwując przez wiele lat hedonizm Irene Cassidy, a jednocześnie jej autodestrukcję, Gillian doszła do wniosku, że seks oznaczał kapitulację. Prawda była też taka, że nie spotkała dotąd mężczyzny, który skusiłby ją do takiej kapitulacji.

Do dzisiaj.

Hunter był niewątpliwie obdarzony silnym charakterem. Był też całkowicie zdemoralizowany, i nie mogła się nadziwić, co się stało z tamtym dobrze ułożonym młodzieńcem, którego kiedyś tak platonicznie uwielbiała. Było jasne, że przeżył dramat. Jeszcze gorsze od widocznych blizn było to, że stracił gdzieś serce. A nawet, czego się obawiała, duszę.

W innych czasach uchodziłby za seksualnego libertyna, człowieka bez skrupułów uwodzącego kobiety dla własnej przyjemności i rzucającego je bez wahania, kiedy był już nimi znudzony.

Oczywiście kobiety wiedziały, że są uwodzone, przyznała Gillian. A i te, które próbowały opierać się pokusom czyhającym w jego cynicznym, zniewalającym

spojrzeniu i niskim, hipnotyzującym głose, musiały w końcu zrozumieć, że w tej grze były z góry skazane na porażkę.

I być może dlatego, że Hunter reprezentował zakazaną, ciemną stronę ludzkiej natury, po przybyciu na Castle Mountain Gillian odkryła, jak nieodparta była pokusa uległości wobec tego mężczyzny.

## ***Rozdział szósty***

Hunter był w podłym nastroju. Od dłuższego czasu usiłował zasnąć. Jego buntowniczy umysł wypełniał obraz Gillian: tych wszystkich rzeczy, które chciał jej zrobić, tych wszystkich rzeczy, które chciał by ona zrobiła jemu, tych wszystkich rzeczy, które zrobiliby sobie wzajemnie. Wreszcie porzucił nadzieję na odpoczynek i postanowił popracować.

W przeszłości, kiedy tylko coś w jego życiu szło nie tak – nawet w tamtych trwających wieczność dniach, kiedy jego ciało krzyczało z bólu, a on, by o tym nie myśleć, rozwiązywał w myślach równania – potrafił zatracić się w badaniach. A kiedy brak danych uniemożliwiał znalezienie odpowiedzi, ruszał w jakiś pograżony w wojnie region świata, gdzie spędzał tygodnie i miesiące na układaniu profili osobowości i pobieraniu próbek DNA od miejscowej ludności, by włączyć je potem do swojej bazy danych.

Praca nigdy go nie zawiodła. Aż do tej chwili. Do chwili, kiedy popełnił największy w życiu błąd

i dopuścił do siebie Gillian Cassidy. Dodatkowo zirytowały go dwa telefony: jeden od Van Horna, drugi z Pentagonu w sprawie postępów badań.

Jeszcze bardziej jednak rozmów drażniła go postawa tych wszystkich szyszek w wojskowych mundurach. Przyzwyczajeni do czarno-białego postrzegania rzeczywistości i do działania, nie mogli zrozumieć, że pewne sprawy wymagają czasu. Rozumiał również, że gdyby tylko mieli taką możliwość, użyliby jego badań do niecnych celów z nie mniejszą ochotą od Rosjan.

– Takie telefony mnie rozpraszaają – powiedział do generała, który stał na czele wojskowego komitetu, zajmującego się tym projektem. – Jak moje prace mają się posuwać, skoro cały czas wiszę na tej przeklętej słuchawce.

Rozmowa była krótka, rzeczowa i, jak zawsze w kontaktach z tą specyficzną instytucją rządową, niezadowolająca. Mimo to, pod koniec rozmowy Hunter zapewnił generała, w którego gestii było również wystawianie czeków, że wkrótce spodziewa się przełomu.

Nawet świadom faktu, że ostatnie wyliczenia muszą być jeszcze raz sprawdzone, Hunter siedział nieruchomo, wpatrując się w monitor i obserwując Gillian, która spała samotnie w jego wielkim łóżku.

Ze sposobu, w jaki wierciła się i przewracała w łóżku, z delikatnych dźwięków, wydobywających się z jej ust, ze sposobu, w jaki pieściła ręką swoje ciało, wynikało, że nie tylko on spalał się wewnątrz. Niestety nawet ta myśl go nie pokrzepiła.

Do licha, tylko ona miała się spalać, a jego umysł miał pozostać chłodny i analityczny.

Znikła w łazience. Czekał niecierpliwie i kilka minut później został nagrodzony, kiedy wyszła otulona w zbyt duży szlafrok. Wywołało to w nim nową, bardzo realną wizję, jak wydobywa ją z grubych fałdów swego szlafroka frotté. Choć pomysł podglądania jej pod prysznicem był bardzo nęcący, ostatecznie, z pewnym ociąganiem, zrezygnował z umieszczenia kamery w łazience.

Teraz, patrząc na trójkąt bladej skóry, otoczony rozchylonymi w literę V wyłogami szlafroka, i tak ostro kontrastujący z jego czarną barwą, Hunter przyłapał się na tym, że żałuje swej szarmanckiej decyzji.

Na białym aksamicie zauważył błyszczącą, brylantową kroplę. Jęknął, owładnięty nagłym zwierzęcym pragnieniem zlizania jej.

Sięgnął po pilota z postanowieniem wyłączenia tego cholernego pudła, wygaszenia ekranu i powrotu do pracy. Nie był jednak w stanie się na to zdobyć.

Obsesja. Słowo, na którego użycie pozwalał sobie dotąd tylko w sprawach zawodowych, dźwięczało mu w głowie jak niski, pojedynczy odgłos rogu do nawoływania owiec, rozbrzmiewający echem we mgle spowijającej zewsząd jego dom.

Hunter nigdy nie był skłonny do głębszych introspekcji, kompleksowe analizy zachowując zawsze dla potrzeb badawczych. Ale nie trzeba było być geniuszem, aby zdać sobie sprawę, że nie wiedzieć czemu troszczy się głupio o tę uroczą córeczkę Cassidy'ego, człowieka, który skomplikował mu życie.

Będzie musiał ją odesłać. I to szybko.

Podjmując taką decyzję i uznając, że przyzwoicie i honorowo będzie pozwolić jej na odrobinę prywatności



przy ubieraniu, Hunter zdecydowanym ruchem wygasił ekran.

Zamiast jednak wrócić do pracy, pozostał w skórzanym fotelu, a jego nieposłuszny umysł dalej tworzył wirtualne obrazy pełne dzikiego erotyzmu, w porównaniu z którymi Kamasutra była bajeczką dla grzecznych dzieci.

Gillian podążyła do kuchni za nęcącym aromatem kawy. Przy kontuarze zastała już Mildred Adams, siekającą warzywa na obiad. W przeciwieństwie do chłodnej sterylności hedonistycznej sypialni Huntera, kuchnia była pełna domowego ciepła, z miedzianymi rondlami i połyskującym marmurowym bufetem.

Roztaczał się stąd również zapierający dech w piersiach widok na ocean, lecz teraz niestety wszystko wokół osnuwał zwiewny woal mgły.

– Dzień dobry – powitała gospodynię Gillian, uśmiechając się z lekkim zażenowaniem. – Nie mogę uwierzyć, że tak długo spałam. – Nie chciała, żeby pani Adams myślała, że zawsze jest taka leniwa. Wystarczy już, że zdaniem gospodyni sypiała z Hunterem.

Kobieta wzruszyła ramionami.

– Doktor St. John powiedział, że będzie pani zmęczona. – Przystąpiła do rozprawy z marchewką, z zadziwiającą szybkością tnąc ją na idealnie równe, owalne plasterki. – Miała pani wczoraj pracowity dzień.

– O, tak – odparła Gillian – to prawda.

– Powiedział też, że objechała pani świat, dając koncerty. – Przerwała pracę i napełniła kawą pękaty niebieski kubek z kamionki.

– Wróciłam do Stanów w ubiegłym tygodniu.

Kubek ogrzewał dłonie Gillian. Skuszona wydobywając się z jego ciemnego wnętrza wonną parą, spróbowała napoju.

– Och, jest pyszna. – Westchnęła z rozkoszy i pociągnęła większy łyk.

– Mam nadzieję, że nie jest dla pani zbyt mocna. Zaparzyłam tak, jak lubi doktor St. John.

– Jest doskonała.

– Doktor St. John mówi, że kawa powinna być gorąca jak ogień piekielny, gęsta jak bagienne błoto i czarna jak serce wiedźmy. – Mildred odsunęła marchew i wytarła ręce w fartuch. – Na pewno chce pani śniadanie.

– Och, już tak późno. Nie chcę pani mieszać szyków.

– To moja praca – przypomniała Mildred skwapliwie, otwierając wielką lodówkę.

Trzydzieści minut później, po zjedzeniu olbrzymiej porcji potrawy z solonej wołowiny z jajkiem i chlebem z mąki ziemniaczanej, posmarowanym jagodowymi powidłami domowej roboty, Gillian pomyślała, że chyba nie da rady się ruszyć.

Nigdy za bardzo nie przykładała się do śniadań, ale skrępowana tym, co Mildred Adams na temat jej przyjazdu wie, lub jej się zdaje, że wie, postanowiła nie wprowadzać zamieszania.

– Przejdę się – oświadczyła.

– Dobry pomysł. Doktor St. John kupił dla pani ubranie zimowe. Powinno wisieć przy tylnym wyjściu.

– Wygląda na to, że doktor St. John pomyślał o wszystkim.

Kobieta puściła mimo uszu ironiczną uwagę Gillian.

– Pomyślał, że jako Kalifornijka nie będzie miała pani ze sobą odzieży odpowiedniej na naszą zimę w Maine. Lepiej niech się pani dobrze ubiera. Na dworze wieje jak licho. O, a rano dostarczyli fortepian – przypomniało się Mildred, kiedy Gillian wychodziła z kuchni.

Zatrzymała się w pół kroku.

– Fortepian?

– Ten, który zamówił doktor St. John. Miał tu być już dwa dni temu, ale kierowca złapał gumę w Augusta i miał postój. Doktor St. John nie był zadowolony – dodała z pochmurną miną.

– Wyobrażam sobie.

Na własne oczy mogła się przekonać, jak Hunter podporządkował sobie otoczenie, i mogła sobie wyobrazić jego irytację, kiedy polecenia nie były wykonywane jak trzeba.

– Czy on grywa? – Za późno, Gillian przypomniawszy sobie o protezie, zastępującej Hunterowi lewą dłoń.

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Mildred skończyła wkładać naczynia, z których jadła Gillian, do zmywarki i wsypała proszek. – Powiedział, że pani się z niego ucieszy.

Do licha! Kiedy już myślała, że zaczyna go rozgryzać, on robi coś tak hojnego.

– Miał rację.

Poza ciągłą obawą o ojca, była też inna rzecz, przyczyniająca Gillian zmartwień w czasie podróży do Maine: wizja trzydziestu długich dni bez muzyki.

– Postawili go w bibliotece – oświadczyła Mildred, siekając tasakiem kurczaka na gulasz. – W holu na dole,

trzecie drzwi na lewo. Dostawca zapewnił mnie, że jest odpowiednio nastrojony, ale doktor St. John powiedział, że gdyby była pani niezadowolona, to mam ściągnąć tu tego człowieka z powrotem, żeby zrobił poprawki.

Z tym swoim rzeczowym, kategorycznym, jankeskim sposobem mówienia i ze śmiercionośnym tasiakiem w dłoni, Mildred Adams bez dwóch zdań wyglądała na osobę, z którą należało się liczyć. Gillian nie miała wątpliwości, że stroiciel fortepianu zrobił wszystko, by uniknąć wybuchu niezadowolenia tej zrzędlivej kobiety.

– Jestem pewna, że wszystko będzie w porządku.

Gillian nadal wybierała się na spacer, by spalić nadmiar kalorii ze śniadania, ale ciekawość zaprowadziła ją do biblioteki.

Niezmienna troska Huntera o szczegóły była w tym ogromnym, pachnącym skórą i olejkiem cytrynowym pomieszczeniu widoczna na każdym. Zawieszona wysoko, jak w katedrze, sklepienie biło blaskiem czerwonego cedru z Zachodu, przydającego bibliotece ciepła i stanowiącego kontrast dla szarego nieboskłonu za szklaną ścianą.

Ogień trzaskał w kamiennym kominku, wystarczająco dużym, by pomieścić człowieka na stojąco. Półki z książkami zajmowały trzy ściany i chociaż były to oprawne w skórę woluminy z literaturą klasyczną, których w tak imponującym pomieszczeniu należało się spodziewać, krzykliwe okładki i edycje broszurowe stłoczone na półkach dowodziły, że biblioteka pełniła również funkcje użytkowe, nie tylko estetyczne.

Przesadnie duże fotele z bawolej skóry zapraszały

gości do wygodnego usadowienia się w nich i zagłębiania w dobrej lekturze.

Na środku stał błyszczący, dziewięciostopowy czarny fortepian Steinway'a, bliźniaczo podobny do tego, który kupiła z tantem za pierwszą platynową płytę.

Wtedy usprawiedliwiła ów wydatek i nietypowe dla niej pobłażanie własnym kaprysom przekonaniem, że ten fortepian ma niezrównane brzmienie – miękki sopran i głębokie basy – co miało przyczynić się do poprawy jej gry.

Jednak w przypadku Huntera wydanie takich pieniędzy dla tak krótkiego pobytu Gillian na Castle Mountain, było zdumiewające. Jeżeli naprawdę oczekiwał od niej spłaty tego wspaniałego instrumentu usługami seksualnymi, w niecały miesiąc, to oboje mogli znaleźć się w kłopotcie.

Gillian przypomniała sobie wakacje sprzed lat, kiedy założyła swój najlepszy kremowy sweter z angory, wełnianą spódnicę w podobnym kolorze i parę perłowych kolczyków, które dostała na gwiazdkę od ojca, a potem zasiadła do fortepianu w pokoju muzycznym, przylegającym do holu, czekając na przyjście Huntera.

Podczas, gdy pokojówka odbierała od niego płaszcz, Gillian przystąpiła do wykonania chopinowskiej Fantazji Impromptu w tonacji c-moll, którą uważała za niezwykle romantyczną, i którą ćwiczyła tygodniami, właśnie dla niego. To miał być ten wieczór, kiedy Hunter ją wreszcie zauważy, usłyszy głos miłości, wydobywający się z jej muzyki, i w końcu zrozumie, jak bardzo ich dusze są sobie bliskie!

Niestety, godziny ćwiczeń poszły na marne, ponieważ matka wezwała go głosem dźwięczącym niczym

srebrne dzwonki, przez co Hunter minął otwarte drzwi, rzucając tylko przelotne spojrzenie w jej kierunku.

Na wspomnienie tego wieczora Gillian westchnęła. Potem, przyciągana mocą błyszczących białoczarnych klawiszy, zagrała arpeggio. Była zadowolona ze stroju fortepianu, ale nie zaskoczyło jej to specjalnie. Zagrała kilka taktów „The Colors” George’a Winstona i uznała, że odpowiedź instrumentu na jej dotyk jest wyborna.

Kusiło ją, by grać dalej, lecz wiedziała z doświadczenia, że gdyby na dobre przysiadła do fortepianu, straciłaby poczucie czasu i ocknęłaby się dopiero wieczorem, tuż przed następnym spotkaniem z mężczyzną, który uporczywie stawał się kimś więcej niż tylko kochankiem. Mogła nie mieć doświadczenia, ale rozumiała, że Hunter widział się w roli jej potencjalnego seksualnego pana.

Rozpatrując ten pomysł w kategoriach logiki, utalentowana kobieta sukcesu, którą była, musiała go uznać za szokujący albo dziwaczny. Ale Hunter był dla niej niczym sygnał alarmowy. Zgoda, było to taktycznie niewłaściwe, lecz od przyjazdu tutaj, od wczorajszego wieczora, ze zdumieniem odkrywała, że pomysł podporządkowania się tak bezwzględnemu i wymagającemu mężczyźnie, otwarcia się na cały erotyzm, jakim z pewnością mógł ją obdarować, nie wiedzieć czemu, pociągał ją.

Kiedy rano ubierała się, przymusowo rezygnując z bielizny, omal nie udało jej się przekonać samej siebie, że takie odkrywanie erotycznej strony miłości dobrze przysłużyłoby się jej sztuce. Muzyka zawsze odzwierciedlała jej najgłębsze uczucia, fantazje i marzenia.

Może doświadczenie zmysłowości pozwoliłoby jej grać z większym wyrazem? Z większą pasją?

– Kogo ty chcesz oszukać?

Uderzyła w klawiaturę, wydobywając sekwencję twardych, złowieszczych basowych akordów, które odbiły się echem od ścian i sufitu.

– Tu nie chodzi o sztukę. – Dorzuciła kolejną porcję sarkazmu. – Chodzi o żądzę. Jasne i oczywiste. Do licha, ty go pragniesz! Po prostu nie chcesz, żeby się dowiedział, jak bardzo. A przy tym jesteś zbyt przyzwyczajona do tego, że to ty ciągniesz za wszystkie sznurki.

Chociaż z pewnością nie osiągnęła takich sukcesów jak Hunter, Gillian nie padała na twarz ani przed jego sławą, ani jego geniuszem. Martwiło ją tylko, że chociaż była gotowa oddać mu swoje ciało, jego to nie nasyci. Hunter nie spocznie dopóki nie posiadzie jej serca. A, co gorsza, może i duszy.

Westchnęła, odwróciła się od fortepianu i wyszła z biblioteki. Orzeźwiający, nadmorskie powietrze Maine dobrze jej zrobi.

– Rozjaśni ci umysł – mruknęła do siebie, wkładając czerwoną wiatrówkę, która zgodnie z zapowiedzią Mildred, wisiała na wieszaku przy wyjściu. Pomoże jej to również zdecydować, jak właściwie powinna się zachować, kiedy Hunter wróci wieczorem z nowymi żądaniami.

Lubiła to. Miał nadzieję, że tak jest. Hunter przyglądał się z głupią, niezrozumiałą przyjemnością, jak Gillian uderza w hebanową powierzchnię fortepianu, jak jej długie, smukłe palce przemykają po klawiszach

we wznoszących się pochodach legato, jak uśmiecha się, wsłuchana w wyśmienite brzmienie instrumentu. To było takie proste, naprawdę.

Ten Steinway, choć drogi, nie mógł się nawet mierzyć ceną z Ferrari zaparkowanym obok Suburbana i Mercedesa w tutejszym garażu. Ale oczywiście dla Gillian przedstawiał jeszcze inną wartość. A widząc blask w jej oczach podczas improwizacji na temat krótkiego motywu z utworu, który rozpoznawał, ale którego nazwy nie mógł sobie przypomnieć, Hunter zdał sobie sprawę, że nawet, gdyby nagle wszedł do biblioteki ukrytym w ścianie przejściem i niedbale ofiarował jej połyskujący brylant, nie byłaby równie szczęśliwa.

Tak, jak za pierwszym razem, kiedy oglądał ją na kasecie, grającą w Stonehenge, podziwiał subtelny odcień jej promiennych oczu, delikatną strukturę kości policzkowych i wyrazisty kształt twarzy.

Uniósł się na krześle – musiał poprawić dzinsy, które na niezwykle żywe wspomnienie aksamitnej miękkości jej piersi, zrobiły się nagle zbyt obcisłe. Pragnął jej. A wnioskując z wyszeptanych przez nią słów, pełnych żaru i namiętności, ona również go pragnęła, chociaż pewnie jeszcze by temu zaprzeczyła.

Obserwując jej ruchy nad lśniąca klawiaturą, zdał sobie nieoczekiwanie sprawę, że widok Gillian uśmiechającej się do niego tak, jak to robiła do tego cholernego fortepianu, sprawiłby mu większą satysfakcję niż zaspokojenie żądzy, która go zniewalała.

Mgła niemal znikła. Pozostały po niej wiotkie smużki, okręcające się wokół kostek Gillian, która



spacerowała wzdłuż krawędzi skalistego, granitowego klifu. Ołowiane niebo nadal wisiało nisko nad wodą, chociaż co pewien czas w chmurach pojawiała się szczelina, jak między częściami ciężkiej teatralnej kurtyny, zapraszająca nieśmiało promyki słońca, żeby przez nią wyrzały.

Chociaż irytowała ją zapobiegliwość Huntera w sprawie zimowej odzieży, była naprawdę wdzięczna za wiatrówkę z kapturem i ocieplane traperskie buty. To, co w Kalifornii, czy nawet w stosunkowo chłodnym Monterey, uchodziło za kurtkę zimową, tu było nic nie warte. Powietrze wokół mieniło się kryształkami lodu tak żwawymi i mroźnymi, że zapierały dech w piersiach, ale oczyszczały umysł. Otulona porządnie w grubą kurtkę Gillian dziwiła się, że ciągle jest jej tak przyjemnie ciepło.

Miejsce na szczycie postrzępionego niebiesko-szarego klifu, które Hunter wybrał pod dom, było oszałamiające. Bardzo też przypominało Gillian miejsce, gdzie przez ostatnie dwa lata wynajmowała niewielką nadmorską willę. Próbowwała zakupu, ale jej właściciel, kardiolog z San Francisco, okazał się człowiekiem sentymentalnym i odmówił pozbycia się swego skromnego, wykończonego sidingiem przybytku, który kiedyś należał do jego babki, a z którego przedstawiał się widok wart każdych pieniędzy.

W oddali łódź rybacka o wysokich masztach, prycając ochryple, rozcinała srebrzyste grzbiety fal, by po pewnym czasie zniknąć za horyzontem. W dole, na plaży, trzech mężczyzn ubranych w wysokie, czarne gumiaki i jaskrawe, żółte peleryny chodziło w ślad za odpływem i grabiami wydobywało z mokrego, szarego

piachu małże, które w tej części świata były równie wartościowe jak pirackie skarby.

Towarzyszyły im mewy, hałaśliwie domagając się jałmużny, podczas gdy inne, bardziej pewne siebie ptaki nurkowały w opadającej wodzie, wyłaniając się z muszlami w dziobach, które potem upuszczają na piach, aby je tam otworzyć.

Niestety padlinożerne mewy były najczęściej pierwsze przy potłuczonych muszlach, kradnąc ich mięsistą zawartość tuż sprzed dziobów ptaków, które sobie na ten posiłek zapracowały. Ten mały dramat wydał się Gillian dziwnie znajomy. Niezliczoną ilość razy była świadkiem podobnych zdarzeń na własnym wybrzeżu.

Od chwili przyjazdu na Castle Mountain była niespokojna i dezorientowana. Teraz, kiedy spacerowała wzdłuż wybrzeża podziwiając piękno ziemi, kamieni, nieba i wody, śmiejąc się z błazenady zachłannych mew, zaczęła się odprężyć.

Wracała już domu, gdy usłyszała dźwięk, który zwrócił jej uwagę. Rozglądając się za źródłem dziwnego miauczenia, spojrzała do góry na gałęzie hardej karłowatej sosny, przylegającej niezłomnie do samej krawędzi klifu. Dostrzegła w nich kulkę kolorowej sierści.

– No proszę, witaj. – Jej słowa poszybowały na małych obłoczkach zmrożonego oddechu. – Co ty tam robisz?

W odpowiedzi zwierzątko wygięło się w łuk i zasyzczało nieprzyjaźnie.

Nie chcąc go wystraszyć, Gillian stała w bezruchu, dłonie trzymając głęboko w kieszeniach kurtki.

Długowłose futro kota pokrywała mieszanka czarnych, pomarańczowych i kremowych prążków. Jego szyję zdobił kołnierz z grubej sierści. Uszy miał długie i spiczaste, a oczy błyszczące, zielonkawo-żółte. Napuszył ogon i wymachiwał nim w przód i w tył, ostrzegając intruza, by ten trzymał się z daleka.

– Wyglądasz na głodnego – powiedziała łagodnie Gillian. Na bardzo głodnego. Pod tym bujnym, zmatowiałym futerkiem, kot robił wrażenie rozpaczliwie wychudzonego. – Kiedy ostatnio jadłeś porządny posiłek?

Kot odpowiedział jeszcze jednym syknięciem.

– Gdybym wiedziała, że cię tu znajdę, przyniosłabym ci z domu trochę jedzenia. Było go tam pod dostatkiem. – Wróciła pamięcią do biszkoptów, które zajadała. – Jeżeli chcesz, to poczekaj tu, a ja wrócę i ...

Kot zeskoczył bez ostrzeżenia z drzewa, zręcznie wylądował na czterech łapach, a potem zerwał się do biegu i zniknął w obłoku mgły.

– Chyba nie chcesz – bąknęła Gillian, wiedząc, że próba pościgu byłaby szaleństwem.

Wracając do domu, ciągle jednak myślała o zabiedzonym stworzeniu.

## ***Rozdział siódmy***

Dzień wstał szary i chłodny. Hunter podszedł do ściany ze szkła, skąd rozpościerał się widok na ocean, i obserwował Gillian spacerującą wzdłuż klifu. W purpurowej kurtce przypominała mu wyniosłego kardynała. Była na pozór tak mała, tak delikatna, że po raz kolejny nie mógł wyjść ze zdumienia.

Widział, jak się zatrzymuje przy drzewie niedaleko głównego wjazdu, obserwował jak wsuwa dłoń do kieszeni i najwyraźniej rozmawia z kimś, kto jest u góry. Chwilę później z konarów wyskoczył dziki kot. Hunter obserwował, jak Gillian przygląda się zwierzęciu i zrozumiał, że posiadał umiejętność czytania w jej myślach.

– Niewiele ci to pomoże – mruknął pięć minut później, kiedy wracała pod drzewo z plastikową torbą pełną jedzenia, by rozsypać je na ziemi wokół pnia. – Równie dobrze mogłabyś próbować oswoić tygrysa.

W żaden sposób nie mogła go przez tę szklaną ścianę usłyszeć, jednakże, ku jego zdumieniu, Gillianspojrzała nagle w górę.

Na chwilę ich spojrzenia spotkały się. Potem ona zrobiła coś zupełnie nieoczekiwanego.

Uśmiechnęła się.

Żołądek podszedł mu do gardła.

Odbiło się to nie tylko na jego wnętrznościach. Hunter spuścił wzrok i zaklął. Jego nieposłuszne ciało, naprężyło się w odpowiedzi.

Jeszcze jeden dowód na to, że George Cassidy w jednym miał rację: emocje zdecydowanie górowały nad zdrowym rozsądkiem Huntera.

Przez sześć miesięcy od wyrzucenia z MIT, pogrążony w żalach, pił na umór. Staczał się po równi pochyłej do piekła alkoholizmu, kiedy któregoś dnia rzucił przelotne spojrzenie w wypukłe lustro ochrony sklepu monopolowego w Cambridge i zobaczył w nim wymiętego pijaczka. Ten widok otrzeźwił go natychmiast. Wyszedł ze sklepu, zostawiając na kontuarze butelkę wysokooktanowej przyjemności, za którą już zapłacił.

Wrócił do swego mieszkania, wziął prysznic, ogolił się i, używając nożyczek z wielofunkcyjnego szwajcarskiego noża, ściął długie, pozlepiane włosy, po raz pierwszy od miesięcy.

Nie był zdziwiony, gdy w lodówce znalazł jedynie trzy butelki piwa i coś zielonego, omszałego, co przypominało kawałek ostrego cheddara. Głodny, po raz pierwszy od bardzo dawna, spod sterty brudnej bielizny wydobył telefon, zamówił pizzę i zgrzewkę pepsi.

Z pizzą w ręku, wyciągnął notes i zaczął surowo rozliczać się z przeszłością. Patrząc na sprawy racjonalnie, przyznał w końcu, że oszustwo mentora nie powinno go było zaskoczyć. Każdy wiedział, że na pozór spokojne, okryte bluszczem mury akademii były

tylko fasadą skutecznie zakrywającą coś, co można by nazwać żerowiskiem rekinów. Albo płynąłeś przed siebie, na nic się nie oglądając, albo ginąłeś. Jasne i proste. A Cassidy, król rekinów, póki co, nie miał zamiaru ginąć. Wolał pożreć Huntera.

Przyznając, że były mentor miał rację co do tego, że uczucia są tylko balastem w świecie naukowców-kanibali, Hunter postanowił ostudzić swoje nazbyt rozbudzone emocje. Spokojnie studził je z dala od ludzi, do dnia, w którym popełnił fatalny błąd i sprowadził Gillian na Castle Mountain. Pojawiła się, zdecydowana roztopić lód, który skuwał jego serce go od tak dawna. Ale było to coś, uświadomił sobie Hunter, odwracając się od okna z ponurą miną, na co nie mógł pozwolić.

To się staje niedorzeczne, stwierdziła Gillian podczas swej czwartej nocy w Castle Mountain. Siedziała w kuchni, jak każdej nocy, jedząc zupę sama, niczym pustelnica. Hunter już na początku, pierwszej nocy, jasno określił swój cel, kiedy od niechcienia ją pocałował, przywołując uczucia, których istnienia nawet nie podejrzewała.

Te uczucia nadal w niej wrzały jak gęste, obfite gulasze Mildred Adams. Kiedy sięgała po chrupiący kawałek chleba, jej sutki ocierały się o szorstki sweter. Była to jedna z tych rzeczy, które doprowadzały ją do szaleństwa. Zawsze uważała, że kaszmir jest najdelikatniejszą wełną. I, być może był. Ale w ciągu kilku ostatnich dni, zmuszona chodzić bez bielizny, była zbyt pobudzona włóknami drapiącymi nieustannie jej sutki i wprawiającymi je w stan niemal ciągłego podniecenia.

Drugiego dnia przestała nosić swoje ciepłe lecz szorstkie tweedowe spodnie. Niestety pozostała jej już tylko para dżinsów, które wrzynały się w krocze i stymulowały przeraźliwie czułą łechtaczkę niemal do bólu. No, i pozostało kilka długich, zwiewnych spódnic, które, noszone bez majtek, powodowały, że stawała się bezwolna i uległa.

Jak podejrzewała, właśnie taką chciał ją mieć Hunter.

Jej umysł miał zaakceptować uwodzenie, a ciało drżeć w oczekiwaniu na chwilę, w której Hunter je wreszcie posiadzie. A co on robił? Zamykał się w swoim laboratorium, czy w pustelni, czy jakkolwiek by tego do licha nie nazywał, a ona w samotności miała o nim rozmyślać, marzyć w sposób, który nie przynosił ulgi.

Pomijając ciągle seksualne fantazje, czuła się po prostu samotna. Pani Adams wspaniale gotowała, ale poza tym, była typowym milczkiem z Nowej Anglii. Zresztą, nawet jeśli miałby ochotę na pogawędkę, nie była osobą, z którą Gillian bez namysłu podzieliłaby się swoimi myślami. Szczególnie tymi, które miewała ostatnio. Na przykład, nazbyt podniecający sen z ostatniej nocy, w którym była celtycką wieśniaczką o bujnych kształtach. Hunter grał oczywiście rolę Wikin-ga-najeźdźcy i wyjątkowo bezwzględnie realizował swój plan gwałtów i grabieży.

Nawet teraz pokrywała się rumieńcem na zbyt żywe wspomnienie tych seksualnych ekscesów, rzeczy, które jej robił, rzeczy bezwstydných, do których go zachęcała, i o które w końcu błagała. Sprawiało jej to też ból.

– To część jego taktyki zastraszenia – powiedziała do siebie, smarując chleb masłem śmietankowym i odgryzając jego spory kawałek. Chrupki chleb był pulchny, drożdżowy, a roztopione masło ciepłe i delikatne dla języka jak jedwab. – Udaje brak zainteresowania, czekając, aż oddasz mu swą dumę. Ale to nie zadziała. – Spojrzała gniewnie na tłusty gulasz i nabiła na widelec jagnięcy szaszłyk. – Nie zamierzam dłużej brać udziału w tej przeklętej grze.

Zagryzła wargi z wściekłości. Problem polegał częściowo na tym, że Hunter za bardzo trzymał się harmonogramu, ustalonego na początku. Czas coś zrobić z tym, zdecydowała.

Zabierając talerz i kieliszek z winem, wyszła z kuchni i ruszyła, by zmierzyć się ze smokiem w jego pieczarze.

Chociaż nie było łatwo ignorować obraz z ukrytych kamer, śledzących każdy ruch Gillian, Hunter zabrał się wreszcie do jakiejś do pracy. Kiedy z holu doszły go odgłosy zdecydowanych kroków, maszerujących w jego kierunku, westchnął. Ta kobieta może i wygląda słodko, ale jej serce z pewnością nie jest z lukru. Powinien był zdać sobie sprawę z tego, że Gillian nie będzie wiecznie stosowała się do jego reguł.

Weszła do pomieszczenia nawet nie kłopotząc się pukaniem.

– Ten scenariusz z „Pięknej i Bestii” zaczyna mnie nudzić – oświadczyła.

Zabezpieczył dane, wyłączył monitor, a potem odwrócił się od komputera.

– „Pięknej i Bestii”?



– Codziennie rano, kiedy wstaję, pani Adams czeka już na mnie ze śniadaniem. Obiad, zgodnie z tutejszym obrazowym określeniem, podaje się „jak raz” w południe, a co wieczór, punkt szósta, na stole w jadalni pojawia się kolacja, którą mam jeść znowu sama. Zaczyna mi to przypominać tych wszystkich niewidzialnych służących, którzy karmili Piękną.

– Myślę, że ta analogia jest uzasadniona – przytaknął, uznając, że Gillian faktycznie nadawała się do tytułowej roli – ponieważ jesteś olśniewająco piękna.

W zwiewnej purpurowej spódnicy, sięgającej do górnej krawędzi kozaków i harmonizującej z długim niczym tunika kaszmirowym blezerem, przypominała mu mały, niepokorny ognik. Podrapał się w podbródek i dopiero teraz zorientował się, że znowu zapomniał o goleniu.

– Jestem jednak ciekaw, czy uważasz mnie za bestię?

Hunter wiedział, że mimo ewidentnych fizycznych deformacji, niektóre kobiety, mające skłonności do schlebiana mężczyźnie, pospieszyłyby z zapewnieniami, że nic takiego nie przyszło im nawet do głowy. Sprawiało mu przyjemność, kiedy Gillian jeszcze raz pokazała, iż jest z innej gliny.

– Nie wiem. – Usiadła na skórzanej kanapie, odsunęła jakieś papiery i postawiła swój pucharek na niskim granitowym stoliku przed sobą. – Na pewno daleko ci do człowieka cywilizowanego. Ale bestia?

Przyglądała mu się długo i uważnie, starając się, by w jej zielonych jak mech oczach nie odkrył jawnego współczucia.

– Będę musiała o tym pomyśleć.

– No, właśnie – zgodził się.

Rozejrzała się po biurze, które zdaniem Huntera było jak z innej epoki: ciemne drewno, półki z książkami oprawnymi w skórę i antycznymi przyrządami do żeglugi. Chociaż nigdy nie był przywiązany do żadnego konkretnego miejsca, kiedy pierwszy raz postawił stopę na Castle Mountain, od razu poczuł się tu jak w domu.

Rzadkie okresy wolnego czasu w ciągu ostatnich trzech lat spędzał na telefonowaniu do sprzedawców antyków wzdłuż całego wybrzeża Maine, dzięki czemu zbierał pół tuzina oprawionych rycin z wizerunkami szkunerów, trzy harpuny wielorybnicze, mosiężną latarnię okrętową i absurdalnie drogi zbiór ozdobnych figurek.

– Jestem trochę rozczarowana – oświadczyła.

Hunter uniósł brwi, zachęcając Gillian do bardziej szczegółowej wypowiedzi.

– Cóż, to pomieszczenie niewątpliwie jest intrygujące, ale na pewno nie jest to pracownia szalonego naukowca. – Potrząsnęła głową, biorąc do ręki małą figurkę wieloryba z kości słoniowej. – Żadnych bulgocących, dymiących siarką probówek, żadnych hodowli obcych form życia, żadnych zapleśniałych, mokrych kamiennych ścian rodem z zamku w Transylwanii. – Zamieniła wieloryba na miniaturę szkunera z cyny. – Mógłbyś mieć tu przynajmniej kilka ciał ułożonych na stołach, z elektrodami przypiętymi do wygolonych głów.

– Gdybym wiedział, że gustujesz w laboratoriach a la Frankenstein, zorganizowałbym parę szczurów przemykających po ciemnych kątach.

– Szczury nie są konieczne. – Na samą myśl o nich zadrżała jak osika. – W sumie, nawet tu przytulnie.

– Miło, że jednak ci się podoba.

I, do licha, było mu faktycznie miło, chociaż nie powinno go obchodzić, czy cokolwiek jej się w tym domu podoba. W końcu, za niecałe trzydzieści dni Gillian stąd wyjedzie. Wróci do własnego życia w Kalifornii.

– Naprawdę przytulnie. – Podniosła swoją łyżkę i wskazała miskę stojącą na biurku. – Gulasz ci wystygnie. Dlaczego nie przyniesiesz go tutaj, żebyśmy zjedli wspólnie, jak normalni ludzie mieszkający pod jednym dachem?

– Więc uważasz, że sytuacja jest normalna?

– Oczywiście, że tak... Co pewien czas trafiam w jakieś odludne miejsce ku uciechu napalonych samców... Po raz pierwszy wtedy, gdy po niezapomnianym dniu w Luwrze pewien ekscentryczny paryski malarz wciągnął mnie do taksówki i wykorzystał do namalowania na całym moim ciele „Lilii wodnych” Moneta, syropem, który potem zlizywał.

– To jest myśl – mruknął Hunter, zastanawiając się leniwie, czy pani Adams trzyma w spizarni jakiś syrop Hershey’a.

– Och, chociaż mnie porwał, był wyjątkowo miłym facetem. Jednak ta czekolada pozatykała mi pory i skóra mnie strasznie swędziała, więc kiedy sprzedał szwajcarskiemu bankierowi, który mieszkał w dziewięćsetletnim domu w kształcie zegara z kukułką, specjalnie się nie zmartwiłam. Bankier ubierał mnie w wiejskie stroje, jak Heidi w tym starym czarno-białym filmie, i jodłował za każdym razem, gdy

dochodził. – Potrząsnęła głową z udawanym żalem. – Niestety, czuć go było kielbasą i piwem, więc możesz sobie wyobrazić, jak mi ulżyło, kiedy podarował mnie jednemu z klientów swojego banku, saudyjskiemu szejkowi. Ten zabrał mnie luksusowym odrzutowcem do swojego kraju. – Wspominając to, wywróciła figlarnie oczy i wykrzywiła usta w powolnym uśmiechu, po czym napiła się rubinowego cabernet sauvignon. – Kiedy wylądowaliśmy w tym jego kraju, czekali już na nas służący z parą najpiękniejszych arabskich ogierów, jakie kiedykolwiek widziałem. Gdy lądowaliśmy, było ciemno, ale nie tak jak dziś, bo po niebie, niczym latający holender, płynął księżyc w pełni. Pojechaliśmy daleko na pustynię, mając za przewodnika ogromną srebrzystą tarczę księżycyca do namiotu pod rozgwieżdżonym niebem, który postawiono specjalnie dla nas.

Hunter zrozumiał, że Gillian zaczęła opowiadać, traktując to jak żart, aby tymi erotycznymi opowiastkami zmysłowo naigrywać się z niego tak, jak on naigrywał się z niej poprzez swoją nieobecność.

Ciekawe, czyżby role się odwróciły? Patrząc na jej rozpalone policzki i wyjątkowo błyszczące oczy, zdał sobie jednak sprawę, że podniecały ją własne słowa. Nigdy nie wyglądała piękniej. Ani bardziej pociągająco.

Wziął kieliszek z jej dłoni, powoli obrócił tak, by mieć przed sobą delikatny, różowy odcisk jej ust.

– Nie przerywaj. To się staje interesujące.

Była pod wrażeniem faktu, że Hunter napił się dokładnie z tej strony kieliszka, której dotknęły jej wargi. Już pąsowe policzki i szyja zaróżowiły się

jeszcze bardziej. Niby chciał, żeby przestała, ale o dziwo ucieszył się, kiedy usłyszał dalszy ciąg opowieści.

– Ledwo przyjechaliśmy, a już para pięknych, niesamowicie przystojnych, prawie nagich służących rozebrała mnie, potem wykąpała w pachnącej wodzie, w której rozrzucono płatki orchidei.

Po raz kolejny przemknęło Hunterowi przez myśl, że Gillian jest doskonałą aktorką. Jej ochrypty głos wibrował od seksu i grzechu.

– Ten twój facet tymczasem rozłożył się na aksamitnych poduszkach i patrzył – zgadywał Hunter.

Gillian wzruszyła ramionami.

– To było przedstawienie Khamila, a ja, przynajmniej na razie, byłam jego własnością. Książę Khamil. Tak się nazywał. – Zamknęła oczy, położyła głowę na oparciu kanapy i westchnęła. – Szczerze mówiąc, było to wzniosłe przeżycie.

Jej głos podniecał go, i wiedział, że do tego zmierzała.

Hunter spędził cztery ostatnie dni z dala od Gillian, postanawiając sprawdzić, czy panuje nad swymi żądzami. Dość już tego czekania, stwierdził w przyływie stanowczości, ponownie koncentrując uwagę na jej erotycznej opowieści.

– To było niesamowite – mówiła. Pierścionek z mleczno-białym topazem połyskiwał jak księżyc-widmo, który opisywała, przeczesując dłonią długie włosy. Jej głos nabrał bogatego, przeponowego.

– Po kąpieli służący natarli wonnymi olejkami każdy fragment mojego ciała, przygotowując mnie na

zniewolenie. Potem, kiedy błyszcząca już jak roztopione złoto, czując, że jestem równie gorąca jak niebezpieczna, nakazano im wyjść. W tym momencie równie dobrze mogliśmy być jedynymi ludźmi na świecie we wszechświecie.

Zupełnie jak tamtego wieczora, pomyślał Hunter, a jego spojrzenie powędrowało poza szklaną ścianę, w nieprzenikniony mrok otaczającej ich pustki. Zastanawiał się, czy Gillian zdawała sobie sprawę z tego, że byli odizolowani od świata dokładnie tak samo, jak ona i jej fikcyjny arabski książę.

– I co się stało później? – zapytał, a jego głos ochryplł z długo tłumionego pożądania.

Dziewczyna przestała wpatrywać się w czerń nocnego nieba. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, Gillian zdała sobie sprawę, że jej oczekiwanie dobiegło końca.

Znowu wzruszyła ramionami, robiąc wrażenie zmęczonej grą.

– Zapomniałam.

– To dobrze. Nigdy nie sądziłem, że jestem zazdrosny, ale dla ciebie mogę zrobić wyjątek. Konieczność wysłuchiwania tak istotnych szczegółów twoich erotycznych przygód może doprowadzić do tego, że będę chciał śmierci tego zdeprawowanego, pustynnego szejka.

– On nie istniał, Hunter – powiedziała miękko, jak gdyby z obawy, że mógł wziąć jej historię na poważnie.

– Domyślałam się. A przez to chęć mordy staje się dla mnie jeszcze bardziej zagadkowa. – Napił się wina.  
– Tak przy okazji, jesteś bardzo dobrą narratorką. Bez

trudu mógłbym sobie wyobrazić, jak siedzę zasłuchany w urzekające baśnie Szeherazady.

– Szeherazada musiała wymyślić tysiąc opowieści, a mój czas tutaj jest znacznie krótszy.

– To prawda. – Z jakiegoś powodu ta myśl nie sprawiła Hunterowi przyjemności, chociaż wmawiał sobie, że musi odesłać Gillian, zanim minie termin, który początkowo wyznaczył.

Chcąc napić się czegoś mocniejszego niż cabernet sauvignon, dostarczane przez Bena Adamsa pocztą ze stałego lądu, wstał, przeszedł przez pokój do antycznej, kapitańskiej skrzyni, gdzie trzymał silne trunki, i napełnił kieliszek koniakiem.

W pomieszczeniu zapanowała atmosfera wyczekiwania, które nastrojało zbyt romantycznie.

Żadnego romantyzmu, zaprotestował w duchu Hunter, popijając alkohol. Seks. Tylko o to chodziło. Tylko do tego mógł dopuścić.

Patrzył, jak Gillian zajada gulasz. Obserwował, jak przetyka. Opierał się pragnieniu dotknięcia ustami jej gładkiej, białej szyi.

– Musisz pracować nad czymś ważnym – odezwała się, spoglądając w kierunku komputera. Nietrudno było zauważyć, że stara się zmienić temat. I atmosferę, która zrobiła się nie do wytrzymania.

– Można tak powiedzieć – odparł wymijająco, nie chcąc się wdawać w szczegóły wartego wiele milionów dolarów rządowego zlecenia.

Hunter zbyt dobrze wiedział, że ten projekt mógł nieść ze sobą zagrożenie dla wielu osób. Nie dalej, jak dzisiaj generał ostrzegał go, że są pogłoski o kolejnej grupie terrorystycznej, która czyha na jego

życie. Zupełnie jakby nie wystarczył tamten jeden zamach bombowy w Bośni. Patrząc pragmatycznie w przyszłość uznał, że utrata dłoni było niewielką ceną za możliwość przyczynienia się do pokoju na świecie.

– Wydaje mi się, że jesteś podobny do mojego ojca. Och, nie oskarżam cię o popełnianie plagiatów, Hunter – dodała pospiesznie, gdy na to niezbyt pochlebne porównanie, obrzucił ją gniewnym spojrzeniem. – Miałam na myśli, że kiedy już pochłonie cię praca nad jakimś projektem, zapominasz o całym bożym świecie. Na przykład o jedzeniu. – Wskazała na nietknięty gulasz. – Tracisz poczucie czasu, może nawet poczucie mijających dni.

Ach, zaczynała go rozumieć. Zachodziła w głowę, dlaczego ją ignorował. Hunter tymczasem myślał sobie z przekąsem, co by powiedziała, gdyby się dowiedziała, że zastanawiał się nad tym samym.

– Wygląda na to, że uosabiam stereotyp roztargnionego naukowca. – Ponownie usiadł przy biurku i nadział na widelec kawałek ziemniaka.

– Czekałam na okazję, żeby podziękować ci za fortepian.

– Nie musisz mi dziękować. Z przyjemnością wysłuchuję darmowych koncertów.

– To ty mnie słyszysz? – Jej oczy rozszerzyły się. – Przepraszam. Dom jest duży i nie przypuszczałam, że moja muzyka będzie przeszkadzała ci w pracy. – Przezcesała dłonią włosy w nerwowym geście, którego nie mógł nie zauważyć. – Pamiętam, że ojciec nie znosił, gdy mu przeszkadzano. Nie grałabym tyle, gdybym o tym wiedziała.



– Nie przejmuj się tym. – Wymownym gestem protezy zbagatelizował sprawę, przeklinając w duchu swoją głupotę. Gdyby tylko wiedziała, że w całym domu zainstalował kamery i mikrofony...

– Jak już powiedziałem, lubię słuchać twojej gry. Jesteś bardzo dobra.

Zdobyła się na słaby uśmiech, lecz zatroskanie w jej oczach pozostało.

– Trudno nie grać dobrze na takim fortepianie. To niesamowity instrument. I strasznie drogi.

– Stać mnie na to.

– Mimo wszystko, to miłe, co zrobiłeś.

– Wierz mi, Gillian, nie jestem miły. Fortepian to po prostu środek do celu. Jeżeli w ciągu dnia wypoczywasz i jesteś zadowolona, są widoki na to, że będziesz bardziej zrelaksowana w nocy.

Przełknął kolejną porcję gulaszu, zastanawiając się, dlaczego nigdy nie zauważył, że jego gospodyni jest wyjątkowo dobrą kucharką.

– Pani Adams wspomniała, że zajęłaś się łapaniem zwierząt.

– Łapaniem zwierząt? – Spojrzała na niego, nie bardzo wiedząc, o czym on mówi. – Aha, chodzi o tego kota. – Na jej twarzy pojawił się szybko uśmiech pełen współczucia. – Biedne stworzenie było głodne. Pomyślałam sobie, że mogę mu podrzucić trochę jedzenia. – Uśmiech zniknął z jej twarzy, gdy przyszło jej do głowy, że być może nie miała prawa dysponować nie swoim jedzeniem. – Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko...

– Oczywiście, że nie. – Za kogo ona go uważa? Myśli, że odmówiłby paru kęsów pieczonego kurczaka zbląkanemu zwierzęciu? – Wydaje mi się tyl-

ko, że powinienem ostudzić trochę twoje zapędy. To jest dziki kot z Maine, Gillian. I chociaż ta rasa stała się wśród miłośników kotów popularna, to nie jest kot domowy. Karmiąc go pierściami kurczaka pani Adams, nie zmienisz go w potulnego, milusińskiego futrzaka.

– Dziki kot? Coś jak szop?

– Miejscowa tradycja tak je nazywa. Ale wynika to z tylko z ich podobieństwa do szopów. Historycznie rzecz ujmując, do Maine zostały przywiedzione przez europejskich kupców i żeglarzy, którzy wykorzystywali je do polowania na szczury na swych statkach. Udomowiono je jako koty farmerskie, ale wiele uciekło i wałęsa się po lasach. Pewnie tak właśnie jest i z tym twoim.

– Na początku się mnie bał – wyjawiała mu – ale myślę, że zaczęliśmy się rozumieć. Bo dzisiaj o mało nie zjadł kawałka kiełbasy prosto z ręki.

– Całe szczęście, że tego nie zrobił, bo pewnie wziąłby ją sobie razem z twoim palcem. Może też być zarażony wścieklizną.

– Och, na pewno nie jest – powiedziała pospiesznie. Tak pospiesznie, że jej zapewnienie pochodzi raczej serca niż z głowy, pomyślał Hunter. – Liczę na to, że zaczniesz mi ufać na tyle, bym mogła zabrać go do weterynarza.

Roześmiał się, a jego rechot zabrzmiał rubasznie nawet w jego własnych uszach.

– Możesz tu spędzić parę ładnych lat, zanim to się stanie. To dzikus, Gillian. Zawzięcie niezależny dzikus. Nawet twoje miękkie, kobiece serce nie jest w stanie go oswoić.

Uniosła podbródek. Jej ciemnozielone oczy błyszczały wyzywająco, co wydało mu się nad wyraz pociągające.

– Zobaczymy!

Wróciła do swojej porcji gulaszu.

Jedli w milczeniu. A Hunter, który jeszcze nigdy nikomu nie pozwolił wejść do swojego gabinetu, był zaskoczony tym, jak dobrze się teraz czuł.

## ***Rozdział ósmy***

– Zrobisz coś dla mnie?

W odpowiedzi na niespodziewane pytanie Huntera, zadane cichym, stonowanym głosem, Gillian uniosła głowę. Jego oczy były łagodne i chłodne. Zastanawiała się, czy to tylko jej nadaktywna wyobraźnia sprawiła, że wyczuła w nich lekki niepokój.

– Nie sądziłam, że w ogóle mam wybór. – Jego spojrzenie pozostało nieprzeniknione.

– Zawsze miałaś wybór, Gillian.

– Ach tak? – Zmarszczyła czoło, wiedząc, że sprzeczenie się z mężczyzną, który miał w rękach sporą część przyszłości jej i jej ojca, było szaleństwem. – Tamtej pierwszej nocy nie pozwoliłeś mi wyjechać – przypomniwała.

– Jeżeli naprawdę uważasz, że zatrzymywałbym cię wbrew twojej woli, to jesteś inna, niż myślałem. – Potrząsnął głową, teatralnie okazując zawód. – Może już czas odesłać cię ojcu. Tam będziesz bezpieczna.

Zabrzmiało to sarkastycznie. Dawał jej do zrozumienia, że kiedy Cassidy namawiał córkę do przyjazdu na Castle Mountain, jej bezpieczeństwo nie było dla niego najważniejsze. I miał do licha rację, przyznała, niechętnie Gillian.

Dla George'a Cassidy liczyły się przede wszystkim jego własne potrzeby – i taka była smutna prawda. Gdyby miała być wobec siebie brutalnie szczerą, musiałaby przyznać, że w hierarchii swego ojca zajmowała miejsce pewnie gdzieś za klatką białych szczurów doświadczalnych.

Częścią tego problemu był oczywiście fakt, że nigdy nie zrobiła niczego, by wymusić na nim więcej uwagi. Unikając zamieszania, starała się zawsze być skromną i posłuszną córeczką. Podziwianą przy tych specjalnych okazjach, kiedy miała służyć jako dowód wyjątkowości jego genów, wystawiana na pokaz jak spaniel księcia Karola na wystawie czempionów w Westminster, a potem zapomniana, aż do następnego pokazu.

Być może powinnam była czasem się postawić, zastanawiała się Gillian ponieważ, przysporzyć czasem kłopotów, a może nawet publicznie wprawić ojca w zakłopotanie. Gdyby zaczęła się pokazywać w nocnych klubach, ufarbowana na zielono, z kolczykami w różnych częściach ciała, wpadłyby rzecz jasna w szal. Ale złość była przynajmniej jakimś uczuciem, silnym, głębokim, ludzkim. A to zawsze lepsze niż nic.

Hunter dostrzegał całą gamę doznań, jakie odmalały się na twarzy Gillian: irytację, frustrację, cierpienie, żal, a potem coś, co bardzo przypominało

wesołość, nawet jeżeli on osobiście nie potrafił znaleźć w jej położeniu niczego zabawnego.

– Co cię tak bawi?

– Właśnie zastanawiałam się, jak zareagowałby mój ojciec, gdybym pojawiła się w jego laboratorium ze srebrnym kolczykiem w brwi.

Hunter wzruszył ramionami.

– Dlaczego myślisz, że w ogóle by to zauważył?

Dobra uwaga.

– Zawsze jesteś taki okrutny?

– Nie, ale zawsze taki szczery. Czasami nie spodoba ci się to, co powiem, Gillian, ponieważ prawda potrafi zboleć. Ale nigdy cię nie okłamię.

– Choćbyś miał mnie zranić?

– Powiedziałem ci, nigdy nie zrobiłbym...

– ...niczego wbrew mojej woli – uzupełniła.

– Zgadza się.

Nie od razu odpowiedziała.

Gillian nie mogła wydobyć słowa. Jak w barwnym kalejdoskopie, przed oczyma przemykały jej namiętne sceny z jej fantazji. Na ukojenie wypła kolejny łyk, lecz zdała sobie sprawę, że wino tylko rozgrzewa w niej krew. Napięcie między nimi rośnie, przywodząc na myśl jedwabną pajęczynę śmiercionośnego pająka.

Pajęczynę, w środku której siedział Hunter. Obserwował.

Czekał.

Jej wargi były suche. Zbyt suche. Polizała je, wyrzekając się na chwilę wina. Kiedy jednak w chłodnych dotąd oczach Huntera dostrzegła błysk pożądania, zrozumiała, że popełniła błąd.

– Czego ty właściwie ode mnie chcesz? – Był to

tylko słaby szept, ale doskonale słyszalny w kompletnej ciszy, panującej w pomieszczeniu. Gillian przygotowała się na najgorsze.

– Pomyślałem sobie, że byłoby miło, gdybyś dla mnie zagrała.

– Zagrała? – Otworzyła szeroko oczy. – Na fortepianie?

– Masz kłopot z występami przed jednoosobową publicznością?

– Nie, ja tylko...

Spuściła oczy. Starając się umknąć przenikliwemu spojrzeniu Huntera, zatrzymała wzrok na pokaźnej wypukłości, napinającej jego dżinsy.

To jej sprawka, pomyślała nie bez satysfakcji. To ona powodowała, że jego ciało się prężyło, a oczy zachodziły mgłą podniecenia. To ona była źródłem pożądania, które z niego emanowało.

Miała treść, większej niż kiedykolwiek wcześniej, większej niż podczas pierwszego publicznego koncertu. Dzięki technice relaksacji, z której korzystała przed wyjściem na scenę, zmuszała umysł do zachowania spokoju i wyobrażała sobie zaciszną, tropikalną lagunę. Piasek zalany migoczącymi promieniami kojącego słońca lśnił jak brylanty wysypane na brzeg ze skrzyni z pirackim skarbem. Turkusowa woda rozlewała się po piasku delikatnie, a wiatr szemrał nad głową w palmowych liściach. Niedaleko, ociekający srebrem wodospad rozbijał się o pokryte bujną zielenią skały.

To wyobrażenie, wpojone jej przez psychoterapeutę na początku kariery dla pokonania tremy, zawsze działało. Tak było i tego wieczora, dopóki nagle, bez ostrzeżenia, zza opadającej, spienionej wody nie wyło-

nił się mężczyzna. Był wysoki, śniady i skrajnie podniecony. Przypominał starożytnego boga płodności, wyciosanego z pnia drzewa mahoniowego.

Kiedy zaczął się do niej zbliżać, skradając się zwinnie jak drapieżnik, Gillian zrozumiała, że nie był to drewniany posąg bożka lecz mężczyzna. Mężczyzna, który jej pożądał. Mężczyzna zniewalający i bez wątpienia znajomy.

– To było fascynujące.

Niski głos Huntera odbił się silnym echem, jak ryk władcy dżungli. Gillian nie mogła przez chwilę odróżnić fantazji od rzeczywistości. Ostrożnie unosząc wzrok, dostrzegła w jego oczach błysk pożądania.

– Obserwowałem twoją twarz – powiedział. – Byłaś na krawędzi orgazmu, który sama wywołałaś.

– Nieprawda. – Gillian onieśmiała fakt, że tak łatwo czytał w jej myślach. – Mylisz się.

– Chcesz to sprawdzić, skarbie? – W tym zdaniu nie było czułości, lecz wezwanie do rywalizacji. – Jedno dotknięcie i znalazłabyś się po tamtej stronie.

Położył rozwartą dłoń na swoim udzie, ponownie przykuwając jej uwagę jawną erekcją. Ten widok, mieszający się jej z ciągle obecnym wyobrażeniem wodospadu, wywołał w niej gwałtowne pragnienie dotyku. Wszędzie.

– Myślałam, że chcesz, abym ci grała.

– Powiedziałem ci, Gillian: chcę wszystkiego. Sądzę jednak, że, jak to się przyjęło w cywilizacji, najlepszym wstępem do uwodzenia jest dobre jedzenie i wino. Tych już posmakowaliśmy. Następnym miłym krokiem jest muzyka.

– Powiedziałeś też, Hunter, że już sam przyjazd na



Castle Mountain był akceptacją twoich warunków. Uwodzenie nie jest konieczne.

Przez chwilę zwlekał z odpowiedzią. Posłał jej za to jedno tych długich spojrzeń, z których Gillian niczego nie mogła wyczytać.

– Prawdę mówiąc, nie – stwierdził w końcu, kiedy już zaczynała się robić nerwowa. Wstał i wyciągnął do niej rękę.

Kiedy wychodzili z pokoju, ze splecionymi w uścisku palcami, niemal jak para przyjaciół lub kochanków, Hunter zastanawiał się, jak zareagowałaby Gillian, gdyby dowiedziała, że jest pierwszą kobietą, przy której czuje potrzebę poświęcenia czasu na uwodzenie.

Przede wszystkim jednak, Gillian powinna była się wycofywać. Kiedy weszli do biblioteki, Hunter uznał, że jeśli ma jeszcze choć trochę instynktu samozachowawczego, musi czym prędzej salwować się ucieczką.

Tego wieczora ogień rozgorzał na dobre. Za szklaną ścianą ocean i niebo stopiły się w czarną, atlasową pościel. Gillian stała w drzwiach i obserwowała, jak Hunter niedbale przechadza się po pokoju, zapalając w kandelabrach świece, które rzuciły migotliwą, złocistą poświatę na cedrowe ściany.

W blasku świec, Hunter zdawał się wyższy niż naprawdę, i przywodził Gillian na myśl Bestię z tamtej baśni z dzieciństwa. Albo może Ducha w Operze, pomyślała przenosząc wzrok na fortepian.

- Coś nie tak z żarówkami?
- Tak jest praktycznie. – Zdmuchnął długą zapałkę.
- Prąd na wyspie często wysiada.
- Nie masz generatora?
- Oczywiście, mam. Ale czasami wolę świece.

Znowu ją zadziwił. Gillian nigdy nie posądzałaby mężczyzny o tak nowoczesnym podejściu do życia i tak silnie rozwiniętym samczym instynkcie o gustowanie w nastrojowym oświetleniu. Czy był po temu jakiś konkretny powód? Może powinni stąd wyjść, zanim sprawy posuną się za daleko.

– A może wolisz świece, ponieważ ich blask łagodzi blizny na twojej twarzy – zapytała. Ponieważ zarzekła się, że nigdy jej nie skłamię, czuła, że to ważne, aby oboje byli wobec siebie szczerzy.

Widziała zaskoczenie na jego obliczu, które szybko opanował.

– Niektóre kobiety uznałyby, że moje rysy podsycają ich namiętność.

– Niektóre kobiety powinny nauczyć się patrzeć trochę głębiej.

– Przyznaj, Gillian, czy w duszy nie jesteś przerażona zmianami w moim fizycznym wyglądzie?

– Nie.

– Nie czujesz obrzydzenia?

– W żadnym razie. Nie jestem jakąś kruchą, przesadnie wrażliwą artystką, która musi chodzić otulona wełnianym szalem, Hunter. Dawałam koncerty charytatywne w najbardziej spustoszonych wojną regionach świata. Fizyczne deformacje nie robią na mnie wrażenia – powiedziała cicho. – Chyba, że prowadzą do deformacji emocjonalnych.

– Jednak ciekawi cię... – naciskał nadal, szukając w niej słabych punktów.

Przez chwilę Gillian odczuła pokusę, by skłamać, ale szczerowość zwyciężyła.

– Oczywiście. Jestem ciekawa wszystkiego, co

z tobą związane. Twojej pracy, tego, co robiłeś od chwili opuszczenia MIT, jak to się stało, że jesteś tutaj i żyjesz jako bogacz-eremita...

– ...jak połowa mnie wyleciała w powietrze.

– Wskutek czego masz pokiereszowaną twarz i protezę dłoni. To niezupełnie połowa ciebie.

– Święta racja. – Uśmiechnął się dziko, napastliwie.

– Nie przejmuj się, dziecinko, wszystkie te części, o które powinnaś się martwić, są na swoim miejscu.

– Nie mam pojęcia, dlaczego ja tego wysłuchuję.

– Stwierdziła, że taka riposta wystarczy, i przysunęła stołek od fortepianu. – I nie nazywaj mnie „dziecinką”. Mam na imię Gillian.

Do licha, ależ miała temperament! Hunter wystarczająco dobrze znał jej ojca, żeby wiedzieć, iż zapędzony w kozi róg George wolał wyzwiska i groźby. Jej matka z kolei bez wahania uciekłaby się do kobiecych sztuczek, z których korzystała zawsze, gdy pojawiał się w domu Cassidy’ego w Cambridge.

Gillian, w której żyłach płynęła krew obu tych samolubnych istot, miała zupełnie inną naturę. Po raz kolejny uzmysłowił sobie, że ta dziewczyna jest twardsza niż na to wygląda. Hunter od zawsze lubił kontrasty, a im dłużej obserwował Gillian, tym bardziej był nią zafascynowany.

– Jak sobie życzysz. – Rozsiadł się na skórzanej kanapie. – Zagraj tę pieśń, którą grałeś na irlandzkim wybrzeżu – polecił. – Tę o fokach, gdzie na początku nimfy tańczą w blasku księżyca: „The song of the Selkies”. Tę lubię najbardziej.

Pieśń, zainspirowana starą irlandzką legendą o stworach, które były na pół kobietami, na pół fokami,

opowiada o katuszach, jakie przeżywały, kiedy mężowie ukryli ich skóry, by zatrzymać je w niewoli i nie dopuścić do powrotu w morską otchłań. Była to też ulubiona pieśń Gillian. Fakt, że ona i ten mroczny, posępny człowiek mogli mieć coś wspólnego, coś oprócz pożądania, wywołała w niej konsternację.

– Dziękuję. Sama ją napisałam.

– Wiem. – Założył ręce za głowę.

– Naprawdę?

– Zorientowałbym się, nawet gdybym nie czytał opisu na kasecie. Ta pieśń jest odbiciem ciebie, Gillian. Słyszę w tej muzyce wszystkie twoje nastroje – stwierdził. – Na początku jest to lekka piosenka z okolic Londonderry, potem robi się smutna, potem stopniowo coraz gwałtowniejsza, a słuchacz ma wrażenie, jakby się topił w spienionych falach ponurego morza.

Wpatrywała się w niego. Przyptyw silnych emocji niemal odebrał jej mowę.

– Dokładnie takie miałam intencje – wyszeptła, dziwiąc się, że dwoje tak na pozór różnych ludzi może czuć to samo.

– Będziemy naprawdę nieźli, Gillian – obiecał jej. Jego słowa, wypowiedziane niskim, silnym głosem, pobudziły jej ciało do wibracji, jak kamerton, obwieszczający, że ich fale niemal się pokrywają.

Szukając schronienia przed wezbranymi emocjami, odwróciła się do fortepianu. Na początku jej palce były sztywne. Od zimna, panującego w Maine, mówiła sobie, dyskretnie przemilczając fakt, że nie tylko kominek nie szczędził żaru, ale także centralne ogrzewanie pracowało pełną parą.

W głębi duszy Gillian wiedziała, że to ze zdener-

wowania. Z tego samego powodu zapomniała zmienić klawisz w pierwszej oktawie, opuszczając jeden krzyżyk i lekceważąc przypadkowy bemol.

Lecz w końcu nastrój pieśni, uczucia, które wyraziła w akcie tworzenia, opanowały cały ten niepokój i muzyka zaczęła płynąć spod jej palców.

W jej głowie szumiała woda – krystalicznie czyste strumienie opadające na omszałe skały – stłumiony odgłos deszczu przeciskającego się przez liście prastarego dębu, szept cofającej się fali, po której została wilgoć, lśniące muszle na brzegu, łoskot fal rozbijających się o wapienne skały, wiatr szalejący dokoła.

Gillian była kompozytorem-wzrokowcem. Zawsze zaczynała od jakiegoś obrazu, czasem od czegoś realnego, czasem od jakiegoś snu lub fantazji. Już w młodości odkryła, że, niezależnie od pochodzenia tych obrazów, gdy łączyła je z muzyką czuła się jak uskrzydłona, gotowa odlecieć w jakieś magiczne, odległe miejsce, pokonując konwencjonalne granice czasu i przestrzeni w drodze do cudownej krainy wyobraźni.

Rozpędzone rytmy wpadały na siebie i stapiały się w jeden. Wzbierające i opadające fale akordów i arpeggia układały się w bogate frazy. Przyglądając się jej Hunter stwierdził, że jest jeszcze bardziej olśniewająca niż była to w stanie oddać kasetą video. Jej niezachwiana koncentracja i przygryziona dolna warga sprawiały, że zaczął kipieć z pożądania. Stało się jasne, że nie było jej już w tym pokoju. Ani w tym domu. Ani nawet na Castle Mountain. Wyślizgnęła się w jakieś wyimaginowane miejsce, które z każdą chwilą poznawała coraz lepiej.

Jej gwałtowna muzyka znowu złagodniała, prze-

chodząc w płynne takty, jak cisza po burzy, zanim nie zaczęło narastać legato, które mówiło mu, że nimfie udało się znaleźć drogę do domu, i że nawet jeśli ta kobieta-foka zanurzała się coraz głębiej i głębiej w otchłani Morza Irlandzkiego, jej serce wzlatywało ku niebu.

Jak starożytny żeglarz wabiony przez mitologiczne syreny na zgubę w morskich głębinach, Hunter podniósł się z kanapy i przemierzył pokój, by stanąć obok niej.

Kiedy zaczął dłonią pieścić jej ramiona, znowu opuściła nutę. Szybko jednak wróciła do właściwego rytmu. Spojrzała na niego przez ramię.

– Nie przestawaj – szepnął, a jego palce zanurzyły się w dekolcie jej purpurowego swetra. – Jeszcze nie.

Kaszmir był delikatny, lecz ciało Gillian, rozgrzane ogniem z kominka i pożądaniem, było delikatniejsze. Zamknęła oczy, i Hunter nie wiedział, czy chciała się od niego odizolować, czy skoncentrować na grze. Wiedział tylko, że jest najbardziej podniecającą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkał, i że fascynowała go w niepojęty sposób. Jego ciało przypominało raketę, bliską eksplozji jeszcze na wyrzutni startowej.

Wyszarpnął sweter ze spódnicy, czując, jak dziewczyna gwałtownie nabiera powietrza.

– Graj.

Przywarł ustami do delikatnego miejsca za jej uchem, co miało działać zarazem podniecająco i rozluźniająco.

– Nie wiem, czy dam radę. – Drżała, kiedy pieściła ją prawa dłoń Huntera, kiedy jego palce kreśliły powoli płonącą linię w poprzek żeber, na bok, w zagłębienie

pod ramieniem. Ujął jej pierś. – Och! – z jej ust wydobył się subtelny dźwięk, trochę jakby westchnienie, trochę jakby jęk.

– Dasz radę.

Kiedy całował jej szyję coraz niżej, aż do karku, odchyliła głowę, oddając mu gardło, gdzie pulsowało tętno.

Gdy poczuła jego protezę rozpinającą w talii guzik spódnicy, jej palce straciły pewność ruchów, a koncentracja pękła jak mydlana bańka.

– Nie pamiętam, co dalej. – Boże pomóż! Nie była w stanie przypomnieć sobie nawet, jak się nazywa.

– Nie przejmuj się tym. Po prostu graj, cokolwiek ci przyjdzie do głowy. – Rozsuwał zamek spódnicy, podstępnie, ząbek po ząbku. – Zaraz się przekonamy, jaką muzykę potrafimy stworzyć wspólnie.

## ***Rozdział dziewiąty***

Zdaje się, że temu mężczyźnie nie była w stanie odmówić niczego. Gillian chciała go zadowolić, jak sądziła, po części dlatego, by raz jeszcze udowodnić mu, że przed trzynastu laty zasługiwała na odrobinę uwagi. Problem polegał oczywiście na tym, że aby zadowolić Huntera, musiałaby się zrzec niezależności, którą się zawsze szczyliła, i zastąpić ją posłuszeństwem. Ale, powtarzała sobie, to w końcu jej wybór. I tylko tymczasowy.

Gillian zaczęła ponownie wodzić palcami po klawiaturze. Muzyka płynęła jedynie z jej serca. Dźwięki wpadały na siebie. Długie sekwencje wysokich tonów mieszały się z pomrukami akordów basowych, dudniących echem z gorącym, wilgotnym zakątku między jej nogami.

Jak gdyby w odpowiedzi na niewypowiedzianą prośbę, jego prawa ręka wślizgnęła się ostrożnie w rozpięty zamek jej spódnicy i, zsuwając się po wypukłości biodra, wędrowała coraz niżej.

– Rozsuń lekko nogi, Gillian. – Kiedy wykonała to



polecenie, w jedwabistych lokach u zbiegu jej ud, palce Huntera przystąpiły do odgrywania własnej symfonii.  
– A teraz zamknij oczy i staraj się nie poruszać.

Gwałtownie złapała powietrze, kiedy jego palce wsunęły się w nią z aksamitną, wilgotną łatwością. Pierwszy. Potem drugi. Wzbierała w niej fala uniesienia, powodująca mimowolny ruch bioder w kierunku tej zdeprawowanej, przebiegłej dłoni. Chciała więcej.

– Hunter... – jej palce drżały, wydobywając dysharmoniczne dźwięki. – ...proszę...

Naprężona jak struna w pianinie, nie będąc w stanie myśleć o muzyce, porzuciła wszelkie próby gry. Pochwyciła jego rękę i przycisnęła mocniej do siebie, w niemym akcie bezwzględного zaspokojenia dobijającej się żądz.

Rozpływała się po jego dłoni jak rozgrzany w słońcu miód. Jej urywane błagania jeszcze mocniej rozpałały pożądanie Huntera. Równocześnie wzbierała w nim mroczna męska siła. Wiedział, że może brać ją dalej, głębiej, odkrywając przed nią rozkosz czysto seksualnych doznań.

– Myślę tylko o tobie. – Słowa, ochryple i urywane, paliły go w gardle.

Bezlitosny ruch jego kciuka w niewidocznej plątaniu nerwów, doprowadzał ją do krzyku. Jej oczy, zniewolone w równym stopniu zdziwieniem, co przyjemnością, te same, pełne ekspresji oczy, które podsycały tyle lubieżnych marzeń, rozszerzyły się raptownie.

– Taką właśnie widzę cię w myślach. – Nie pozwalając Gillian dojść do siebie, ściągnął ją z drew-

nianej ławy i, podtrzymując lekko, zdjął jej przez głowę ten sam sweter, w który była ubrana owej pierwszej nocy; potem rzucił go w kąt. – Rozpalasz mnie. – Jego język znaczył ognisty ślad na oliwkowej otoczce sutka. – Pragnę cię. – Chwycił zębami napęczniały sutek i szarpnął go, wydobywając z Gillian zdławiony jęk. Hunter czuł, że jej umysł wyłącza się, pozwalając przejąć kontrolę zmysłom i jemu. – Moja.

Ściągnął z niej spódnicę, a jego ruchy nie były nawet w połowie tak pewne, jak by sobie życzył. Położył ją na płycie fortepianu, potem rozpiął suwaki siwych, zamiszowych kozaczków, pozostawiając ją tylko w parze nieprzezroczystych, szarych pończoch, które sięgały aż do ud, gdzie kontrastowały z płomiennie rudymi lokami.

Bez pośpiechu, delektując się widokiem i smakiem Gillian, zsunął z jej nóg pończochy i, dojmująco wolno, podążył tą samą, zmysłową ścieżką ustami. Nareszcie była cudownie naga, a jej ciało mieniło się perliście w blasku świecy.

Spragniony posiąść ją mocno i szybko, nadal niezachwianie panował nad swoją żądzą, w każdym razie na tyle, by pić przy niej drinka. Wyglądała tak, jakby przesadziła z winem. Ponieważ jednak wypijała tylko tę jedną lampkę, Hunter odczuwał satysfakcję, wiedząc, że to on był odpowiedzialny za jej nieprzytomne spojrzenie.

– Jesteś naprawdę śliczna.

Pokiwał głową w niemym zdumieniu, iż lodowate łądzwie George'a Cassidy mogły spłodzić tak gorącą, zmysłową kobietę. Wierzchem dłoni powiódł szerokim, powolnym ruchem w dół po jej policzku, czując,

jak drży. Ze strachu, zastanawiał się, czy z pożądliwego wyczekiwania?

– Nie musisz się mnie obawiać, Gillian.

Kiedy jej dotknął, zatrzepotała powiekami i zacisnęła je. Teraz powoli uniosła, co pozwoliło mu dostrzec w jej rozszerzonych źrenicach bliźniacze miniatury jego samego. Płomienie w tle sprawiały, iż jawił się dziewczynie niczym jakiś stwór z piekła rodem.

Był ciekaw, czy tak właśnie go widziała. Ale jeszcze bardziej ciekawiło go, dlaczego miałby się tym przejmować.

– Nie obawiam się. – Uśmiech Gillian był słaby, nadal trochę ostrożny, ale znajdował odbicie w jej oczach, powodując ledwo dostrzegalne ożywienie uczucia, którego Hunter nie mógł zidentyfikować. – Ufam ci całkowicie. Bardziej obawiam się samej siebie. – Kiedy to wyznawała, czarujące rumieńce spłynęły jej z policzków na piersi. – Tego, co czuję, kiedy patrzysz na mnie tak, jak w tej chwili.

Hunter zastanawiał się, czy Gillian zna moc podarunku, jaki mu ofiarowała, ujmując jego rękę i przyciskając do swej różowej piersi. Dłonią wyczuwał jej serce, trzepocące jak skrzydła dzikiego ptaka.

– Tego, co czuję, kiedy mnie dotykasz.

Zadrzała, gdy jego kciuk musnął jej sutek. Jęknęła, kiedy zrobił to samo ustami.

– Lubię na ciebie patrzeć. – Podniósł głowę i napił się ponownie, spoglądając na swą kochankę, rozpaloną i wyzywającą na płycie fortepianu, na jej wilgotne ciało lśniące w blasku kominka, na jej stopy daremnie szukające podłogi, na jej szeroko rozwarte uda, na wilgoć jedwabistych loków, perlącą się jak rosa o po-

ranku. – Lubię cię dotykać. – Zjechał koniuszkami palców po jej mlecznym udzie. – A zwłaszcza smakować cię.

Dotknął językiem bladoniebieskiego śladu żyły, przebijającego spod białej jak śnieg skóry, i był nieco zaskoczony, nie słysząc odgłosu syczącej pary. Kiedy jego zęby wpiły się delikatnie w jej ciało, krzyknęła z rozkoszy zmieszanej z bólem.

– Proszę... Hunter...

Gillian jeszcze nigdy nie błagała o nic żadnego mężczyznę, ale też nie spotkała dotąd mężczyzny, którego pożądałaby tak, jak pożądała Huntera St. John. Nie spotkała dotąd mężczyzny, dla którego byłaby gotowa dobrowolnie odrzucić krępujące ją od zawsze pęta, by poznać tajemnice, których odkrycia jej ciało domagało się od pierwszej nocy na Castle Mountain.

Hunter znał te tajemnice. Widziała to w jego gorących, nienasyconych oczach, kiedy na nią patrzyły, kiedy zaglądały jej pod ubranie, a nawet, jak myślała, pod piekącą ją skórę, aż do tamtego miejsca, ukrytego głęboko w jej wnętrzu.

Czuła to w dotyku jego dłoni, zdradzającym obeznanie z kobiecym ciałem, przez co jej pożądanie jeszcze bardziej wzbierało. A jednocześnie nienawidziła tych wszystkich kobiet, które dotykał w tak intymny sposób.

Hakowata proteza, która zastąpił jego lewą rękę, połyskiwała niebezpiecznie w blasku kominka. Metalowymi zębami uchwycił pobudzony sutek, delikatnie, ale w sposób nie pozwalający jej się wyrwać, czego, na Boga, nie zrobiłaby za nic w świecie.

Kiedy tak na nią patrzył, stanowczo, nieruchomo,

w sposób, w jaki pikujący jastrząb obserwowałby małą, szarą myszkę, Gillian zrozumiała, że był to test, i że Hunter szukał na jej twarzy oznak wstrętu. Nie znajdzie ich.

– Proszę... – powtórzyła miękkim, ledwo dosłyszalnym głosem. – Pragnę cię, Hunter.

Potrzebuję cię. Te słowa pozostały niewypowiedziane, ale też nie było potrzeby ich wypowiedziania.

Proteza rozwarła się. Zacisnęła ponownie.

– Już niedługo, Gillian. – Znowu się rozwarła. – Jesteś kobietą pełną zalet. Z pewnością posiadaś też zaletę cierpliwości.

Jeszcze rano Gillian zapewniałaby z przekonaniem, że cierpliwość jest jedną z jej najmocniejszych stron. Teraz ta cierpliwość legła w gruzach, porzrzucana jak suche liście w czasie huraganu.

Dotyk tego zimnego kawałka stali, przyciśniętego do jej rozpalonego ciała, okazał się niewiarygodnie stymulujący i, chociaż zawsze miała się za kobietę opanowaną, Gillian odkryła coś, o czym, jak podejrzewała, niewiele kobiet pewnie w ogóle wiedziało: seksualne podporządkowanie się właściwemu mężczyźnie – mężczyźnie, któremu można całkowicie zaufać – mogło być wspaniałe.

Podniecał ją fakt, że Hunter był nadal kompletnie ubrany, podczas gdy ona – naga. Kiedy rozsuwał jej nogi jeszcze szerzej, tak szeroko, że stawy biodrowe jęczały z bólu, nie czuła zażenowania ani wstydu. Tylko odwieczną potęgę kobiecości i dumę, że oto może być przedmiotem pożądania, wypisanego wielkimi literami na jego zazwyczaj nieodgadzionym obliczu.

– Śliczna – powtórzył półgłosem. Czubkiem prote-

zy szarpnął pukiel zmierzwionych, płomiennych włosów. Gillian nie opierała się. Ale jęknęła, kiedy uklęknął między jej nogami i zręcznymi palcami rozchylił karminowe listki, ukazując otwór o pastelowej, brzoskwińowej barwie.

Kiedy jego język penetrował drżące z podniecenia wargi, wywołując erupcję upajającego bólu, Gillian dyszała i dygotała jak w gorączce.

– Nie ruszaj się – polecił ochryple, jak gdyby była w stanie kontrolować żądze swego zbuntowanego ciała.

Jego dotyk był ekstazą. Agonią. Posługując się na przemian to kategorycznymi poleceniami, to znowu kwiecistymi komplementami i gorącymi wyznaniem, zdawał się być nieugiętym w dążeniu do zaspokojenia jej – pieszcząc, lizając, ssąc, gryząc, gwałcąc ją ustami i dłonią. Starał się doprowadzić jej ciało do niekończącej się serii orgazmów.

Im bardziej Gillian oddawała się Hunterowi, im bardziej traciła nad sobą kontrolę, tym częściej dochodziła. Raz za razem. Dopóki nie była już całkiem śliska i mokra od własnych soków i pobudzona na nowo piżmowym aromatem seksu, wydobywającym się spomiędzy jej rozrzuconych nóg.

Pomyślała, że chyba już więcej nie zniesie, kiedy zdejmował jej uda z fortepianu i przywierał ustami do wzgórka łonowego. Z trudem łapała oddech, gdy jego język wciskał się głęboko w jej mokrą szczelinę. Czuła krew pulsującą w sercu, w uszach, w tym rozognionym miejscu między udami.

Tego było za wiele.

A jednocześnie, ciągle za mało. Bo mimo kolejnych

fal targających nią konwulsji, wciąż pragnęła Huntera. Całego.

Z kominka wypadło polano, lecz jej zamglony umysł i ciało wstrząsane narastającym crescendo seksualnych doznań, przesywającymi ją do szpiku kości, pozwoliły zarejestrować jedynie zamazany obraz sypiących się wokół iskiek.

Ckliwe dziewczęce wspomnienia dawnego zauroczenia starszym od niej mężczyzną uleciały, a przyszłość stała się niewyobrażalnie odległa. Liczyło się tylko teraz. Tylko ta cudowna, olśniewająca chwila obecna, z Hunterem.

Czas stanął w miejscu i zrobiłaby teraz wszystko, z własnej i nieprzymuszonej woli, o co by ją poprosił. Myśl, że oto ona, kobieta starająca się kontrolować każdy aspekt swego życia, czuła się w ten sposób, w równym stopniu intrygowała ją i podniecała. Wiedziała, że powinna się nad tym poważnie zastanowić. Ale później, kiedy będzie w stanie myśleć.

Hunter zdał sobie sprawę, że odniósł zwycięstwo, na którym tak mu zależało. Umysł Gillian, jej serce, jej ponętne, pachnące ciało – wszystko to miał na wyciągnięcie ręki. Nawet jeżeli jej szczery dar absolutnego posłuszeństwa sprawiał mu przyjemność – w końcu jego zamiarem było tę dziewczynę okiełznać, przełamać barierę jej niezależności, sprawić, by była mu całkowicie powolna – dochodził do wniosku, że jej zaskakująca reakcja nie jest mu obojętna.

Jego ciało sztywniało, ale serce dziwnie miękło. Ujęła go w sposób, który mógł się okazać groźny. W sposób, który należało przemyśleć. Kiedy będzie w stanie znowu jasno myśleć.

Na razie jednak, wiedziony popędem seksualnym, silniejszym od sił natury, formujących przed milionami lat skalne wypiętrzenia, na którym stał jego dom, pozwolił wreszcie, by go rozebrała i założyła prezerwatywę.

Potem, jednym mocnym pchnięciem wdarł się w nią, głęboko i twardo, przy akompaniamencie zdławionego, kobiecego krzyku, czując jej napięte mięśnie, przęcając się, wciągając go do środka.

– Obejmij mnie nogami, Gillian.

Jego własny głos, szorstki i chrapliwy, wydał mu się obcy. Gillian jednak zrozumiała go i posłuchała natychmiast. Jej ręce marszczyły w ekstazie skórę na jego plecach, a nielakierowane paznokcie zatopiły się weń, jeszcze bardziej rozpalając jego żądze.

Wbijał się w nią jak młot, raz za razem. Ich gorące ciała przywierały do siebie co chwila, jej delikatne krzyki znikwały w jego wygłodniałym gardle. Kiedy ich usta się spotykały, jego język wdzierał się między jej rozchylone wargi w rytm ruchu bioder.

Pchnięcia stały się szybsze. Głębsze. Aż wreszcie wyrzucił z siebie gorący, obfity strumień. Jedynym słowem, jakie wydobyło się z jego piersi i odbiło echem od czerwonych, cedrowych ścian było jej imię: Gillian.

Chwilę później i ona zdobyła szczyt.

Hunter nie miał pojęcia, jak długo tak leżeli: ona częściowo na fortepianie, częściowo poza nim, on bezwładnie na niej, z łomoczącym sercem, zbyt wyczerpany, by wykonać jakikolwiek ruch. Mogło to trwać kilka minut. Kilka godzin. Wieczność.

Straszliwy głód, który rósł z każdym mijającym dniem, wreszcie został zaspokojony. Zagłębiony w nią,



czuł miękkie, kobiece krągłości rozgniecione pod naporem zwalistego, męskiego ciała, jej perlistą skórę przy jego skórze, najpierw rozpaloną gorączką, teraz stygnącą obłokiem pary jak podczas wilgotnego lata. Wodził nosem po jej karku i wchłaniał kwiatowy zapach, mieszający się z piżmową wonią seksu.

Hunter nie pamiętał, kiedy czuł się bardziej zaspokojony. Bardziej spełniony. I właśnie dlatego powinien się oddalić.

Mruknęła z delikatną skargą, kiedy uwolnił ją od swego ciężaru. Jej nogi zwisały bezwładnie z płyty fortepianu, a ręce spoczywały wzdłuż tułowia. Oczy miała zamknięte, ciemne jak miedziano-złote, jedwabne kosmyki włosów na jej ciągle rozpalonych policzkach.

Na jej bladym ciele pojawiły się lekkie zasinienia, będące niemym dowodem namiętności. Hunter wiedział, że powinien czuć się winnym za ich powstanie, ale nie był. W końcu, pojawiły się tam samoistnie, jak pożar. Zupełnie jakby wypalił na jej aksamitnym ciele swoje imię.

Jego zadowolenie szybko się jednak ulotniło, kiedy zauważył ciemne smugi kalające wewnętrzną stronę jej gładkich, białych ud.

– Gillian. – Dotknął palcem błyszczącej jeszcze plamy.

Jedyną jej reakcją był senny pomruk, bardziej westchnienie niż próba odpowiedzi.

– Gillian – powtórzył, kładąc dłoń na jej policzku.  
– Otwórz oczy.

Kolejny subtelny protest. Ale posłuchała.

– Byłaś dziewczycą.

To nie było pytanie, ale Gillian i tak odpowiedziała:

– Tak.

– Dlaczego mi do licha mi nie powiedziałaś?

Westchnęła.

– A jakie to ma znaczenie? – spytała, wspierając się na łokciach. – Zmieniłbyś zdanie i nie sprowadzał tutaj?

– Nie. – Obiecał, że jej nie okłamię, a, cokolwiek by o nim nie powiedzieć, Hunter dotrzymywał obietnic.

– Ale wiele rzeczy by się zmieniło.

– Tak? Jakich?

Hunter nigdy nie był skory do długich, szczerych dysput po seksie, jednak ten temat był dla niego szczególnie nieprzyjemny.

– Byłbym wobec ciebie delikatniejszy. Wziąłbym cię w bardziej finezyjny sposób.

Wyprężyła się nieświadomie uwodzicielsko w sposób przypominający zadowoloną, rasową kotkę.

– Myślę, że ten sposób był bosko finezyjny.

– Na początku byłem ostrożniejszy – przyznał – ale na końcu brałem cię jak dzikie zwierzę.

– Ach, o to ci chodzi.

Jej uśmiech pojawił się wolno i był wyjątkowo zmysłowy, przywodząc Hunterowi na myśl biblijną Ewę, która zapewne tak właśnie patrzyła na Adama, kiedy za podszeptem węża skosztowali owocu zakazanego.

– Moim zdaniem, Hunter, było cudownie. – Syreni uśmiech przyciemnił jej oczy tak, że z zielonych jak irlandzki mech, zrobiły się szmaragdowe. – A właściwie, porywająco.

Trzeba ją odesłać, powtórzył swe postanowienie Hunter. Była zbyt pociągająca. Zbyt uwodzicielska. Stanowczo zbyt niebezpieczna. Ale najpierw...

Zgarnął ją z fortepianu, zarzucił sobie na ramię i wyszedł z pokoju.

– A co z naszymi rzeczami? – zapytała, robiąc wrażenie równie niewzruszonej pozycją do góry nogami, jak i tym wszystkim, do czego przymusił ją w ciągu ostatnich kilku dni. – Nie możemy ich tutaj tak zostawić. Pani Adams...

– ...jest na tyle dobrze opłacana, żeby niczego nie widzieć – oświadczył, zmierzając korytarzem do sypialni. Tam bezceremonialnie zrzucił ją na zamknięte wieko komody i zaczął napełniać wannę.

Woda, wydobywająca się z kranu w kształcie długiej łabędziej szyi, była gorąca. Wsypał garść leczniczej soli kąpielowej, którą kupił specjalnie dla Gillian, i już po chwili siedzieli zanurzeni w wonnej pianie.

– Hunter? – zapytała, wycierając okrwawione uda ręcznikiem z miękkiej jak jedwab egipskiej bawełny.

– Co? – Był na siebie zły, co sprawiło, że zabrzmiał to ostrzej niż tego chciał.

– Wiem, że nie dbasz o swój wizerunek. O reputację. – Zagryzła dolną wargę, spoglądając na niego przez grubą zasłonę z rzęs. – Ale ja dbam. I nie sądzę, abym jutro rano mogła spojrzeć w oczy pani Adams ze świadomością, że wie o naszej orgii w bibliotece.

Hunter zastanawiał się, jak to możliwe, aby po tym, co razem robili, mogła zachowywać się tak niewinnie.

– No, to nie była orgia, Gillian. Poza tym, pani Adams jest tu pracownikiem. Nie jej sprawa, co robimy. Ani gdzie to robimy.

Nie uznała argumentu Huntera za przekonujący.

– Proszę. – Dotyk jej dłoni przywołał wspomnienie smukłych palców na jego rozpalonym ciele.

– W porządku. Jeżeli poczujesz się przez to lepiej, pójdę po nie.

– Dziękuję, Hunter. – Jej uśmiech byłby w stanie oświetlać tę wyspę przez całą zimę. – To bardzo miło z twojej strony.

W równym stopniu ujęty, co zirytowany przyływem słabości, wywołanym tym czarującym uśmiechem, Hunter uniósł jej podbródek i odcisnął na jej ustach gwałtowny, bolesny pocałunek.

– Mówiłem ci, dziecinko – przypomniał jej chrapliwym głosem, kiedy wreszcie mogli nabrać powietrza – że ja nigdy nie jestem miły.

– Hunter – zawołała za nim, kiedy stał już w drzwiach.

Spojrzał na nią gniewnie przez ramię.

– Co znowu?

– Nie jestem dziecinką.

Wzruszył tylko ramionami i wyszedł. Jednak nawet świadom tego, że Gillian Cassidy staje się powoli problemem, i to przez duże „P”, uznał, że nie sposób jej się oprzeć.

Chociaż, jak podejrzewał, sokoli wzrok pani Adams i tak swoje zauważy, pozbierał ich ubrania z biblioteki. Potem uległ pokusie powrotu do wanny, do Gillian. Próbował zlekceważyć dziwne odczucie, że tak naprawdę nie zanurza się w pachnącej, gorącej kąpiel, lecz zapada w ruchomych piaskach.

Gillian udało się opanować senne wizje pełne erotycznych wspomnień. Niektóre były prawdziwe, inne zrodzone w jej umyśle, lecz tak realistyczne, że zastanawiała się nawet, czy jednak nie wydarzyły się

naprawdę. Ponieważ była już coraz przytomniejsza, nie zdziwił jej specjalnie fakt, że po przebudzeniu nie znalazła Huntera u swego boku. Była zawiedziona, ale nie zdziwiona.

– W końcu musi pracować – powiedziała do siebie, niechętnie wyplątując się z ciągle pachnącej Hunterem pościeli.

Ogień w nocy wygasł. Rozżarzone jeszcze niedawno bierwiona były teraz zimne jak puste łóżko.

On nie może wylegiwać się w łóżku przez cały dzień tylko dlatego, że kochanie się okazało się być twoim ulubionym zajęciem. Nie. Nie „kochanie się”, skorygowała swoje myśli Gillian. To był tylko seks. Miłość nie ma tu nic do rzeczy.

Przynajmniej jeżeli chodzi o niego. Ale obawiała się, że gdzieś pomiędzy wtargnięciem do jego gabinetu a słodkim i czułym pocałunkiem, którym obdarował ją nad ranem, zaczęła go kochać.

To wina okoliczności, kontynuowała niemy monolog. Podeszła do okna, by je odsłonić. Stworzył osobliwie erotyczną sytuację. Prawdopodobnie nie ma na świecie kobiety, która choć małym stopniu nie uległaby jego czarowi.

Ta myśl, w zamierzeniu pocieszająca, odniosła odwrotny skutek, bo Gillian zaczęła się zastanawiać, jak wiele kobiet Hunter skłonił w ten sposób do miłości – do „uprawiania z nim seksu”, poprawiła się gniewnie po raz wtóry – w tym pokoju. W tym łóżku.

Jeżeli było coś, czego od przyjazdu na Castle Mountain Gillian mogła być pewna, to fakt, że mężczyzna o talentach seksualnych Huntera musiał być doskonały w uwodzeniu.

– Cóż, może przynajmniej po raz pierwszy robił to na fortepianie. – westchnęła Gillian.

Znad stałego łądu nadeszła zamieć. Cały świat był otulony białym kocem. Na szklanej ścianie było teraz jeszcze więcej śniegu.

W taki dzień najlepiej zostać w łóżku, pomyślała. Na wspomnienie zmysłowych, nieodległych chwil, poczuła zbliżającą się falę pożądania, rozniecającą w niej ogień. Wchodząc do łazienki, która w jej erotycznych wspomnieniach miała również swój udział, Gillian zastanawiała się nad tym, co się z nią u licha dzieje.

Odświeżona prysznicem, wróciła do sypialni, otworzyła najwyższą szufladę biurka, by wyjąć z niej sweter, i zobaczyła w niej stertę bielizny, którą Hunter zabrał pierwszej nocy. Nawet jeżeli wiedziała, że był to jego sposób na utrzymywanie kontroli poprzez wymuszone skojarzenia z jej uległością ostatniej nocy, nieodparcie ciągnęło ją do tych pachnących, koronkowych fatałaszków, tak bardzo różnych od wszystkiego, co dotąd miała. Przesuwała po nich palcami, napawając się subtelnym dotykiem jedwabiu i powabem chłodnej satyny. Uśmiechnęła się.

Jak wszystko w domu Huntera, bielizna również tchnęła magią. Nie założy jej, dopóki nie będzie do tego całkiem przekonana. Wchodząc do kuchni, podśpiewywała coś pod nosem.

– Dzień dobry – pozdrowiła panią Adams, na co w odpowiedzi usłyszała jakieś chrząknięcie. Nie pozwalając, aby ta milkliwa kobieta zepsuła jej tak specjalny dzień, uśmiechnęła się i rzekła: – Jestem zdziwiona, że widzę panią tu dzisiaj.

– Nie rozumiem dlaczego. – Gospodyni rozbiła

jajko o brzeg niebieskiej, ceramicznej miski. – Przecież to moja praca.

– Ale burza jest taka gwałtowna.

– Samochód Bena ma napęd na cztery koła. Dotrze wszędzie.

Gillian podeszła do okna, by przyjrzeć się warstewkom śniegu, które zaczynały gromadzić się na szybie. Zastanawiała się, czy był tam gdzieś jej kot, mokry, zziębnięty i głodny. Ta myśl zakłóciła nieco jej dobry nastrój.

– Cóż, jestem pewna, że doktor St. John docenia pani oddanie obowiązkom, ale nie wierzę, żeby kazał pani ryzykować życie w zamieci.

– Kiedy wyruszyliśmy, nie było jeszcze zamieci. Śnieg zaczął tworzyć zasy dopiero po wyjściu doktora St. John.

– Po wyjściu? – Gillian odwróciła się do gospodyni.

– To doktor St. John wyszedł?

– Mhm.

– Czy mówił dokąd się wybiera? – dopytywała zaskoczona.

– Ani słowa. – Masło skwierczało na rozgrzanej, żeliwnej patelni. Normalnie jego zapach pobudziłby apetyt Gillian. Ale nie teraz. – Gdybym miała zgadywać, to powiedziałabym, że poszedł do fabryki mózgów.

– Do fabryki mózgów?

– To laboratorium.

– Aha. – Gillian kołysała kubek w dłoniach. Wzięła kolejny łyk kawy. – Myślałam, że jego pracownia jest tutaj, w domu.

– Tutaj pracuje najwięcej – przyznała pani Adams – ale jest zatrudniony w fabryce mózgów.

– Czy to daleko stąd?

Pani Adams wzruszyła kościstymi ramionami.

– Stąd nigdzie nie jest daleko. To mała wyspa. Fabryka mózgow leży po jej drugiej stronie. Po środku jest nieduże miasteczko. – Włała jajka na patelnię i zaczęła energicznie mieszać widelcem.

– Mimo wszystko, w takiej burzy to jednak poważna wyprawa. – Gillian nie myślała już o swoim osamotnieniu; zaczęła się niepokoić o bezpieczeństwo Huntera.

– Służby meteorologiczne podają, że zadymka szybko minie. Jasne, że o tej porze roku te ich prognozy czasem się sprawdzają, a czasem nie. Ale niech się pani nie martwi o doktora St. John, bo on dzisiaj nie wraca.

– Nie wraca? – Serce Gillian zamarło.

– Powiedział, żebym się nie kłopotowała robieniem dla niego kolacji, ani dzisiaj, ani jutro. Potem ma zadzwonić i poinformować o swoich planach.

Pani Adams przełożyła jajecznicę na talerz czekający na stole.

– Przypuszczam, że będzie pani chciała trochę dodatkowego boczku na zapas. Dla tego głupiego kocura.

– Będę wdzięczna, pani Adams.

Chmurna mina kobiety świadczyła o tym, z jaką niechęcią wyświadcza tę przysługę. I o tym, że nie uważa, by Gillian miała wszystkie klepki na swoim miejscu.

Gillian nie mogła jej winić. Sama doszła do podobnego wniosku.



## ***Rozdział dziesiąty***

To nie działa. Plan, który wydawał się Hunterowi logiczny w chwili rezygnacji z ciepła i wygod, dzielonych z Gillian dwa dni temu, zaczął się sypać.

Nawet przed zamachem przedkładał krótkie, nieskomplikowane przygody z wyzwolonymi kobietami nad stałe związki. Tych kilka ostatnich lat na wyspie z Toni było raczej kwestią wygody niż emocji – przyjacielska namiętność sprawiała im obojgu satysfakcję.

Lubił Toni. Nawet bardzo. Lubił jej umysł, jej ciało, jej ciągotki do seksualnych eksperymentów. Lubił także fakt, że mógł całkowicie oddać się pracy, przez wiele dni i tygodni, a ona nie czuła się urażona ani opuszczona. No, bo przecież myślała podobnie jak on. Było im z tym wygodnie. Żadnych zobowiązań, żadnych potrzeb, żadnego „żyli długo i szczęśliwie„.

Mimo to, jej wyjazd do Narodowego Instytutu Ochrony Wrzosowisk w Atlancie był dla niego ulgą. Zrozumiałaby, był tego pewien, że sypianie z nią

w czasie, gdy w jego domu mieszka inna kobieta, byłoby kłopotliwe. Jednak Toni była osobą obdarzoną doskonałą intuicją, a on nie chciał, aby ktokolwiek zorientował się, że jego uczucia wobec Gillian bardzo się skomplikowały.

Do licha. Jeszcze dwa tygodnie temu wszystko tak dobrze szło. Lepiej niż dobrze. Po latach zbierania danych, przetworzył liczby w złożone ciągi informacji, czując, że jest już blisko przełomu – kiedy nagle wpadła do niego Toni z tą przeklętą kasetą.

Od tamtej chwili jego umysł zaprzętały myśli związane z Gillian Cassidy.

Miał nadzieję, że jeśli znajdzie się z dala od domu – z dala od niej – będzie w stanie skoncentrować się na pracy. Jego komputer jednak buczał, a on stał w oknie laboratorium, wpatrując się w wirujące płatki śniegu i myśląc o Gillian, po drugiej stronie lasu.

Zastanawiał się, czy nadal leży w łóżku, zagrzebana w pościeli, stygnącej od momentu, kiedy ją opuścił, tamtego ranka przed świtem. Zastanawiał się, czy wzięła kąpiel w wannie z jacuzzi. Zastanawiał się, czy myślała o nim. Czy żałowała oddania swego dziewictwa człowiekowi, który nie przyjął tego szczególnie serdecznie i potraktował ją gorzej niż musiał? Ale skąd u licha miał wiedzieć, że ta kobieta jest o wiele bardziej niewinna niż mógł się domyślać, słuchając jej zmysłowej muzyki?

Wcisnął ręce do kieszeni dżinsów i przypomniał, że Gillian jest dorosłą kobietą. Zanim przybyła na wyspę, wiedziała, czego się spodziewać. A nawet gdyby mu wcześniej zupełnie nie wierzyła, że to nie żarty, to od

jej przyjazdu wyrażał się w tej kwestii całkowicie jednoznacznie.

Więc dlaczego do licha tak niespodziewanie czuł się winny? I tego drugiego uczucia, doznania jeszcze bardziej męczącego, którego nie potrafił właściwie nazwać?

– Niech to diabli! – mruknął, przypatrując się wirującemu białemu puchowi.

– Co, cyferki znowu nie chcą do siebie pasować? – dobiegł go z tyłu męski głos. Do gabinetu wszedł Dylan.

– Prace posuwają się wystarczająco sprawnie. – Hunter wzruszył ramionami z udawaną obojętnością. – Właściwie, jest nawet lepiej niż się spodziewałem.

– W takim razie to pewnie wina jakiejś kobiety, że zachowujesz się jak rozdrażniony lew z kolcem w łapie.

– Nie wiesz o czym mówisz – odparł Hunter niechętnie.

Dylan roześmiał się z widoczną przyjemnością.

– Gdybym nie wiedział, że nie jesteś typem, który się angażuje, podejrzewałbym, że trafiła kosa na kamień, i że ta śliczna rudowłosa piosenkarka jednak cię usidliła.

Z początku Hunter był trochę zaskoczony tym, że Dylan wiedział, kogo Ben przywiózł do jego domu. Potem zdał sobie sprawę, że powinien być się tego spodziewać. Każdy gość na Castle Mountain musiał być natychmiast zauważony, szczególnie po sezonie. A szczególnie tak znakomity gość jak Gillian Cassidy.

– To skomplikowane – przyznał, jeszcze głębiej wciskając ręce do kieszeni, i odwracając się ponownie do okna.

– Jak zwykle, kiedy chodzi o kobiety – stwierdził Dylan, bez wątpienia z pozycji szczęśliwego małżonka. – Zdaje się, że przestałeś kontrolować sytuację?

Hunter zmarszczył brwi. Nie był przygotowany na rozmowę o Gillian, nawet z Dylanem. Nie, do czasu, aż będzie wiedział, co właściwie czuje.

– Wpadłeś, żeby mnie pocieszyć?

– Nie. – Uśmiech w oczach Dylana zniknął. – Masz gościa.

– Naprawdę? – Czy naprawdę udało się Gillian namówić Bena, by przywiózł ją tutaj, a jeżeli tak, to czemu go nie zirytował się faktem, że wkroczyła do jego sanktuarium.

– To generał – oznajmił Dylan. – Właśnie marznie na recepcji.

Hunter potrząsnął głową. Tylko tego mu jeszcze dzisiaj brakowało. Zastanawiał się, jak ten człowiek się tu dostał przy tak paskudnej pogodzie. Mając jednak w pamięci te wszystkie opowieści, których nasłuchał się przez lata tajnej działalności, sięgającej jeszcze wojny w Wietnamie, doszedł do wniosku, że generał Alexander Stonewall Lee nigdy by nie dopuścił, aby śnieg, czy nawet śnieżyca, pokrzyżowały mu plany.

Zaklął, a potem westchnął z rezygnacją. To Lee w końcu podpisywał jego czeki.

– Przyślij go tu.

Generał sprawiał wrażenie człowieka stworzonego do służby wojskowej. Gdy prężnym, pewnym siebie krokiem oficera zwycięskiej armii wchodził do gabinetu Huntera, bez trudu wyobraził go sobie salutującego już w łonie matki.

– Nie spodziewałem się pana. – Hunter otworzył

barek z drzewa klonowego i wyjął butelkę Wild Turkey, by uczcić tę okazję.

– Ja też nie spodziewałem się tego wyjazdu. – W jego posiwiałych włosach połyskiwał śnieg. Zdjął palto i powiesił je na mosiężnym wieszaku, demonstrując cztery złote gwiazdki na epoletach munduru. – Z reguły po Święcie Dziękczynienia staram się unikać podróży na północ od Mason-Dixon.

– To musi utrudniać prowadzenie wojny w regionach północnych – skomentował ironicznie Hunter.

– Właśnie dlatego przenieśliśmy się do Pentagonu – odparł generał, odbierając swój kieliszek od Huntera. – Co prawda niektórzy nie przenieśliby się do Waszyngtonu nawet ze względu na pogodę, ale przynajmniej nie jest tam tak niegościnnie.

Spojrzał na mieszaninę śniegu i deszczu padającą na szyby.

– Jeżeli już postanowił się pan zaszyć na jakiejś wyspie, to nie mógł pan do licha wybrać Karaibów?

Od chwili burzliwego rozstania z Georgem Cassidy Hunter zawsze starannie sprawdzał każdego, z kim pracował. Z informacji na temat generała wynikało, że był z niego mizerny żeglarz. Było zatem zdumiewające, że ryzykował przeprawę na łodzi pocztowej Bena Adamsa przy tak wzburzonym oceanie, gdy nawet najodporniejsi padali ofiarą morskiej choroby.

– Tak wyspa mi odpowiada. – Hunter usiadł na jednym z czarnych, obrotowych krzeseł. – Nie przyjechałeś tu chyba tylko z prognozą pogody. Jaki powód uznałeś za ważny na tyle, by się wyprawiać na koniec świata i zmagać z szalejącym Atlantykiem?

– Informacje wywiadowcze Pentagonu na temat

grup terrorystycznych zainteresowanych twoim projektem.

– Czy działalność wywiadowcza nie jest dla Pentagonu zbyt trudna? – Gdy na kamiennej generalskiej twarzy nie pojawiła się nawet rysa uśmiechu, Hunter wzruszył ramionami i spojrzał na protezę, która zajęła miejsce jego lewej dłoni. – Nic nowego. Poza tym, nie jest pan chyba całkiem na bieżąco. Van Horn mówił mi już, że znalazłem się najświeższej czarnej liście.

Na dźwięk nazwiska biurokraty z Departamentu Stanu generał spochmurniał.

– Ci faceci z Departamentu Stanu nie rozpoznaliby terrorysty nawet, gdyby zjawił się w ich gabinecikach i dał im kolektywnie po dupie... Słyszałem też wieści, że pańskie prace są już na ukończeniu.

Może i nie ma pożytku z Van Horna, ale obaj wybrali się na to odludzie w tym samym celu.

– W każdym razem są bliżej końca niż rok temu – przyznał Hunter, niezbyt chętny do dobrowolnego informowania kogokolwiek, nawet człowieka dopuszczonego do najbardziej strzeżonych tajemnic wojskowych. – Ciągle mam jednak sporo do zrobienia – dodał, recytując tę samą formułkę, którą usłyszał emisariusz Departamentu Stanu.

– To jasne, że zależy nam na bezpieczeństwie.

– Byleby nie przenosić tego laboratorium do innej galaktyki. Trudno byłoby mi znaleźć bardziej ustronne miejsce – zauważył Hunter.

– Nie mogę się z tym nie zgodzić. Jednak Połączone Dowództwo zdecydowało, że powinniśmy zwrócić baczniejszą uwagę na środki bezpieczeństwa.

– Ostrożności nigdy nie za wiele – przyznał Hunter

bez zapachu. To tyle na temat wykonanej pracy, pomyślał, umiejętnie przemilczając fakt, że zmitrężył dzisiaj sporą część dnia na myśleniu o dziewczynie.

Pięć długich godzin później generał oświadczył, że jest zadowolony ze stanu zabezpieczeń w fabryce mózgów. Na pewno nie był już jednak zachwycony odmową praktycznej prezentacji omawianego projektu. Jak usłyszał od Huntera, komisja dostawała kwartalne raporty. Zanim wyszedł, jeszcze raz ostrzegł Huntera, by bardziej się pilnował.

– Chyba nie będzie próbował wracać na ląd jeszcze dzisiaj? – zapytał Dylan, kiedy odprowadzali wzrokiem generała, któremu jakoś udało się wykręcić samochodem i odjechać.

– Noc spędzi w miasteczku, w „Gray Gull” – odparł Hunter. – A jutro, jeżeli pogoda się poprawi, pewnie wynajmie łódź Bena Adamsa i wróci na ląd.

Hunter wiedział, że byłoby uprzejmiej z jego strony, gdyby zaprosił gościa do swego domu i oszczędził mu drogi do miasta. Nie zrobił tego z dwóch powodów. Po pierwsze, obecność Gillian mogłaby wywołać pytania, na które nie miał zamiaru odpowiadać. Po drugie, nie lubił generała tak, jak nie lubił Van Horna.

W tych stronach zimowa noc przychodziła wcześniej. Kiedy szare niebo ciemniało, Hunter zastanawiał się nad tym, czy nie spędzić tu kolejnej nocy, na skórzanej kanapie w gabinecie. Przemknęło mu przez myśl, że wolałby stanąć twarzą w twarz z bandą terrorystów, uzbrojonych w granaty ręczne i broń automatyczną, niż prowadzić zwyczajną rozmowę z Gillian.

Nurtowało go to znacznie bardziej niż powinno. Zdał sobie sprawę, że nie może się wiecznie przed nią

ukrywać. Poza tym, z jej dotychczasowego zachowania wnioskował, że mogła próbować go odszukać. Nie chcąc, by ryzykowała życiem tylko dlatego, że w ciągu jednej nocy zamienił się w tchórza, doszedł do oczywistego wniosku, że powinien wrócić do domu.

Dwa dni po wspaniałej nocy z Hunterem Gillian siedziała w bibliotece, próbując w skupieniu skomponować utwór, który brzmiał w jej głowie zanim jeszcze się obudziła i zobaczyła, że Huntera nie ma, a cały świat jest pokryty białym puchem.

Burza nie minęła, udowadniając, że służby meteorologiczne są omyłne. Z ociążałego nieba nadal sypał śnieg. Chwilami mokry opad, nawiewany na ścianę szkła, stukał o nią, jak garść rzuconych drobnych kamyczków. Innym razem, wiatr cichł, a płatki opadały z ołowianego nieboskłonu jak puchowe gęsie pióra, zupełnie jak gdyby bogowie wdali się nad naszym biednym światem w beztroską bójkę na poduszki.

Burza rozszalała się już na tyle, że pani Adams nie dojechała. Na krótko zanim wysiadły telefony, zadzwoniła i powiadomiła Gillian, że poślizgnęła się na oblodzonych schodach frontowych. Nie zwracając uwagi na słowa otuchy ze strony Gillian, informowała chłodno, że doktor wykluczył wprawdzie złamanie, ale ze względu na poważne skręcenie kostki, zalecił jej pozostanie w domu przez kilka następných dni. Ponieważ lodówka była pełna, ani Gillian, ani doktor St. John mieli nie martwić się o jedzenie.

– Jeżeli doktor St. John zdecyduje się w ogóle wrócić w najbliższym czasie z fabryki mózgow – dodała tonem, który miał Gillian zmrozić.



I zmroził, do łoża, przyznała dziewczyna. Jej palce przesuwają się po klawiaturze, przywołując wizje śniegu padającego na zamrożone rzeki i rozchulane sztormem morza. Dobrze, że przynajmniej ten cudowny zimowy krajobraz, widoczny z każdego pokoju w domu, dostarczał jej inspiracji. Jednak, gdy tylko muzyka zaczynała płynąć, przepełniające Gillian emocje ulatywały ku mężczyźnie, który odpowiadał za jej pobyt tutaj, na tej odludnej wyspie.

– Nie dość, że odebrał mi sen – zachnęła się, wydobywając szereg dudniących, gniewnych akordów – teraz jeszcze psuje moją pracę.

Westchnęła. Przestała grać i podeszła do szklanej ściany. Puszysty śnieg zamienił się znowu w twarde kulki, a wiatr zawodził jak zagubione dusze, zaglądające przez komin. Już zamierzała włączyć odtwarzacz płyt kompaktowych, żeby to zagłuszyć, kiedy jej uwagę zwrócił jakiś dźwięk. Przypominał bardziej jęk człowieka niż jakiegoś straszdyła z zaświatów.

– Nie, to nie człowiek – poprawiła się, wysilając słuch. Był to słaby, żalony, urywany skowyt. To chyba kot. Jej kot.

Pochyliła się do przodu tak, że, kiedy wpatrywała się w śnieżną kurtynę, jej nos dosłownie przywierał do szyby. Znowu tam był! Chociaż nie mogła go widzieć, była przekonana, że to ten sam kot, którego Hunter i pani Adams nazwali dzikusiem.

– Dziki czy nie, jest w potrzebie.

Pobiegła do kuchni, założyła kupioną przez Huntera kurtkę, i, nie bacząc na własne bezpieczeństwo, wybiegła w śnieżycę.

Hunter przejechał samochodem około mili, przebijając się przez ścianę syjącego śniegu, kiedy natknął się na powalone, tarasujące drogę drzewo. Nie było takie duże i w normalnych warunkach po prostu by je objechał, ale oślepiająca biel zasłaniała krawędź klifu. Zaklął i opuścił ciepłe wnętrze auta. Zaklął ponownie, kiedy zimny wiatr smagnął go po twarzy.

Prawie udało mu się już odciągnąć drzewo na bok, kiedy poczuł za sobą obecność czegoś lub kogoś. Odwrócił się i zanim zdążył wyprostować dostrzegł błysk metalu. Coś rozcięło mu kurtkę, a jego ramię przeszył dojmujący ból.

Od szkoły średniej Hunter ćwiczył aikido, wschodnią sztukę walki, która uczyła obrony bez użycia broni. Lubił doskonalić kontrolę nad ciałem i umysłem. Odsuwając złość na samego siebie, że dał się wciągnąć w tak prymitywną pułapkę, skoncentrował się na obronie przed śmiercią.

Hunter i napastnik w czarnej masce byli godnymi siebie przeciwnikami. Na swój sposób Hunter podziwiał siłę i zwinność mężczyzny. Musiał przyznać, że w tym względzie mu ustępował, ale jego żelazna dyscyplina emocjonalna dawała mu lekką przewagę.

Walczyli w przeraźliwej ciszy, otoczeni śnieżnym puchem. Ich ruchy były rytmiczne, niemal baletowe. Lata samodyscypliny pozwalały Hunterowi zachować zimną krew i koncentrację. W odróżnieniu od listu-bomby, co zawsze uważał za wyjątkowo tchórzliwy pomysł na zabijanie, ten zamach robił absurdalne wrażenie walki sparingowej.

Po chwili, kiedy uniknął kolejnego ciosu, poluzował lekko napięte dotąd wodze umysłu. Pozwoliło mu to

przenieść myśli na Gillian. Było jasne, że skoro ten człowiek znał miejsce pobytu Huntera, wiedział również o tym, że dziewczyna została w domu sama. Sama i, mimo wszystkich środków bezpieczeństwa, kompletnie bezbronna.

Hunter nie miał wątpliwości, że poradzi sobie z napastnikiem. Ale co, jeśli jest ich kilku? Jeśli są inni, jeśli są w jego domu, i w każdej chwili mogą śmiertelnie przerazić, albo skrzywdzić Gillian?

Przeraźliwa mieszanka trwogi i furii podeszła mu do gardła, rozrywając ostatecznie więzy samokontroli. Hunter porzucił wyrafinowane metody walki. Z rykiem, który zagrzmiał echem w okolicznych lasach, rzucił się całym ciałem na zamachowca.

Podążając za miauczeniem do zatoczek poniżej klifu, Gillian poważnie zastanawiała nad słusnością swojej decyzji, kiedy spostrzegła swego kota, zaledwie kilka stóp od niej. Nadchodził przypływ, a białe grzywy na szczytach kłębiących się fal wyglądały jak lodowe kołnierze. Łoskot nadciągającego oceanu akompaniował basem wyciu wichru i zawodzeniu kota, które zaczęła mylić ze własnym szlochem. Deszcz ze śniegiem zaciął w twarz, wbijając się w skórę niczym igły.

Kuląc głowę, Gillian z trudem brnęła przez wodorostry. Nieugięcie torowała sobie drogę między dryfującymi pniami i szczątkami wraków wyrzuconymi na brzeg. Skały były śliskie. W pewnej chwili straciła równowagę i upadła na kolana.

Kłęcząc na mokrym, szarym piachu zauważyła, jak jej kot znika w wąskiej jamie, wyżłobionej w skalnym

zboczu przez niezliczone podmuchy wiatru i przy-  
pływy morza.

Złorzecząc pod nosem, wstała i chwiejnym krokiem  
podeszła do jamy, w której wewnątrz znalazła trzy  
mokre futrzane kulki, leżące na łożu z wodorostów.

– Kociaki. – Gillian potrząsnęła głową i popatrzyła  
na kota stojącego z widoczną, matczyną dumą nad  
swym potomstwem. – Wygląda na to, że nie jesteś  
wcale chłopcem.

Odpowiedź kota była krótka i sugerowała, że szkoda  
tracić czas na takie dyskusje. Woda chlupotała niebez-  
piecznie blisko kociąt, i Gillian zdawała sobie sprawę,  
że trzeba się było bardzo spieszyć.

Wydobyła kociaki i wetknęła jednego do lewej  
kieszeni kurtki, a dwa pozostałe do prawej. Było im  
tam trochę ciasno, ale ponieważ nie miała ani czasu, ani  
energii na powtarzanie tej wyprawy, stwierdziła, że do  
ciasnych kwater powinny być przyzwyczajone, biorąc  
pod uwagę miesiące spędzone w brzuchu kocicy.

Kolejna fala obmyła jej buty.

– Do licha, powinnaś być mi wdzięczna – powie-  
działa do kotki, która już się odwróciła i wychodziła  
z jamy, wywijając ogonem jak trójkolorową flagą.  
– Sukces.

Po wyprawieniu napastnika w podróż ze skały  
w przepaść, bezszelestnie i bezlitośnie, Hunter skiero-  
wał się do domu. Głowę miał pełną najczarniejszych  
przeczuć: czy Gillian aby była bezpieczna. Kiedy  
wbiegł do domu, wiadomość którą znalazł na stole  
w kuchni ani trochę nie uspokoiła jego pobudzonej  
wyobraźni.

Była napisana w stylu pilnej, porządnej uczennicy, tak różnym od jej pełnej namiętności natury, że na twarzy Huntera niemal wykwitł uśmiech.

„Drogi Hunterze, w przypadku gdybyś wrócił pod moją nieobecność, informuję, że wyszłam na poszukiwanie kota. Jest w tarapatach i nie mogę zostawić go na pastwę żywiołów. Gillian. P.S. Mam nadzieję, że twoje prace w fabryce mózgów posuwają się szybko.,,

Ta krótka, przeczytana w pośpiechu notatka zmroziła go bardziej niż lodowata pogoda. Zastanawiając się nad tym, które z nich dwojga było bardziej szalone, ruszył z powrotem w śnieżycę.

Do licha, ta kobieta miała zbyt dobre serce, żeby siedzieć spokojnie na pupie. Hunter nie potrafiłby wymienić drugiej osoby, która zachowałaby się w sposób równie bezmyślny i być może fatalny w skutkach.

Szedł po śladach jej stóp, które urywały się czasami, co dla Huntera trwało wieczność. Przeraźliwie mokrą, zimną wieczność. Opady śniegu gęstniały, ograniczając widoczność. Fale rozbijały się o brzeg, zamieniając szeroki zwykle obszar plaży w wąski przesmyk piachu, usianego morskimi śmieciami.

Kiedy zauważył purpurową kurtkę Gillian, jedyny żywy kolor w ogromnym świecie szarości i bieli, wypuścił powietrze z płuc, które nieświadomie trzymał od dłuższego czasu. Wypuścił razem z wiązką inwektyw.

– Co ty do diabła wyrabiasz?! – Chwycił ją za ramiona, a ponieważ nie mógł się zdecydować, czy przycisnąć ją do siebie i nigdy już nie pozwolić odejść, czy porządnie potrząsnąć, nie zrobił nic. – Nie rozumiesz, że fale mogły cię zabrać?

Porywy wiatru zagłuszały jego słowa, ale Gillian nie miała kłopotu, by zrozumieć, co mówił. Czuła ostro zakończoną protezę, wbijającą się w jej ramię, czuła ją nawet przez grubą kurtkę. Oddech Huntera tworzył obłoki pary, unoszące się między nimi jak białe duszki.

– To ty nie rozumiesz... – zaczęła wyjaśniać, przekrzykując huczącą nawałnicę fal.

– Rozumiem z tego tyle, że jesteś idiotką! – Hunter wiedział od razu, że powinien przeprosić za tak ostre słowa. Ale później. Jak już będą bezpieczni w domu. I kiedy to ona już przeprosi, że wystraszyła go na śmierć swoim niedorzecznym zachowaniem. – A teraz zabierajmy się stąd, dopóki, mimo twoich pomysłów, jesteśmy jeszcze cali.

Zdając się rozumieć, że Hunter nie był w nastroju do wysłuchiwania jej argumentacji, Gillian po prostu przytaknęła i pozwoliła pociągnąć się kamienistą ścieżką na szczyt zbocza, a potem do domu.

Kiedy weszła do kuchni z arktycznego ziąbu, jaki panował na dworze, buchnęło na nią powietrze gorące niczym z hutniczego pieca. Zanim Hunter zdążył zatrzaskać drzwi, kot wskoczył do izby i zaczął kręcić się wokół stóp dziewczyny, miaucząc coraz donośniej.

– Co ty sobie właściwie myślałaś? – zapytał powtórnie.

– Przepraszam, Hunter, ale sytuacja była alarmowa.

– Koci alarm?

Teraz, kiedy wyprawa dobiegła końca, ogrom ryzyka, jakie podjęła, dotarł do świadomości Gillian z całą mocą. Przed oczyma zaczęły jej wirować białe punkciki, zupełnie jak padający śnieg. Przytrzymując się krawędzi stołu, opadła na krzesło.

Kiedy doszła do siebie, spojrzała na Huntera, który stał obok i lustrował ją kamiennym wzrokiem.

W jego ciemnych oczach było jednak coś jeszcze. Coś, nad czym powinna się zastanowić, kiedy już jej krew zacznie normalnie pulsować, a zęby przestaną szcząkać.

– Kociakowy alarm – poprawiła go, zmuszając do wysiłku zmarznięte wargi.

Wyciągnęła kociaki z głębokich kieszeni kurtki, po jednym, i ustawiła je na podłodze u swoich stóp. Nawet z zamkniętymi oczami udało im się na chwiejnych nogach znaleźć drogę do matki, która teraz, kiedy niebezpieczeństwo zostało oddalone, jak dawniej ignorowała obecność Gillian.

Hunter patrzył z niedowierzaniem to na dziewczynę, to na kociaki.

A potem zrobił coś niespodziewanego, coś, czego dotąd w podobnej sytuacji nie zdarzyłoby mu się zrobić. Odchylił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem.

Później, kiedy wróciła do tego myślami, zastanawiając się, jak oboje mogli się tak strasznie mylić, Gillian zdała sobie sprawę, że to właśnie w tej chwili na dobre zakochała się w Hunterze St. John.

– Tęskniłam za tobą – szepnęła i by dotknąć dłonią jego policzka, z trudem wstała z krzesła, chwiejąc się nie mniej od kociąt. – Straszliwie.

Hunter nie zareagował tak, jak się spodziewała. Nie zrewanżował się jej podobnym zapewnieniem.

– Marzniesz – powiedział tylko.

Nie mogła się powstrzymać. Zaczęła drżeć, i nie było to drżenie podniecenia.

– Dlaczego mnie nie ogrzejesz?

Obrzucił ją jeszcze jednym długim, badawczym spojrzeniem. Kusiła go.

– Później – zdecydował. – Najpierw napuszczę ci wody do wanny.

– To brzmi cudownie.

Nie spodziewała się, że będzie ją rozbierał tak ujmująco delikatnie, jakby była dzieckiem. Ale jeszcze bardziej zdumiała ją to, że kiedy wślizgnęła się pod kołderkę z piany, odwrócił się ku drzwiom.

– Nie przyłączysz się do mnie?

Spojrzał na nią przez ramię. Jego twarz była nieporuszona, a oczy nieprzeniknione.

– Muszę wykonać parę telefonów.

– Telefony nie działają.

– W laboratorium mam nadajnik UKF.

– Aha. – Zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Czy to ważne?

Pomimo ciepła dochodzącego z wanny, jego twarzą wstrząsnął dreszcz lodowatego gniewu, który znowu ostudził w nim krew.

– Tak – wyjaśnił lakonicznie i wyszedł.



## ***Rozdział jedenasty***

Po gorącej, niebiańsko orzeźwiającej, parowej kąpie-  
li Gillian wróciła do kuchni, w szlafroku Huntera  
i grubych, wełnianych skarpetach. zaproponował jej  
brandy, lecz wolała kakao. I właśnie siedziała nad drugą  
już filiżanką.

Kociaki były niedaleko, w skrzynce po jabłkach,  
wyłożonej grubym ręcznikiem.

– To miło z twojej strony.

Obrzucił ślepe jeszcze kociaki spojrzeniem pełnym  
obojętności, w którą ani przez chwilę nie uwierzyła.

– Pani Adams urwałaby mi głowę, gdybym po-  
zwolił im się pałętać po całej kuchni.

– No bo przecież oboje wiemy, jak panicznie boisz  
się swojej gospodyni – odpowiedziała ironicznie Gillian.

Najpierw, kiedy ratowała mokre kocięta, ich żałos-  
ne, urywane kwilenie chwyciło ją za serce. Teraz,  
patrzac, jak szczęśliwe ssaly kocicę, instynkt macie-  
rzyński Gillian, którego nigdy wcześniej nie czuła,  
dojrzewał gdzieś w jej wnętrzu.

– Musisz wiedzieć, że jesteś szalona – podsumował spokojnie, kręcąc wolno głową. Gillian nie czuła się urażona, ponieważ powiedział to z wyraźną sympatią.

Szalona, zgoda, ale to na twoim punkcie szaleję, myślała.

– Zresztą, skoro tyle lat spędziłaś w świecie nutek, to skąd możesz wiedzieć, jak ryzykowne jest w Nowej Anglii wychodzenie podczas śnieżycy – kontynuował z sarkazmem.

– Mieszkam w Monterey – odpowiedziała łagodnie, nie chcąc wdawać się w anty-kalifornijską sprzeczkę.

– A co do wyjścia z domu, to nie miałam wyboru.

Spojrzał na nią twardo, wymownie. Potem westchnął ciężko.

– Tak właśnie myślałem.

Wyciągnął zdrową ręką ponad stołem i zebrał z jej dolnej wargi kroplę bitej śmietany. Kiedy oblizywał z palca puchowy, biały krem, kolejne, jeszcze bardziej przemożne pragnienie przyćmiło pobudzony instynkt macierzyński, wywołany widokiem kociąt.

– Naprawdę tęskniłam za tobą. – Gillian podniosła wzrok znad mącących jej zmysły, uwodzicielskich palców Huntera i spojrzała mu w oczy. – Starłam się pracować... Miałam w głowie te wszystkie cudowne melodie, ale ty ciągle stałeś im na drodze.

– Powinienem czuć się winny?

– Och, ja się nie skarzę. Taka jest po prostu prawda.

– Westchnęła. – Obstawanie przy prawdzie, kiedy łatwiej byłoby skłamać, jest jedną z moich wad towarzyskich.

Uniósł jedną brew, czekając na wyjaśnienie.

Gillian spełniła tę niemą prośbę, jak tyle innych dotąd.

– Na przykład, wyobraź sobie, że kupiłeś nową sukienkę...

– Gdybym gustował w sukienkach, to mielibyśmy duży problem.

Zachichotała, ku swemu zdziwieniu. Nie miała zbyt wesołego dzieciństwa, i chociaż Deke zawsze potrafił ją rozbawić, Gillian nie była pewna, czy kiedykolwiek wcześniej słyszała własny chichot.

– Nie bądź taki dosłowny. Wiesz, o czym mówię.

– Dlaczego nie dasz jakiegoś normalnego przykładu?

– W porządku. – Pomyślała chwilę. – Kilka miesięcy temu pewna wiolonczelistka, która czasami ze mną koncertuje, zapytała mnie, czy jej uda nie wyglądają zbyt masywnie. No i ja powinnam w tym miejscu stwierdzić, że spódnica jest urocza i, że świetnie w niej wygląda.

– Ale tego nie zrobiłaś.

– Nie. Nie mogłam tego zrobić. Nie z czystym sumieniem.

Hunter po raz kolejny próbował dopatrzeć się w niej jakichkolwiek cech rodziców, ale niczego nie znalazł. Ponieważ kłamstwa przychodziły Irene i George'owi Cassidy równie łatwo jak oddychanie, mógł jedynie zakładać, że Gillian była podrzutkiem.

– Kłamstwa w dobrej wierze są czasami całkiem niezłym rozwiązaniem – podsunął jej. – Dla wszystkich zainteresowanych.

Z pewnością nie powie jej o swym spotkaniu z uzbrojonym w nóż terrorystą. Jak na razie podzielił się tą wieścią jedynie z generałem i z Dylanem, aby jego najlepszy, i jedyne, przyjaciel mógł podjąć własne środki zaradcze. Tak na wszelki wypadek.

Hunter nie mógł zaprzeczyć, że był zadowolony zerwaniem łączności telefonicznej podczas burzy. Wolał nie oglądać na wyspie dodatkowych przedstawicieli służb mundurowych. A co do tego napastnika, nie spodziewał się, żeby ocean wyrzucił go w najbliższym czasie na brzeg. Przy odrobinie szczęścia, może zdążą zająć się nim rekiny.

– Kłamstwa tak komplikują życie – stwierdziła.  
– Jedno pociąga za sobą drugie i następne. Naturalnie starasz się w nich dobrze orientować, ale już po pewnym czasie nie możesz się wyplątać z tego, co sam wymyśliłeś.

– Tak, przedziemy piękną pajęczynę – przyznał.  
– Więc co powiedziałaś tej korpulentnej wiolonczelistce?

– Że ten kolor nie harmonizuje z karnacją jej skóry, i że w hotelowym butiku widziałam olśniewającą, czarną, jedwabną kreację z przezroczystą koronką, stworzoną wprost dla niej. – Gillian uśmiechnęła się na to wspomnienie. – Wyglądała bosko. Tamtej nocy jeden z podsekretarzy stanu zaprosił ją po koncercie na kolację. W czerwcu się pobrali.

– A wszystko dzięki sukience?

– Och, nie. Sukienka była tylko opakowaniem. On się zakochał w dziewczynie. – W oczach Gillian zatańczyły radosne ogniki. – Ale to ta sukienka pomogła jej zwrócić na siebie uwagę.

– Poderwała faceta i usidliła go.

Ogniki, jak odbijane od śniegu promyki słońca, szybko znikły.

– Czy w taki właśnie sposób myślisz o miłości? Sprowadzasz ją do podrywania i usidlania?

– Właściwie, to o miłości nie myślę.

– To smutne.

– Ty za to pewnie myślisz? – Pytanie miało charakter retoryczny, Hunter znał już odpowiedź.

– Czasami. – Kiedy uniósł drugą brew, Gillian roześmiała się. – No dobrze, fantazja o znalezieniu prawdziwej i jedynej miłości, i spędzeniu z nią reszty życia, należy do moich ulubionych. Razem z Bożym Narodzeniem, czekoladą... – spojrzała czule na skrzynkę ze śpiącymi kociakami – ...puszystymi zwierzątkami i skomponowaniem muzyki do musicalu, który stanie się przebojem na Broadway'u.

– Dlaczego na Broadway'u? Przecież grałaś już u stóp piramid i w Stonehenge.

– I w obu tych miejscach spędziłam niezapomniane chwile. Szczególnie w Stonehenge. Było to najbardziej zadziwiające i niewiarygodne doświadczenie. Mogłam poczuć magię... – Przerwała, przechyliła głowę i spojrzała poważnie na Huntera. – Przypuszczam, że jako naukowiec raczej nie wierzysz w magię.

– Nie, nie wierzę.

– Szkoda. – Nabrała powietrza, by za chwilę je wypuścić, jak gdyby podjęła właśnie jakąś decyzję. – Musimy nad tym popracować – oznajmiła. – Nawet zwariowani, genialni naukowcy potrzebują do życia trochę magii... A wracając do Broadway'u, to, niezależnie od wrażenia, jakie na tobie zrobiłam, mam w sobie dużo zapału i ambicji. Zawsze lubiłam teatr muzyczny, a moje nazwisko na neonach rozświetlających Great White Way oznaczałoby apogeum sukcesu.

– Cóż, jeżeli tego właśnie chcesz, to ja nie mam nawet cienia wątpliwości, że ten sukces osiągniesz.

– I nie potrzeba tu żadnych kłamstw w dobrej wierze, pomyślał Hunter.

– Dziękuję ci, Hunter. – Jej twarz rozjaśnił nagle ciepły uśmiech. – To bardzo miłe, co mi mówisz.

– Powiedziałem ci, że...

– ...nigdy nie jesteś miły. Wiem. Ale to nieprawda, więc zamierzam ignorować wszelkie próby, które podejmiesz, aby mnie do tego przekonać. Mogę jednak zrozumieć, jak bardzo bronisz się przed myślą, że mogłeś się zakochać. I wtedy staje się jasne, dlaczego starasz się unikać sytuacji, skłaniających cię do zastanowienia.

– Czasem moje myśli zbaczają z drogi. – Jak wtedy, gdy odpierając atak napastnika, powędrowały do ciebie, pomyślał Hunter. Ale nic nie powiedział.

– Ale głowę dam, że nie na długo. – Znowu zrobiła przerwę, starannie dobierając słowa. – Sądzę, że przez ostatnich kilka dni byłeś zbyt pochłonięty pracą, by o mnie pomyśleć.

Słyszając to, westchnął w duchu.

– Ja też za tobą tęskniłem – zapewnił ją ciepło. Przynajmniej tyle mógł dla niej zrobić. – Bardziej niż powinienem. I, do licha, o wiele bardziej niż bym tego chciał.

Ponieważ robił wrażenie naprawdę przejętego, Gillian pochyliła się do przodu i położyła dłoń na jego policzku. Napięte mięśnie drgnęły.

– Znam to uczucie.

Ogarnęła ją fala emocji, bardziej obezwładniających niż fizyczne pożądanie. Ponieważ były zbyt świeże, zbyt surowe, by dzielić się nimi z Hunterem, zamknęła na chwilę oczy, aby zatrzymać je dla siebie.

Dziewczęce zauroczenie, jak przez wiele lat to

uczucie nazywała, rozkwitło na Castle Mountain w coś znacznie poważniejszego. Bardziej trwałego. Kochała go. Prawdziwie, żarliwie, mocno.

Wiedziała też, że nie był gotowy na taką rewelację. Gdyby przyznała się do tego, co czuła, bez wątpienia zamknąłby się w sobie ponownie i, gdy tylko burza minie, wyekspediował ją z tego domu i z tej wyspy.

Przekonana o tym, że w swych uczuciach nie była odosobniona, Gillian poprzysięgła sobie przełamać bariery obronne, jakie przez te wszystkie lata wokół siebie wzniosł, i wyrwać go z emocjonalnej i fizycznej izolacji, na którą sam się skazywał.

Otworzyła oczy, a jej uśmiech promieniował kobiecym przyzwoleniem.

– Czy pamiętasz, jak porównałam naszą sytuację do tej z „Pięknej i Bestii”,?

– Coś sobie przypominam.

– Wybrałam złą opowieść.

– Czyżby?

– Doszłam do wniosku, że to raczej historia Frankensteina.

– A więc, uważasz mnie za potwora?

W jego oczach pojawił się niepokój, który zniknął tak szybko, że gdyby Gillian nie obserwowała Huntera uważnie, nie zauważyłaby tego. Nic dziwnego, że zbudował takie mury, pomyślała ze smutkiem, czując kłucie w sercu. Odkryła już, że jest znacznie bardziej czuły, bardziej bezbronny, niż byłby skłonny się do tego przyznać, nawet przed samym sobą.

– Nie. – Potrząsnęła głową. – Ty jesteś tym doktorem, który stworzył potwora, a potem stracił nad nim kontrolę. Od chwili, kiedy się ze mną kochałeś...

– Uprawiałem z tobą seks – skorygował ją pospiesznie i stanowczo.

Powinna była wiedzieć, że gdy tylko Hunter usłyszy to słowo na „m”, zaprotestuje. Jeżeli chciała czegoś więcej, musiała wykazać się cierpliwością.

– Od chwili, kiedy uprawialiśmy seks – poprawiła się – właściwie myślałam tylko o tym.

Przesunęła palcami w dół po niepokierszowanej części jego twarzy, ku wyraziście zarysowanym ustom. Ustom, które nadal na sobie czuła. Ustom, których dotyk pozbawiał ją zmysłów.

– Nie jesteś tu sam. – Gillian uznała, że pomruk akceptacji musiał na początek wystarczyć. – Może powinniśmy przystąpić do nadrabiania straconego czasu.

Bez zażenowania, co jeszcze tydzień temu nie mieściłoby się jej w głowie, wstała, powoli rozwiązała pasek szlafroka i zsunęła go z ramion, pozwalając by opadł swobodnie na podłogę.

Stojąc przed Hunterem, wspaniale, pożądliwie naga, Gillian widziała w jego oczach płomień silnego, męskiego podniecenia i czuła się bardziej kobieca niż kiedykolwiek wcześniej. Potężna. Pożądana. Uwodzicielska.

Nie dotykał jej – jeszcze nie – lecz żar w jego spojrzeniu wystarczył, aby jej piersi stwardniały.

– Wyobrażałam sobie, że tak właśnie mnie dotykasz. – Rozłożyła palce na swych piersiach. Jej głos, niski i gardłowy, mógłby równie dobrze należeć do innej kobiety. Kobiety pociągającej, prowokującej, kobiety, która mogłaby skupić na sobie zainteresowanie mężczyzny takiego jak Hunter. – I tak. – Z nieskrywanym pożądaniem patrzył, jak jej dłonie błędzą



po brzuchu, z pełną erotyzmu opieszałością, by sprawić mu tak wielką udrękę, jaką ona sama odczuwała, budząc się po upojnej nocy w pustym łóżku. – Marzyłam o zimnej stali na rozpalonym ciele. – Jej paznokieć rozchylił różową szczelinę między udami, ukazując kroplę perłowej wilgoci. – I jak ustami uwalniasz mnie od tortur.

– Gillian... – Jego chrapliwa, nieartykułowana skarga była na wpół jękiem, na wpół ostrzeżeniem. Wyczuwając dziką bestię, miotającą się w jego ciele, Gillian zrobiła się jeszcze bardziej zuchwała, zdecydowana zerwać pętające go łańcuchy.

– Czy ty też o tym myślałeś, Hunter? – Cały czas patrzyła mu prosto w oczy. – Czy marzyłeś o mnie?

– Tak. – Jego gardłowa odpowiedź przeszyła ją dreszczem od stóp do głów.

– Cieszę się. – Uśmiechnęła się na myśl, że udało jej się znaleźć drogę do tak pilnie strzeżonego umysłu.

Zdumiona tym, co się z nią dzieje, skąd u niej naraz tyle ostentacyjnej śmiałości, tyle zuchwałej lubieżności, nie mogła się powstrzymać od wystawienia Huntera na jeszcze większą próbę.

– Czy budzisz się ze wzwoдем, rozpalony, pragnąc, bym była przy tobie?

Kiedy wciskała dłoń pomiędzy swe uda, Hunter nagle wstał, przewracając przy tym krzesło. Nawet tego nie zauważył.

– Co ty sobie u licha myślisz? – Zdrową ręką chwycił ją za nadgarstek, przerywając zabawę własnym ciałem i przycisnął jej dłoń do swojego ciała. Twardy, podniecony penis stał się nowym obiektem jej pieśczoł.

– Myślę, że jesteś tym opętany tak samo jak ja.  
Odpowiedzią Huntera była mieszanina śmiechu i jęku.

– Pewnie masz rację.

Pociągnął ją do siebie. Ogień do ognia. Jego usta spoczęły na jej ustach w gwałtownym, bezwzględny pocafunku. Odpowiedziała pocafunkiem, a jej namiętne usta były równie nienasycone jak jego.

W jakiś niewytłumaczalny sposób znaleźli się w sypialni, gdzie Gillian upajała się ustami Huntera, szorstkością jego dłoni, jego siłą, kiedy wbijał ją coraz głębiej i głębiej w materac, doprowadzając na skraj spełnienia, raz za razem, lecz nigdy nie pozwalając jej poszybować ze szczytu w dół.

– A niech cię, Hunter... – Nie chcąc dłużej grać roli poddanej, Gillian przeorała paznokciami naprężone mięśnie jego wilgotnych pleców. – Dłużej tego nie wytrzymam.

– Spokojnie. – Ucztował w niej, jak człowiek pochłaniający dojrzałą, soczystą śliwkę. – Wytrzymasz.

Jego usta znowu wypalały sobie drogę wędrując w górę jej ciała. Gillian zdawało się, że słyszy skwierczenie jej przypiekanej skóry, kiedy usta Huntera zagłębiły się w jej pępku. Pieścił jej piersi, doprowadzając ją do niemal spazmów, by po chwili posiąść ustami jej roznamiętione wargi.

– Delektuj się własnymi sokami. – Pocafunek był powolny, głęboki i narkotyzujący. – Smakujesz jak seks. – Nieprzenikniona mgła opadła jej na oczy. – I jak grzech. – Swój monolog przerywał lekkimi ukąszeniami. – Można się uzależnić od twojego smaku.

Chciała zapytać, czy i on mógłby się od niej uzależnić,

ale słowa uwięzły jej w gardle. Kiedy język Huntera wciskał się w jej rozchylone usta, jego penis wdarł się pomiędzy jej uda. Szczytowała już w chwili, gdy w nią wchodził. Jej ciało i umysł drżały tak gwałtownie, że tylko gdzieś w oddali majaczyło jej, że i on eksplodował.

Gillian leżała na plecach, wpatrując się lustro nad głową, i chociaż nadal uważała je za tandetne, widok rozciągniętego na niej ciała Huntera był niezaprzeczalnie przyjemny. Powiodła palcami w dół po jego plecach, po nabrzmiałych śladach jej krótkich paznokci. Podobał jej się kontrast między jej bladą dłonią a jego ciemnym ciałem.

Druga jej dłoń kreśliła linię od masywnej nasady jego karku, na bok, przez ramię, wzdłuż ręki...

– O, Boże! – Zapominając o lustrze, zerwała się na kolana. – Ty krwawisz.

Hunter również zauważył rozcięcie na ramieniu. Kompletnie o nim zapomniał, ale w chwili, gdy Gillian zwróciła na nie uwagę, zaczął odczuwać rwący ból.

– To tylko skaleczenie.

– Twoja męskość zawsze robiła na mnie wrażenie, Hunter – odparła energicznie, przypominając mu, że Gillian Cassidy to nie tylko doskonale przyrządzona seksualna potrawa. Że to kobieta z krwi i kości, a nie wiotka, bezwolna kukła – ale teraz nie czas na zgrywanie macho.

Wyskoczyła z łóżka, zanim zdążył zaprotestować. Kiedy maszerowała do łazienki, nie mógł się powstrzymać od uwagi, że Gillian ma najśłodszą pupę, jaką kiedykolwiek widział.

Usłyszał szum wody. Po chwili wróciła z białym,

wilgotnym ręcznikiem, który przyłożyła mu do rany. Jej oczy wyraźnie się zwęziły, kiedy Hunter odruchowo cofnął ramię.

– Co ci się stało?

– Pewnie nie uwierzysz, ale wpadłem na półkę z próbkami i jedna z nich się stłukła.

– Nie używasz w pracy próbek. – Zmarszczyła brwi, kiedy ciemnoczerwona kropla krwi rozprysła się na śnieżnobiałym ręczniku.

– A kupisz historię o tym, że kiedy kroilem cebulę na kanapkę z rostbefem, nóż mi się ześlizgnął...?

– To jeszcze większa bujda niż ta o próbkach. Najwyraźniej ktoś cię pchnął nożem.

– Dużo takich ran kłutych widuje się podczas muzycznego tournée, Sherlocku?

– To nie jest zabawne.

– Nie – Hunter, choć niechętnie, musiał się z tym zgodzić. – Raczej nie.

– Powinniśmy zawiadomić policję.

– Telefony nie działają – przypomniał.

Była jeszcze kwestia siostry Dylana, która kierowała miejscowym posterunkiem policji. I chociaż Hunter słyszał opowieści o jakimś medalu za ofiarność i odwagę z czasów, kiedy służyła w Los Angeles – nim wróciła na Castle Mountain, aby objąć posadę po swym zmarłym ojcu – nie była przecież Supermanem i mogła nie dać sobie rady.

Mimo, że Hunter nie cierpiał dzielić się choćby częstką swego okrojonego prywatnego życia, powiadomił generała o swoim gościu. Zdziwił się, że nie zapewniono Gillian natychmiastowej ochrony. Terroryzm jest rzeczą nieprzewidywalną, przypomniał mu generał. Ale obiecał, że

uczyni wszystko, co w jego mocy. Tylko, że Hunter nie był pewny, czy „wszystko co w jego mocy” tutaj wystarczy. Gdyby cokolwiek się stało Gillian...

Trzeba będzie o tym jeszcze pogadać z generałem, zdecydował. Jutro, zanim opuści wyspę i zniknie w labiryncie wojskowej twierdzy, jaką jest Pentagon.

– Nie sądziłam, że na Castle Mountain jest tylu rzezimieszków – stwierdziła Gillian.

– Bo nie ma.

– Wiesz, kto cię zaatakował?

– Nie.

– Więc nie było to nic osobistego?

– A czy wbijanie komuś noża nie jest wystarczająco osobiste?

Gillian skrzywiła się, wyczuwając w jego głosie brak troski o własne bezpieczeństwo.

– Czy to może mieć coś wspólnego z twoją pracą?

– Tak przypuszczam.

– Czy powinniśmy się martwić tym, że ten napastnik tu do nas przyjdzie?

– Nie. – Była to jedyna rzecz, której Hunter był absolutnie pewien.

Po tak szybkiej odpowiedzi spojrzenie Gillian przeniosło się z nasiąkniętej krwią szmatki na okno.

– Nie żyje?

– Myślę, że tak. Chyba, że, zanim wylądował w morzu, jakimś cudem dostał skrzydeł.

– Mało prawdopodobne.

Hunter był trochę zdziwiony, że Gillian przyjęła to z takim spokojem. Znowu musiał przyznać, że stanowiła dla niego jedną wielką niewidomą.

W oczach dziewczyny zgasły resztki pożądania.

Palcami dłoni, w której nie trzymała ręcznika, dotknęła jego zniekształconego policzka. Chociaż wymagało to od niego nadludzkiego wysiłku, nie odwrócił twarzy.

– Co ci się stało, Hunter?

– Już do tego doszłaś. Ewidentnie zostałem ugodzony nożem.

– Nie mówię o tej dzisiejszej ranie.

– Robiłem w Bośni badania do mojego projektu i otworzyłem list, który, jak się okazało, był pułapką na matole.

– Bomba w liście. – Widział, że wstrząsnęło to jej smukłą postacią i był pełen podziwu dla jej zdolności natychmiastowego odzyskiwania kontroli nad ciałem i umysłem. – Twoja praca jest aż tak niebezpieczna?

– Powiedzmy, że gdybym doprowadził ją do końca, świat stałby się bardziej sympatyczny i spokojny.

Zmarszczki pokryły jej gładkie czoło.

– Dlaczego ktoś chciałby cię zabić za to, że starasz się uczynić świat lepszym?

– Bo jest wielu ludzi, którzy czerpią zyski ze świata takiego, jaki jest, i woleliby zachować status quo.

– Zdaje się, że jest w tym jakiś pokrętny sens. Myślisz, że ten dzisiejszy atak jest jakoś powiązany z tamtym w Bośni?

– Możliwe.

– Rozumiem.

Rzecz jasna, nic nie rozumiała, pomyślał Hunter. Nie miała pojęcia, nad czym pracował. Przez chwilę milczała, oglądając ranę i marszcząc brwi.

– Być może trzeba to będzie zszyć.

– Nic mi nie będzie.

– Nie jesteś lekarzem.

– Ty też nie.

Ich spojrzenia zmierzyły się w niemej potyczce.

– Nie cierpię takich sytuacji – powiedziała w końcu, wzdychając ciężko.

– Nie musisz się martwić. Będiesz bezpieczna. – Gdzieś pomiędzy zaskakującym atakiem w drodze do domu, a zrzuceniem napastnika ze skały Hunter postanowił zadbać o bezpieczeństwo Gillian nawet, gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaką robił.

– Nie mówiłam o swoim bezpieczeństwie – oświadczyła z tym rzadko spotykanym temperamentem i pasją, który właśnie w niej odkrył. – Nie podoba mi się, że cię zraniono.

Rozbierając się w sypialni, do której chwiejnym krokiem się przenieśli, z przyzwyczajenia odpiął metalową protezę dłoni. W tym momencie jego umysł był objęty gorączką w takim samym stopniu jak członki, i nie pomyślał, że dotykanie jej ciepłego, namiętnego ciała martwym kikutem może wywołać odrazę.

Jeszcze podczas rehabilitacji wypróbował kilka protez, ale nie polubił uczucia, jakie wywoływała w nim świadomość posiadania na końcu ramienia sztucznego, plastikowego ciężarka. Hak, który nosił teraz, choć dla wielu niewątpliwie odrażający, był przynajmniej praktyczny. Z pewnością nie nastrojał jednak zbyt romantycznie.

Kiedy już chciał wyrwać martwy kikut, żeby ukryć go przed jej spojrzeniem, Gillian schyliła się. Fala płomiennie rudych włosów zalała jego przedramię, kiedy jej usta spoczęły na poczerwieniałym ciele tam, gdzie kiedyś była jego dłoń. Hunter poczuł wstrząs, tak silny jak trzęsienie ziemi.

– Pogodziłem się z tym. – Wyksztusił z wysiłkiem.  
– Może fizycznie – przyznała. Przeszła do całowania każdej, najmniejszej nawet blizny pokrywającej lewą stronę jego piersi. Jej czułości były błogosławieństwem.

Kiedy ponownie koniuszkami palców sięgnęła okaleczonego policzka, a ich błyszczące oczy się spotkały, Hunter poczuł się szczęśliwy, że tamten wybuch jakimś cudem oszczędził mu wzrok.

– Ale psychicznie? Musiało zostawić blizny – powiedziała czule. – Nie wyobrażam sobie, że ktoś mógłby chcieć mnie zabić.

– Może dlatego, że, pomijając twoją pracę dobroczynną, nie spędziłaś ostatnich ośmiu lat życia w rejonach ogarniętych wojną, przebywając z ludźmi, którzy budzili się co rano z postanowieniem wyrznięcia swoich sąsiadów.

Lata badań nad ciemną stroną ludzkiej natury dały Hunterowi inne niż Gillian spojrzenie na kwestie dobra i zła. Nie był już takim optymistą. Często myślał w duchu, że jeżeli Bóg istnieje, to chyba przestał się już interesować swymi trującymi owocami stworzenia.

– Stopień ryzyka zależy od terytorium, na którym człowiek działa – powiedział.

– Może powinieneś zmienić terytorium.

– Nie pozwoliłem twemu ojcu wypchnąć mnie z życia naukowego, Gillian, nie zamierzam też się poddać jakimś narwańcom z kilogramem plastiku.

Ponieważ nie było to ważne ani dla tej rozmowy, ani dla tej sytuacji, nie powiedział jej, że myślał już



poważnie nad jakąś dziedziną nauki, w której prawdopodobieństwo rozerwania na strzępy byłoby trochę mniejsze.

– Opowiesz mi o tym? – zapytała cicho. – Co ty właściwie takiego robisz, że chcą cię zabić, że wolą zginąć, by tylko cię powstrzymać?

– To tajne.

– Więc tylko tak pobieżnie – nalegała. – Jestem córką naukowca – przypomniała mu na wszelki wypadek. – Rozumiem konieczność utrzymywania wyników badań w tajemnicy. Nie proszę cię o wyjawianie mi jakichś mrocznych rządowych tajemnic, Hunter. Chcę tylko wiedzieć, w co wierzysz na tyle mocno, by stawiać na szali własne życie. Ale przede wszystkim chcę się dowiedzieć więcej o tobie. O twoich pragnieniach i twoich marzeniach. Tyle, ile ty wiesz o mnie.

Mógł jej odmówić. Do licha, powinien jej wtedy odmówić. Kiedy jednak zaczął tonąć w zielonych odmętach jej spojrzenia, przemknęło mu przez myśl, że za chwilę osiągnie punkt, w którym nie będzie już w stanie odmówić jej niczego.

– Tylko tak pobieżnie – zgodził się. – Po kolacji.

Uśmiechnęła się, prezentując całą słodycz swych ust i czarujące oczy.

– Po kolacji. – Podeszła do szuflady i wybrała nieprzyzwoicie szkarłatną, satynową koszulę nocną, zaprojektowaną tak, by jej piersi były bez przerwy muskane delikatną tkaniną niby dłońmi kochanka. – Zanim znowu będziemy się kochać.

– Znowu? – zapytał udając zdziwienie, kiedy wyciągała parę doskonale dobranych majteczek, tak ską-

pych, że zakrywały tylko to, co najważniejsze. Jest kobietą stworzoną dla seksownej bielizny, pomyślał, zadowolony z trafnego wyboru.

– A już myślałem, że cię zaspokoilem.

– Bo to prawda. – Zawiązała pasek w talii. – Byłeś cudowny. Do tego stopnia, że nie mogę się już doczekać następnego razu, i następnego.

Ton jej głosu był kokieterijną mieszanką nieśmiałości i wyuzdania, a spojrzenie, jakim go obrzuciła, było tak uwodzicielskie, że aż się prosiło, by rozsypać tę jej szkarłatną szarfę i zaciągnąć ją z powrotem do łóżka.

Hunter wstał, mając nadzieję, że Gillian nie zauważy, jak bardzo oszczędza bolącą, zranioną rękę.

– Zdaje się, że według umowy to ty jesteś seksualną niewolnicą.

– Teraz, kiedy o tym wspomniałeś, coś sobie zaczęłam przypominać. – Stanęła na palcach i musnęła jego usta swoimi. – Myślałam jednak, że moglibyśmy renegotjować warunki.

– Tak? – Między jego ustami a pachwiną przepłynął chyba prąd elektryczny. Czy nigdy nie nasyci się tą kobietą? – Co masz na myśli?

– Może zamienimy się rolami. – Uśmiechnęła się jak lisica.

Hunter poczuł, że i jego nienawykłe do uśmiechu wargi wyginają się w łuk.

– Jak na kobietę, która objechała świat, prowadziłaś dotąd zdumiewająco ubogie życie seksualne, Gillian. Skąd ta pewność, że podołasz wyzwaniu i sprawdzisz się w roli osoby dominującej.

Odchyliła swoją piękną główkę do tyłu. Jej kształtną figurę opinał zmysłowy, jedwabny szlafroczek, wystarczająco kusy, by Hunter nabrał ochoty ugryźć ją udo.

– Dlaczego mnie nie sprawdzisz?

Roześmiał się, czując dziwne rozluźnienie jak na kogoś, kto dopiero co uniknął śmierci.

– Chyba tak właśnie zrobię.

## ***Rozdział dwunasty***

– Więc badasz polityczną i ekonomiczną historią regionu, porównujesz z czynnikami socjologicznymi, współczesnymi i przeszłymi, oraz z genetycznym profilem mieszkańców, a kiedy wrzucisz to wszystko do komputera, możesz przewidzieć jak dana populacja zareaguje w określonych warunkach?

Po błyskawicznym rozprawieniu się z kolacją, którą znaleźli w lodówce, przenieśli się do biblioteki, gdzie Hunter podzielił się z Gillian podstawowymi informacjami na temat swoich badań. Nie zdziwiło go tempo, w jakim pojęła jego teorię. Już dawno stwierdził, że jest tyleż inteligentna co piękna.

– To tak w skrócie.

Jeszcze przez moment zastanawiała się nad tym, wypięła łyk wina, potem pokiwała głową.

– A departamenty Stanu i Obrony płacą za takie badania? To trochę nietypowe.

– Możliwe. – Wzruszył ramionami. W życiu przylepiano mu już etykietę wolnomyśliciela, ekscentryka

i szaleńca, więc nie przejmował się specjalnie tym, co typowe. – Ale każdy widzi to inaczej. Obrona, na przykład, chce danych użytecznych do przewidywania wojen i określania optymalnych sposobów ich wygrywania. Departament Stanu z kolei stara się rozładować konflikty zanim wybuchną. Oni również interesują się wszystkim, co daje im przewagę przy zażegnaniu lokalnych konfliktów, zanim się rozprzestrzenia.

Hunter nie wspomniał o niejasnym wrażeniu, że generał poszukuje w tym projekcie czegoś znacznie bardziej śmiertelnościowego.

– Pomysł Departamentu Stanu podoba mi się bardziej – podsumowała Gillian bez wahania. – Twoja praca może być ogromną pomocą w dyplomacji.

Jej uśmiech nieziemski. Dosłownie zapierał mu dech w piersiach, stymulując jego serce do czegoś naprawdę dziwnego, psychologicznie niewytłumaczalnego.

– Pomyśl tylko, Hunter, może właśnie jesteś na najlepszej drodze do powstrzymania wojen.

– Cele powinny być szczytne – zadeklarował z mocą, myśląc o jej wcale nie tak nierealnym celu wystąpienia na Broadway’u. – Z drugiej strony, dlaczego właściwie dążymy do ich osiągnięcia?

– Jak to, bez celów i dążeń rasa ludzka nadal żyłaby w jaskiniach, a zamiast delektować się wyśmienitymi pieczeniami pani Adams, bylibyśmy zmuszeni biegać po śniegu z dzidami i kamieniami za włóchatymi mamutami.

– Myślę, że rasa ludzka posunęła się do użycia pierwszej, prymitywnej broni dokładnie w tym momencie historii, gdy zaczęła polować na mamuty.

– Naprawdę, Hunter? – Westchnienie irytacji potrząsnęło jej płomienną grzywką. – Musisz być taki dosłowny?

– Jestem naukowcem – przypomniał. – Mamy nawyk zagłębiania się w szczegóły.

– Jesteś socjologiem – odparła – co oznacza, że zostałeś obdarzony lepszą wyobraźnią niż inni.

Ponieważ wolał, by uważała go raczej za kogoś szczególnego, nie podkreślał faktu, że każdy znany naukowiec posiada zdolność wyglądania poza horyzont oczywistości.

– A mówiąc o wyobraźni – powiedział wolno, z namysłem, odstawiając kieliszek z winem na niski stolik przed nimi – co byś powiedziała na małą gierkę z fantazjami?

– Z jakimi fantazjami?

– Myślałem o czymś w rodzaju inwazji z kosmosu.

– To zależy, kto będzie kosmitą

– Obcy pochodzi z planety, na której niestety nie ma mężczyzn, więc bardzo sfrustrowane kobiety muszą przemierzać kosmos, by zaspokoić swoje nieposkromione potrzeby seksualne.

Ogryzając paznokcia u kciuka, Gillian zastanawiała się nad scenariuszem Huntera.

– To znaczy, że możliwy jest jakiś wybór. Mogę brać zakładników?

– Tylko jednego.

Westchnęła dramatycznie.

– Będę musiała wybierać bardzo starannie.

– Ja też radzę ci się dobrze zastanowić.

Oczy Gillian rozbłyły w migotliwym świetle komin-ka. Jej uśmiech był zniewalający i diabelnie seksowny.

– W takim razie wybieram... ciebie.

Hunter pozwolił wcisnąć się w ciemnoczerwone oparcie kanapy i dobrowolnie poddał jej fantazji. Jej własnej.

Kiedy Gillian się obudziła, blask zimowego słońce wlewał się przez okna w sypialni. I znowu łóżko było puste, ale tego ranka nie było jej tak przykro. Wiedziała, że Hunter może nie być jeszcze gotowy zaakceptować fakt, że ich stosunki weszły w nową fazę.

To było coś więcej niż seks, stwierdziła, stojąc pod prysznicem i rozkoszując się strumieniami gorącej wody, obmywającej jej ciało. Ciało cudownie obolałe po długiej, porywającej nocy, podczas której dzieliła z Hunterem swoje fantazje, które okazały się jeszcze bardziej niebywałe od fantazji Huntera. Nigdy, przynigdy, nie wyobrażała sobie nawet, że potrafi być tak... cóż... wyuzdana.

Nie, żeby się uskarżał. Przez wszystkie te długie godziny naprawdę dobrowolnie poddawał się jej władzy, a nad ranem, gdy Gillian nie mogła się nadziwić własnej inwencji, stwierdził, że od początku dostrzegał tę ukrytą, namiętą stronę jej natury.

Ale ten związek był czymś więcej niż seksualną beczką prochu. Gillian nie sądziła, by Hunter dzielił się wiedzą o swojej pracy z byle kim. Chociaż z całą pewnością nie zdradziłby jej tajnych kodów komputerowych, dzięki którym można zapanować nad światem, była mu wdzięczna za to, że jej ufał i powiedział, ile mógł.

Pożądał jej od pierwszej nocy. Kiedy się kochali, wyjawiał jej, że mu się podoba. A teraz nawet jej zaufał.

Wargi Gillian wygięły się w łuk, kiedy przesuwiała gąbkę po rozgrzanej skórze, od przyjazdu na Castle Mountain nadzwyczaj wrażliwej. Czy istotnie były to kamienie milowe na drodze do miłości?

Nadal uśmiechała się, nalewając świeżo zaparzoną kawę z dzbanka do filiżanki. Nakarmiła też kota, o czym przypomniał jej widok pustego talerzyka i miski z mlekiem na podłodze obok skrzynki z kociętami. Te skromne namiastki domowej atmosfery wyzwoliły ciepło, które ogrzewało ją od środka.

Zastanawiała się, czy nie pójść do Huntera, lecz obawiała się jego irytacji, gdy przeszkodzi mu w pracy. Zdecydowała jednak podjąć to ryzyko.

– W końcu – myślała w drodze przez korytarz wiodący do jego gabinetu – Hunter nie należy do ludzi, którzy robią rzeczy, których robić nie chcą. Jeżeli będzie zajęty, powie mi to wprost.

Otworzyła drzwi i dopiero teraz zorientowała się, że nie był sam. Zaskoczyło ją to, ponieważ nie słyszała, by ktoś przyjeżdżał, a poza tym przyzwyczaiała się do myśli, że są sami w domu.

– Dzień dobry. – Hunter powitał ją z uśmiechem, lecz w jego spojrzeniu dostrzegła lekki niepokój.

– Dzień dobry. Przepraszam, nie chciałam przeszkadzać.

Poczuła niekłamana ulgę, że na prześwitującą ażurową koszulę nocną, która więcej odkrywała niż zakrywała, zdecydowała się założyć długi, czarny szlafrok z jedwabiu. Nie był to może strój wyjściowy, ale przynajmniej dość przyzwoity.

– Nie przejmuj się. Właśnie skończyliśmy. – Hunter wstał. – To jest Dylan Prescott – powiedział,



przedstawiając jej mężczyznę, który również się podniósł. – To on założył fabrykę mózgów. Dylan, to jest...

– Gillian Cassidy. – Mężczyzna był przystojny, na swój szelmowski, chłopięcy sposób. Jego uśmiech, lekko zaznaczony też w inteligentnym spojrzeniu, był szeroki i ciepły, i chociaż Gillian nie wątpiła w to, że ten ujmujący grymas miewał swój udział w uwodzeniu kobiet, nie działał na nią nawet w połowie tak, jak uśmiech Huntera. – Jestem pani fanem.

– To miłe słyszeć coś takiego.

– Naprawdę – zapewnił łagodnie. – Moja żona także. Ma w samochodzie kopie wszystkich pani płyt.

– Och, lubię słuchać komplementów. – Uśmiechnęła się.

– Polecono mi zaprosić panią na kolację – oznajmił. – Może Hunter będzie miał ochotę podzielić się panią i wybierzemy się w czwórkę na Winterfest w najbliższy weekend. To zimowy festyn, organizowany na wyspie co roku.

– Gillian nie zabawi tu aż tak długo – oświadczył szybko i opryskliwie Hunter, zanim ona sama zdążyła odpowiedzieć.

– Rozumiem. – Dylan spojrzął na Huntera, by zaraz poświęcić uwagę Gillian. – Może podczas pani następnej wizyty – zaproponował szybko.

Napięcie w pokoju stało się równie wyczuwalne, jak nagły spadek ciśnienia przed gwałtowną burzą. Gillian miała wrażenie, że mężczyźni porozumiewali się bez słów i podejrzewała, że chodziło o nią.

– Zdaje się, że mówiłeś coś o konieczności zabrania się do roboty? – zwrócił się Hunter do Dylana nadal opryskliwym tonem.

– Zgadza się – odpowiedział prędko Dylan.

Gillian nie negowała, że założyciel laboratorium, z którym współpracował Hunter, mógł być naukowym geniuszem. Ale to nie czyniło z niego jeszcze dobrego aktora. Zarówno ton, jak i zachowanie, były ewidentnie wymuszone.

– Gillian, było mi naprawdę miło poznać cię. – Przynajmniej to zabrzmiało prawdziwie. Dylan ujął jej dłoń dwoma rękami. Kiedy na nią spoglądał, dostrzegała w jego oczach wiele sympatii.

Wymamrotała coś w równie miłego, zanim Hunter bezceremonialnie ich rozdzielił.

– Nie mówiłeś chyba poważnie? O tym wyjeździe?  
– zapytała Gillian, gdy tylko Hunter odprowadził Dylana do drzwi.

– Właściwie, tak. – Ponieważ bał się zmierzyć z tym jej spojrzeniem skrzywdzonej dziewczynki, zaczął wertować wydruki komputerowe na biurku. – Od kiedy się tu zjawiaś, wiedziałś, że nie jestem zainteresowany stałym związkiem, Gillian.

– Wyraziłeś się dostatecznie jasno. – Ton jej głosu był lodowaty, lecz Hunter z łatwością wyczuwał przenikające lód ciepło. Po raz kolejny zauważył, że Gillian jest kobietą pełną niespotykanych kontrastów. – Przywiodłeś mnie tu, by przez trzydzieści nocy uprawiać ze mną seks. Na wypadek, gdybyś był zbyt pochłonięty pracą, żeby spojrzeć w kalendarz, trochę tych nocy jeszcze zostało.

Wzruszył ramionami, ciągle bacznie przyglądając się kartce z danymi.

– Być może ta gra posunęła się trochę za daleko.

– Choć była to jedna z najtrudniejszych rzeczy, jakie kiedykolwiek w życiu robił, zmusił się, by patrzeć jej prosto w oczy. – Może się znudziłem.

Hunter słyszał jej przyspieszony wdech i nienawidził się za to, że z jej policzków znikły nagle wszelkie kolory, przez co stała się przezroczysta i krucha jak kryształ. Kiedy tak na nią patrzył, z fascynacją i podziwem, Gillian ze słabiutkiej istotki zamieniła się w prawdziwą wojowniczkę.

– Nie wierzę ci. – Na jej policzkach widział teraz jaskrawoczerwone sztandary wojenne, a jej oczy lśniły. Hunter zastanawiał się, czy łzy, przed których uronieniem tak się broniła, wyrażały ból czy złość. – Ale to nie ma znaczenia, ponieważ umowa jest umową, Hunter. Na wypadek, gdybyś zapomniał, jestem tu, ponieważ chcesz się zemścić na moim ojcu.

Zdecydowany pozbyć się jej z domu i z wyspy tak, aby była bezpieczna, Hunter nie zamierzał przyznawać, że posunęli się o wiele dalej niż przewidywał jego plan.

– Twierdzisz, że jesteś człowiekiem honoru – przypomniała mu stanowczo. – Człowiek honoru dotrzymuje słowa. A nasza umowa obejmuje trzydzieści dni.

– Nocy – poprawił ją łagodnie.

– Trzydzieści nocy – zgodziła się, przechylając głowę. Jej płomienne, włosy przypomniały mu, co czuł ostatniej nocy, kiedy ich aksamitny dotyk rozpałał jego uda. – Więc czy tego chcesz, czy nie, Hunterze St. John, jesteś na mnie skazany, dopóki ten czas nie upłynie. Jeżeli rzeczywiście jesteś znudzony, i jeżeli nie chcesz się ze mną kochać... uprawiać seksu – poprawiła się szybko, gdy jego oczy się zwężyły – w porządku.

– Założyła ręce na piersi. – Przez dwadzieścia pięć lat sypiałam sama, więc samotność mi niestraszna. Niezależnie jednak od tego, gdzie i z kim te noce spędzisz, nie wyjadę.

Gdyby nie było to takie poważne, gdyby się o nią nie martwił, gdyby nie chciał, aby opuściła wyspę, Hunter bawiłby się pysznie obserwując, jak zażarcie bronila swego.

Potrząsnął głową, starając się przekonać samego siebie, że dopóki nie minie sztorm, nikt nie dostanie się na Castle Mountain, a zatem powinna być tu bezpieczna.

– George miał rację. Niełatwo cię oswoić.

Gillian nie należała również do osób, które żywią urazy. Rozpromieniła się, powoli demonstrując swój uśmiech syreny, o którym Hunter już wiedział, że będzie wywoływał w nim dreszcz nawet kiedy przekroczy już dziewięćdziesiątkę i zamkna go w domu starców dla stukniętych naukowców. Tego się w każdym razie obawiał.

– Może po prostu powinieneś nad tym trochę popracować – zasugerowała, obrzucając go śmiałym spojrzeniem i rozwiązując czarną, jedwabną szarfę, krępującą ją w talii.

Strząsnęła szlafrok z ramion i podeszła do niego. Pod spodem miała eteryczną, ażurową, czarną koszulę nocną. Głębokie, sięgające bioder wcięcia po bokach, odsłaniały cudowne, kształtne pośladki. Kiedy się zbliżyła, spod unoszącej się ażurowej koszuli doszedł go nęcący zapach kobiecego ciała.

– Powiedz mi jeszcze raz – szepnęła Gillian, oplatając rękami jego szyję.

– Co mam ci powiedzieć? – Ocierała się o niego jak lśniąca, zmysłowa kotka.

– Jak bardzo cię nudzę? – Obsunęła się po jego ciele. Jej dłonie były sprawne, a dotyk stanowczy. – Jak bardzo mnie nie pragniesz? – Hunter wstrzymał oddech, kiedy zręcznie poradziła sobie z pięcioma metalowymi guzikami dzinsów.

– Powiedz, że nie chcesz, abym to zrobiła. – Jej długie, smukłe palce utalentowanej pianistki spoczęły na penisie. Jego ciało wyprężyło się oczekująco. – I, oczywiście, wiem, jak bardzo męczyłeś się, kiedy robiłam to. – Kiedy wzięła go do ust, mocno, głęboko, puściły wszystkie hamulce.

Dużo, dużo później Gillian podniosła głowę i uśmiechnęła się do Huntera. Leżeli na dywaniku, Hunter na plecach, Gillian na nim, nogami obejmując jego biodra. Chyba słyszała, kiedy pękła jej ażurowa koszula, ale była zbyt pochłonięta uwodzeniem, by się tym przejmować.

– I co? – zapytała.

– Jesteś wyjątkowo rozpustna, bez wątpienia – przyznał, przesuwając dłonią po jej stygnących plecach.

– Naprawdę? – Uśmiechnęła się, zadowolona za dwoje.

– Niestety, chyba zapomniałaś o jednej ważnej kwestii.

– Jakiej?

– Jeżeli mnie wykończysz przed upływem trzydziestu dni, będziesz musiała wyjechać wcześniej.

– Nie przejmuj się, Hunter. – Musnęła swymi

wargami jego wargi. – Przyrzekam, że od tej chwili będę dla ciebie delikatna.

Czuła, jak jego usta układają się do uśmiechu.

– Dziękuję, Gillian. Jestem niezmiernie wdzięczny.

– Jak bardzo wdzięczny?

– Trudno to nawet wyrazić. – Przekręcił ich oboje szybkim, miękkim ruchem tak, że teraz on znalazł się na górze. – Może więc powinienem to zademonstrować.

Tym razem kochali się inaczej. Jego pocałunki były subtelne jak płatki śniegu, ciepłe i odurzające jak grzane wino. Jego ręce były powolne i cierpliwe, i potrafiły dotrzeć do miejsc, których dotykanie sprawiało jej największą przyjemność. Delektował się nią, czule, starannie.

Na zewnątrz, zamieć szalała w najlepsze. Wewnątrz, błyszczące klejnotami tęcze wypełniały głowę Gillian, jej żyłami pędziły fale rozkoszy, a wszystko zawirowało jak w kalejdoskopie, kiedy osiągnęła szczyt.

– Płaczesz. – Koniuszkiem palca dotknął łzy, która towarzyszyła jej spełnieniu.

– Tylko dlatego, że było to takie... – Już wcześniej przekonała się, że seks z Hunterem może być porywający, ale nie spodziewała się, że aż tak cudownie piękny. – ...zadziwiający.

Roześmiał się, chrapliwie i nieco rubasznie, jak gdyby nie czynił tego zbyt często.

– To my. – Odgarnął z jej twarzy kilka wilgotnych loków. – To my jesteśmy zadziwiający, Gillian, kiedy jesteśmy razem. Doskonale dopasowani tak, jak się tego spodziewałem.

Chociaż Gillian wiedziała, że Hunter ciągle mówił o seksie, poprzysięgła sobie, że zanim jej pobyt na Castle Mountain dobiegnie końca, ona mu udowodni, że stanowią doskonałą parę pod każdym innym względem.

W ciągu kilku następnych dni, kiedy burza słabła, Gillian ze ściśniętym sercem czekała na kolejną próbę odesłania jej z wyspy. Jednak nic takiego nie nastąpiło.

Nie rozstawali się już na całe dni. Seksualność Gillian kwitła, jak róża, co późnym latem otwiera się na słońce. Ufała Hunterowi bezgranicznie, i zrobiłaby dla niego wszystko, nie odmawiając żadnej propozycji ani prośbie. Hunter natomiast podziwiał jej erotyczną wyobraźnię, nie zdając sobie sprawy, a może nie chcąc tego przyznać – jak czasem sądziła Gillian – że to miłość kierowała wszelkimi jej poczynaniami.

Ponieważ nawet oni nie mogli uprawiać miłości bez przerwy, zaczęli dzielić ze sobą znacznie więcej czynności niż tylko seks. Całe godziny spędzali w bibliotece, Gillian przy pianinie, Hunter rozparty na skórzanej kanapie, z zamkniętymi oczami, chłonący jej muzykę. Dawniej wołała komponować w samotności. Szybko jednak odkryła, że obecność Huntera w pokoju pobudzała jej kreatywność i unosiła twórcze emocje na wyższe poziomy.

Ze względu na fakt, iż praca Huntera była tak ściśle tajna, Gillian nie mogła mu pomóc w badaniach. Ale przeczytała robocze wersje dwóch artykułów, które zgodził się napisać dla pism naukowych, i obydwie uznała za genialne. Zaczęła też spędzać poranki w jego gabinecie, gdzie zwinięta w kłębek czytała książki, podczas gdy Hunter stukał w klawiaturę komputera.

A kiedy lekarz pani Adams, po kolejnym badaniu, stwierdził drobne pęknięcie kostki gospodyni, opóźniając jej powrót do obowiązków, Gillian odkryła w sobie talenty kulinarne, które zaskoczyły ją jeszcze bardziej niż świeżo ujawniona seksualność.

Gotowanie Hunterowi sprawiało jej przyjemność. Przyjemność tym większą, od kiedy Hunter zaczął wieczorami kręcić się koło niej w kuchni. Ponieważ często przeszkadzali sobie w przygotowaniu posiłków, szybko nauczyli się używać tylko jednego zestawu talerzy, które porządnie mogły być umyte później. Kiedy inne apetyty zostaną już zaspokojone.

Zaczęli również omawiać bardziej osobiste aspekty swego życia, i chociaż Hunter był tu bardziej wstrzeźliwy, Gillian nie ustawała w zdobywaniu wiedzy o ukochanym mężczyźnie.

– Opowiedz mi o swoich rodzicach – zapytała pewnej nocy, kiedy jedli w łóżku późną kolację. Ogień z kominka strzelał iskrami. Za szklaną ścianą księżyc w pełni szybował po czystym, zimowym niebie, wysadzonym srebrnymi gwiazdami.

– Oboje byli podobni do twojego ojca. Genialni i niewiarygodnie egoistyczni. – Nabrał pełen widelec pieczonego spaghetti. – Moim ojcem był David St. John.

– Ten brytyjski fizyk? – Człowiek, którego nazwisko było legendą w świecie naukowym.

– Tak. Matka nazywała się Isabel Montgomery. Amerykanka, specjalizowała się w biochemii. Była mniej znana wtedy od ojca, ale nie mniej inteligentna i może nawet bardziej ambitna. Całe jej życie kręciło się wokół pracy.



Nabrał nową porcję ostygłego już spaghetti.

– Rozwiedli się, zanim skończyłem dwa lata. Nie pamiętam ich więc jako pary, ale, z tego, co wzajemnie o sobie opowiadali, wywnioskowałem, że ich małżeństwo było dość przerażające. Przez pewien czas odbijali mnie między sobą jak piłkę, co oznaczało przeważnie, spędzanie całych dni z ich służbą. Kiedy skończyłem pięć lat, matce zaproponowano przeprowadzenie badań w krajach tropikalnych nad możliwościami medycznego wykorzystania tamtejszych roślin. Zostawiła mnie u swojej matki, obiecując, że wróci zanim naprawdę za nią zatęsknię.

Gillian czytała gdzieś o babce Huntera, bardzo rzeczowej nowojorskiej wdowie po zamożnym przemysłowcu, który opanował światowy rynek miedzi.

– Rok zamienił się w dwa lata, potem w pięć. Latem tego roku, kiedy skończyłem piętnaście lat, matka zmarła na jakąś tropikalną chorobę.

Gillian położyła mu rękę na ramieniu, ale Hunter nie wydawał się bardzo przejęty.

– Moja żałoba po niej nie trwała długo. Nie da się opłakiwać utraty czegoś, czy też kogoś, kogo nigdy nie miałaś. Zbieg okoliczności sprawił, że kilka miesięcy później, zimą, mój ojciec zginął w wypadku samochodowym w Monaco. Jego samochód runął w przepaść.

– I zostałeś sierotą.

Jego chrapliwy śmiech nie był ani radosny, ani smutny.

– To nie było tak, jak u Dickensa, nawet jeżeli tak to zabrzmiało. Wątpię czy byłbym w stanie rozpoznać ojca, gdybym zobaczył go wtedy pośród innych osób.

Od lat widywałem go tylko na zdjęciach w gazetach i w telewizyjnych migawkach.

– To jeszcze smutniejsze.

Wzruszył ramionami.

– Zależy od punktu widzenia. Kiedy po raz pierwszy znalazłem się w mieszkaniu mojej babki, przy Park Avenue, spędziłem tam jeden dzień, po czym odesłano mnie do szkoły z internatem. Babka poinformowała mnie, że swoje istnienie zawdzięczam pragnieniu jej córki, aby przekazać swe geny potomności. Podejrzewam, że to samo motywowało ojca. Możesz mi wierzyć, że nie chodziło o zagubioną miłość.

– Rozumiem. Mój ojciec zawsze żałował, że nie ma syna, któremu mógłby przekazać swój zestaw genów.

– Jeszcze jeden dowód na to, że twój ojciec to głupiec. – Spojrzał na nią wymownie.

– Dorastanie bez silnych więzów rodzinnych jest kolejną rzeczą, która nas łączy – powiedziała Gillian ostrożnie po chwili milczenia.

Jego twarz spochmurniała.

– Też tak sędzę.

Obserwowała jak powieki opadają mu na oczy. Do licha! Gillian rozumiała doskonale, dlaczego Hunter nie ufał związkom, ale nadal przygnębiało ją i niepokoiło, kiedy się od niej oddalał.

Widząc przed sobą mur milczenia, postanowiła go nie szturmować. Na razie.

– Jutro sobota.

– No i co?

Nabrała powietrza i ruszyła do natarcia.

– Czy Dylan Prescott nie zapowiadał jakiejś

zimowej zabawy karnawałowej w ten weekend? Pomyślałam sobie, że moglibyśmy pójść.

– Na Winterfest?

Spojrzał tak, jakby zaproponowała lot na Marsa. Właściwie, pomyślała Gillian, była spora szansa, że uzna jej pomysł za godny zastanowienia.

– Nigdy nie byłam na zimowej zabawie karnawałowej – mruknęła.

Były oczywiście zimowe zabawy w Alpach, w Szwajcarii, ale zakonnice, rozumiejąc, że trudno jest bronić cnoty podopiecznych, gdy gra muzyka, ludzie tańczą, a dokoła leje się wino i piwo, nigdy nie pozwoliły dziewczętom wziąć w nich udziału.

– Ani ja.

– Tym bardziej powinniśmy pójść.

Hunter rozważał ten argument kończąc zimne spaghetti.

– Nie mam pojęcia, co się robi na takich imprezach.

– Cóż – wzruszyła ramionami i posłała mu najbardziej czarujący ze swoich uśmiechów. – Najlepszym sposobem, by się tego dowiedzieć, jest wybrać się tam. Na pewno o tym myślałeś.

Zastanawiał się przez moment.

– Nie. – Odstawił pustą glinianą miskę na czarny, lakierowany stół obok łóżka. – Nie myślałem.

Gillian westchnęła z frustracją.

– A już myślałam, że masz w sobie naukową ciekawość. Dlaczego nie potraktujesz tego, jak wmieszanie się w tłum tubylców?

Na jego okaleczonej szczęce zadrgały mięśnie. Przez kolejną długą chwilę zwlekał z odpowiedzią.

– Ale nie zabawimy tam długo.

– Tylko tyle, żeby poczuć atmosferę – zgodziła się. Przytaknął. Powoli. I ciągle z lekką rezerwą.

– W porządku. Pójdziemy.

Gillian zarzuciła mu ręce na szyję uradowana jego niespodziewaną gotowością opuszczenia twierdzy ze szkła i drzewa cedrowego.

– Dziękuję ci, Hunter. Obiecuję, że będziesz się świetnie bawił.

Odepchnął ją na poduszkę.

– Właśnie taki mam zamiar.

Zaraz po przybyciu na Castle Mountain uznałaby jego słowa za groźbę. Teraz jednak, namiętnie i rozkosznie odwzajemniając jego pocałunek, potraktowała je jak obietnicę.

## ***Rozdział trzynasty***

– Och, wygląda jak Szmaragdowy Gród, tylko całe w bieli – cieszyła się Gillian, kiedy dotarli z Hunterem do małego, typowego dla Nowej Anglii miasteczka, które dało nazwę wyspie.

Drzewa wzdłuż brukowanych chodników Main Street skropiono wodą, która zamarzła w kryształowe ozdoby. W ogołconych zimową porą gałęziach migotały lampki choinkowe. Nad rynkiem górował zamek z lodu, błyszcząc w promieniach oświetlających go reflektorów. Węższe, białe smużki światła eksponowały wysokie, smukłe wieże.

– Może zmienimy się w parę nieprzyzwoitych skrzatów – zaproponował z poważną miną Hunter.

– Trochę to zbyt prowokujące – odparła na widok całej grupy lodowych rzeźb, stworzonych przez mieszkańców Castle Mountain.

– Obiecałaś mi wszystko, czego zażądam.

– Skłamałam.

Wpatrywała się w ogromnego lodowego łosia, za-

stanawiając się, czy w rzeczywistości jest równie wielki. – Podaj mnie do sądu.

– Wolę cię pocałować.

I tak zrobił. Była to tylko beztroska, z czułością wyszeptana obietnica pocałunku, ale palce u jej stóp skuliły się w kłębek.

Stukając imponującej wielkości podkowami, przyczłapał do nich masywny koń pociągowy. Jego uprząż rozblęsnęła jeszcze jaśniejszym światłem.

– Mam lepszy pomysł – oświadczył Hunter. Ujął jej odzianą w rękawiczkę dłoń. – Założę się, że nigdy nie kochałaś się w saniach.

– Oczywiście że nie! – Zarumieniła się na samą myśl. – I nie mam zamiaru próbować. Jeżeli nawet nie zamarzlilibyśmy na śmierć, to na pewno by nas aresztowano.

Potrząsnął głową.

– Nie dość, że przyznałaś się do kłamstwa, to nie chcesz robić tego, o co cię proszę – stwierdził z przesadnie głębokim westchnieniem. – A obiecałaś, że będę się wspaniale bawił na Zimowym Festynie.

– Mogłam się trochę zmienić, od kiedy jestem na Castle Mountain.

– Rozkwitłaś.

– Co?

– Tak naprawdę wcale się nie zmieniłaś, Gillian. Kobieta, którą jesteś dzisiaj, to ta sama osoba, którą w głębi duszy byłaś zawsze. Pełna swoboda działania w zgodzie z wewnętrznymi impulsami, co dotąd dopuszczałaś tylko w swojej muzyce, spowodowała, że zakwitłaś, stając się olśniewającą, ekscytującą kobietą, poszukującą seksualnych wrażeń.

Gillian rozejrzała się szybko dokoła, upewniając się, że żaden z bywalców festynu nie usłyszał tego komentarza.

– Może masz rację. Ale póki co, seksualną stronę mojej natury chcę odkrywać w domu. Nie jestem aż tak żądna wrażeń, by kochać się w miejscach publicznych. -

– W takim razie uważam, że impreza była w dechę. Możemy już wyjść?

Roześmiała się. Jedną z rzeczy, które ją w ciągu tych dni spędzonych z Hunterem zaskoczyły, był fakt, że w stosunkach między nimi było sporo humoru, co na początku uznawała za niemożliwe.

– Myślałam, że jako naukowiec potrafisz być cierpliwy.

– A ja myślałem, że od kiedy przyjechałaś na wyspę, jestem wybitnie cierpliwy. Masz pojęcie, ile razy brałem prysznic, by dać ci czas na aklimatyzację?

– Chodziło ci o to, abym spędzała czas na myśleniu o tobie. Chciałaś – powiedziała z lekkim wyrzutem – żebyśmy oszalała z pożądania.

– To też – zgodził się. – I co, poskutkowało?

– Jeżeli potrzebujesz więcej dowodów, Hunter, to moim zdaniem powinieneś popracować trochę nad zmysłem obserwacji.

Tym razem on się roześmiał i zaprowadził ją do sań, które stały nieopodal strzelistej, lodowej budowli, przypominającej Gillian zamek Śpiącej Królowny. Co z kolei skojarzyło jej się z tym jak żyła, zanim Hunter nie rozbudził w niej prawdziwej, zmysłowej kobiety.

– To nie ten film – powiedziała cicho kilka minut później, kiedy siedzieli w tylnej części sań przytuleni,

pod stertą koców. Dzwonki przy uprząży brzęczały świętecznie, metalowe płozy skrzypiały w śniegu, a gwiazdy błyszcząły nad ich głowami.

– Hm? – Kiedy dotknął ustami czubka jej głowy, Gillian poczuła ciepło tego pocałunku poprzez wełnianą, czerwoną czapkę narciarską, co było przecież niemożliwe.

– Main Street przypomina krainę Oz w zimie, ale te sanie, to raczej „Doktor Żywago”,.

Przysunął ją bardziej do siebie, położył okryte rękawiczką palce na jej podbródku i uniósł go do góry, ku swojej twarzy.

– Ale zakończenie będzie bardziej szczęśliwe.

Gillian nie chciała rozmawiać o zakończeniach. Nie, kiedy coraz chudszy księżyc na niebie sygnalizował, że minęła już połowa wyznaczonego czasu. Nie odpowiedziała. Zamiast tego przytuliła się i pocałowała Huntera ze łzami w oczach.

Chociaż wyobrażenie o tym, jak kochają się w saniach, było naprawdę kuszące, Gillian poczuła ulgę widząc zadowolenie Huntera z długiego, powolnego, gorącego pocałunku, dzięki któremu zapomniała, że temperatura spadła poniżej zera.

Wtulona w swego mężczyznę, nawet przez kilka warstw grubej odzieży wyczuwała jego narastający wzwód. Kiedy przycisnęła swą dłoń do wzdórza w jego dżinsach, jęknął.

– Rozpustnica – szepnął jej do ucha tak, aby nie usłyszał go woźnica, który siedział w naciągniętej nisko na uszy wełnianej czapce. – Zdajesz sobie oczywiście sprawę, że nie bawimy się już w dominację kosmicznych przybyszów. Mógłbym cię za to ukarać.



– Niejako na poparcie swej subtelnej groźby, zsunął jej kaptur z głowy i ukąsił w płatek ucha. Delikatnie, ale wystarczająco mocno, by wywołać dreszczyk podniecenia.

– Nie ośmieliłbyś się. – Uniosła podbródek wysoko, a jej oczy skrzyły się od pewności siebie. Może i nie miał ochoty przyznawać, że ją kocha, ale nie poniży jej, ani nie zażenuje. – Nie w miejscu publicznym. Nie na oczach tych wszystkich ludzi, którzy cię znają.

Słowa Gillian były zuchwałe. I oboje o tym wiedzieli. W odpowiedzi uśmiechnął się, bez pośpiechu, czarując i dziwnie szelmowsko.

– Założymy się?

Chwilę później Gillian poczuła między udami intensywne mrowienie.

– Hunter!

– Tak, Gillian? – zapytał, udając niewiniątko. Mimo, iż odsunęła się od niego na tyle, że stracili ze sobą kontakt fizyczny, mrowienie przybrało na sile, pobudzając już wszystkie czułe zakończenia nerwowe.

To te majtki, które dał jej na początku wieczora i poprosił, żeby je dzisiaj założyła. Ale jak to możliwe? Czy nie oglądała ich pod światło? Przecież były tak zwiewne, że przez niemal zupełnie przezroczystą czerń jedwabiu widziała swoją rękę.

– Co... O, Boże – jęczała.

Wiła się pod kocami, doznając znajomej seksualnej ekstazy, wirującej w jej wnętrzu. Jej zmysły lewitowały. Traciła kontrolę nad rozumem. Myślenie zanikało, umożliwiając jej koncentrację na wspaniałych doznaniach, które przez nią płynęły.

Zamknęła mocno oczy, wyobrażając sobie, że ulatu-

je ku rozgwieżdżonemu niebu, wznosząc się i wznosząc, poprzez Drogę Mleczną, obracając się, dotykając mieniących się to na niebiesko, to na biało, krawędzi gwiazd.

Chociaż on się nawet nie zbliżył, porwał ją orgazm wielki jak oceaniczna fala. Przestała wzlatywać, spadła z łoskotem do wody. Przywarła do Huntera, obejmując go mocno za szyję, jak gdyby czepiała się dryfującego kawałka drewna, który mógł ją uratować przez utonięciem. Nie w lodowatym Atlantyku, lecz w niebezpiecznej, wirującej kipieli jej własnych emocji.

– Jak do licha to zrobiłeś?

Jej policzek był wtulony w kurtkę Huntera, która tłumiała głos. Mimo to on ją usłyszał.

– Zdziwiłabyś się, jaką technologią obecnie dysponujemy.

– Mogę to sobie wyobrazić. – Musiał ją zahipnotyzować. A może, pomyślała przewrotnie, tej magicznej nocy, Hunter przemienił się w czarownika i rzucił na nią urok. – Przecież nie ma żadnych drutów łączących majtki z jakimś źródłem zasilania.

– Druty są niepotrzebne. Użyłem fal radiowych i odbiornika, niewiele grubszego od ludzkiego włosa, dzięki czemu go nie wyczułaś. Nie jest wcale takie skomplikowane. Nawet przeciętny komputerowiec potrafiłby pewnie złożyć takie urządzenie z gotowych elementów.

– Wątpię, czy przeciętny komputerowiec wpadłby w ogóle na taki pomysł.

– Może masz rację.

Sięgnął do kieszeni kurtki i wyjął czarny przedmiot wielkości pudełka zapalek, takiego, jakie jej matka

przywoziła kiedyś ze znanych restauracji na całym świecie. Gdy uruchomił palcem przełącznik, ponowne mrowienie w jej ciągle pobudzonym ciele odebrało jej dech w piersiach.

– Hunter! Chcesz powiedzieć, że stworzyłeś zdalnie sterowaną bieliznę?

Cholera! Zamknęła oczy i skuliła się ze wstydu na myśl, że w osłupieniu powiedziała to dostatecznie głośno, by woźnica dosłyszał jej słowa nawet przy akompaniamencie dzwonek u sań. Ale mężczyzna nie odwrócił głowy, ani też nie popędził konia, uchwyciła się więc nadziei, że może jednak nie usłyszał jej zbyt wyraźnie.

– Zastanawiałem się, czy nie zbudować modelu łodzi. Ale o tej porze roku jest za zimno, by spędzać więcej czasu na dworze. I pewnie też rozbiłaby się o skały. A to jest znacznie zabawniejsze. Chcesz się przekonać, co tak naprawdę potrafi?

Przesunął pokrętko zbyt mocno, omal nie doprowadzając jej do natychmiastowego orgazmu.

– Przestań! – syknęła. – Skąd wiesz, że nie porazisz mnie prądem?

– Nie zrobiłbym tego. – Wyłączył urządzenie z powrotem. – Poza tym, jesteś całkowicie bezpieczna. Dopóki nie zacnie padać deszcz.

Gillian przechyliła głowę i spojrzała na niego.

– Jeżeli posucha ma mnie chronić przed porażeniem – powiedziała, myśląc o wilgoci między jej udami – to jestem w takim samym niebezpieczeństwie jak narzeczona Frankensteina.

Zachichotał, rozbawiony do łez.

– Poczekaj, aż zobaczysz obcisły stanik. Jest trochę

bardziej wyrafinowany. Nie zdążyłem go jeszcze zupełnie skończyć przed naszym wyjściem, ale może wypróbujemy go po powrocie do domu.

Fakt, że Hunter był zdolny pobudzać ją w taki sposób, kiedy tylko miał na to ochotę, nawet jej nie dotykając, zdecydowanie przechyliła szalę władzy w tym związku na jego stronę.

– To niewątpliwie najbardziej niestosowny wynalazek, jakiego dokonałeś – mruknęła cierpko.

Ale nadzwyczaj podniecający. Gillian starała się wmówić sobie, że jej sutki stwardniały jak kamień wskutek chłodu. Wiedziała jednak, że to erotyczne myśli o specjalnie zaprojektowanym przez Huntera staniku wibrowały w jej czułych piersiach.

– Pewnie masz rację, ale założę się, że najzabawniejszy.

Nie mogła się nie zgodzić.

– Myślę, że wszystko będzie zależało o tego, czy nie zacznę odbierać sygnałów z automatycznie otwieranych bram garażowych w całym mieście – stwierdziła.

Roześmiał się, najwyraźniej z siebie zadowolony.

– Byłoby jeszcze zabawniej. Jednak wykorzystuję tu fale niskiej częstotliwości. Nie ma się o co martwić.

– No, przynajmniej tyle. A nie wszyłeś któregoś z tych twoich włókien w te czarne slipy, które masz na sobie?

– Jeszcze nie. Jeżeli jednak nalegasz...

– Nalegam.

Z wolna pojawił się jego uwodzicielski uśmiech. Przyszło jej do głowy, że Hunter przewidział taką reakcję.

– Gillian, przechodzisz wszelkie oczekiwania.

– Pochylił głowę i dotknął jej ust, kłując lekko dolną wargę. – Zamierzam cię posiąść.

– Neandertalczyk – szepnęła, zmuszona walczyć z własnym pragnieniem, by jej to zrobić.

Przejażdżka dobiegła końca. I woźnica, i koń wyhamowali. Gillian poczuła zadowolenie i dużą ulgę, kiedy odkryła, że była w stanie stąpać pewniej niż jeszcze kilka minut wcześniej sądziła. Była również zadowolona z faktu, że Hunter trzymał swoją rękę z dala od pilota.

Jednak świadomość istnienia w jego kieszeni urządzenia, które mogło ją pobudzić gdziekolwiek, kiedykolwiek, jak tylko Hunter będzie miał na to ochotę, nawet tutaj, w miejscu publicznym, na oczach, jak się zdaje, całej populacji wyspy, wyostrzyło jej zmysły tak bardzo, że naprawdę poczuła coś na kształt kabela elektrycznego. Dziwne, że nie zaczęła iskrzyć.

Reszta wieczoru upłynęła im w romantycznym nastroju. Obecność Huntera na festynie wzbudzała ciekawość mieszkańców Castle Mountain. Gillian podejrzewała jednak, że było to spowodowane w równym stopniu niespodziewanym pojawieniem się w miejscu publicznym najśłynniejszego miejscowego odludka, co jego zdeformowaną fizjonomią.

Niewielki staw miejski zmieniono w lodowisko oświetlone płonącym obok ogniskiem przy którym mieli szansę ogrzać się co bardziej zmarznięci uczestnicy festynu. Gillian wcisnęła Huntera w parę czarnych łyżew hokejowych z wypożyczalni, i chociaż z pewnością nie zamierzali w najbliższym czasie zdobywać medali w jeździe figurowej, udało im się na ograniczonym śnieżnymi bandami stawie wykonać bez przewrotki kilka piruetów.

Nagle usłyszeli, że ktoś woła Huntera. Kiedy się obrócili w kierunku wybrzeża, ucieszyła się na widok jadącego ku nim Dylana, w towarzystwie jeszcze jednego mężczyzny i dwóch kobiet.

– To naprawdę wspaniale, że udało ci się zostać na naszą małą imprezę – powiedział, podjeżdżając na łyżwach i obsypując ich ścietą przy hamowaniu warstwą lodu. Jego uśmiech był ciepły jak pieczone kasztany, których Gillian wcześniej skosztowała.

– Świetnie się bawię – powiedziała.

Przeszedł do przedstawiania jej swoich towarzyszy: żony, Julianny, autorki powieści science fiction, szwagra, Brama Starbucka, astrofizyka, także pracującego w „fabryce mózgow”, i siostry, Charity, która służyła kiedyś w policji w Los Angeles, by wrócić na Castle Mountain i przejąć stanowisko szefa miejscowej policji po zmarłym ojcu.

Charity przywitała się z Gillian równie ciepło jak jej brat, podczas gdy Julianna, przypominająca młodą Jacklyn Kennedy, była mniej wylewna, choć uprzejma, podobnie jak Bram Starbuck. Wszyscy z miejsca zadeklarowali, że są jej fanami.

– To cudownie widzieć cię znowu wśród nas, Hunter. – Charity podjechała nieco do przodu. – Stanowczo za długo cię nie było.

– Byłem pochłonięty pracą.

– Tyle słyszałam od Dylana. Ale wiesz, jak ludzie mówią o tych, co to tylko pracują, a nie używają życia. Poza tym twoi przyjaciele są stęsknieni. – Objęła go, naprawdę wzruszona.

Patrząc, jak Hunter trzyma w ramionach inną kobietę, Gillian poczuła lekkie ukłucie zazdrości

o mężczyznę. Kiedy po chwili zauważyła, że Charity jest w ciąży, zazdrość ustąpiła miejsca ostremu, przemożnemu, mało przyjemnemu uczuciu zazdrości o dziecko.

– Co u ciebie? – spytała Charity, kiedy skończyli się już witać. Gillian obserwowała, jak mąż Charity profilaktycznie służy ramieniem, by łatwiej było jej utrzymać równowagę na szklanej nawierzchni.

– W porządku – odparł łagodnie. A jak się miewają siły porządkowe?

– No, wiesz, tak jak zwykle. – Wzruszyła ramionami i zerknęła na Gillian. – Castle Mountain nie jest jednak światową stolicą przestępczości. Zgłoszenia, które dostajemy, dotyczą głównie ujadających psów, pługów śnieżnych tarasujących podjazdy, i innych tego typu spraw. Chociaż, wczoraj mieliśmy małe poruszenie. – Wróciła spojrzeniem do Huntera. – Na skały u podnóża latarni morskiej ocean wyrzucił jakieś zwłoki.

– Naprawdę? – zdziwił się Hunter z pozorną obojętnością. – Pewnie to jakiś rybak, którego szkwał zmył z pokładu łodzi.

– Pewnie masz rację – zgodziła się, równie łagodnie. – Dziwne tylko, że to nikt miejscowy.

Hunter wzruszył ramionami.

– To wielki ocean. Może przyniosło go tu ze stałego lądu.

– Tak. – Gillian obserwowała, jak czujny wzrok kobiety bada niewzruszone oblicze Huntera. – Chyba tak właśnie było. Niestety, latarnia jest własnością rządu, a on nie miał przy sobie żadnego dokumentu tożsamości, co oznacza, że znowu wmieszają się w to federalni.

Jej ostatnia, niepokojąca uwaga dźwięczała przez chwilę w mroźnym, nocnym powietrzu. Jeżeli szefowa policji na Castle Mountain wiedziała o spotkaniu Huntera z tajemniczym topielcem, to nie chciała wdawać się w publiczną dyskusję, bo odwróciła do Gillian i zapytała:

– Jak słyszałam, niedawno skończyłaś światowe tournée?

Wdzięczna za zmianę tematu, Gillian zaczęła dzielić się wrażeniami z co barwniejszych momentów swojej trasy koncertowej, bawiąc całe towarzystwo. Oni Huntera naprawdę lubili. Była świadoma jego niemej obecności przy niej, zagłębianego w myślach, i czuła znacznie większe napięcie niż na początku tej ślizgawki.

– Dziękuję ci – szepnęła Gillian, kiedy przez ciemny las wracali samochodem do domu.

Hunter spojrzał na nią.

– Za co?

– Za najwspanialszy wieczór w moim życiu. Nie pamiętam, kiedy lepiej się bawiłam.

Jego jasny uśmiech rozświetlił na moment otaczający ich mrok.

– A pomyśl tylko, jak wiele godzin zostało nam jeszcze do świtu.

Odwzajemniła jego uśmiech, czując podniecenie pulsujące w żyłach. Potem jednak powróciły obawy wywołane rozmową o topielcu.

– Charity wiedziała, prawda? Że cię zaatakowano?

– Tak. Ponieważ zmuszona jest wszystko opisywać w raporcie, początkowo nie chciałem jej informować,



dopóki nie będzie takiej konieczności. Ale Castle Mountain to dla niej nie tylko obszar jurysdykcji, ale również teren, na którym dorastała. Uznałem więc, że należy ją ostrzec. Przypuszczam, że Dylan powiedział jej wystarczająco dużo, by się zorientowała, że ma do czynienia z czymś bardziej skomplikowanym niż pijacka burda w barze „Pod Duszonym Małżem,,.

– Możesz mieć kłopot kiedy agenci federalni wezmą cię na celownik.

– Nie sądzę. Jak tylko telefony zaczną działać, zadzwonię do paru osób w Waszyngtonie, żeby zdjęli nam ich z karku. Naprawdę nie mam żadnych cennych dla nich informacji.

– Jak myślisz, kiedy znowu włączą telefony? – Cieszyła się, że byli odcięci od świata, i że mogła spędzać ten kradziony, magiczny czas z Hunterem, więc nie zależało jej specjalnie na przywróceniu łączności.

– Trudno powiedzieć. Zwykle wioskę obsługuje się w pierwszej kolejności, a dopiero potem wykonuje naprawy dla bardziej oddalonych punktów wyspy, jak laboratorium.

– I twój dom.

– Mhm.

– Pani Adams powiedziała, że morze jest wystarczająco spokojne, aby Ben wznowił przewozy swoją łodzią pocztową. To chyba znaczy, że agenci śledczy mogą się pojawić w domu, zanim załatwisz ich odwołanie?

Po raz pierwszy, odkąd sięgał pamięcią, Hunter nie miał ochoty wybiegać w przeszłość.

– Będziemy się tym martwić jutro, zgoda?

– Zgoda. – Uśmiechnęła się czarująco i podniecająco, zwalając go niemal z nóg, jak to się działo za

każdym razem, gdy oglądał tamtą kasetę video. – Czy można bezpiecznie zjechać na bok?

Jej niespodziewane pytanie zdumiało go. Po chwili jednak przypomniał sobie, że wypija sporo wina. W dodatku zimnego...

– Jasne. Znajdę jakieś miejsce. Jeżeli naprawdę musisz.

– Och, muszę, muszę, naprawdę.

– Nie ma problemu. – Ale te wszystkie warstwy ciepłej odzieży mogą stanowić być jednak pewien problem, pomyślał.

Udało mu się znaleźć wysypaną żwirem zatoczkę, która musiała być niedawno odśnieżana, zjechał z drogi i wyłączył silnik.

– Śnieg jest dość głęboki – ostrzegł. – Lepiej wysiądę i otworzę ci drzwi, żebyś mogła...

– To zbyteczne. – Chwyciła go za ramię. Kiedy otworzył drzwi od swojej strony, zapaliło się światło, ukazując uwodzicielski błysk w jej oczach. – Seks na tylnym siedzeniu samochodu to jedna z moich ulubionych fantazji.

Uśmiechając się, rozpięła pas bezpieczeństwa. Zsunęła kurtkę z ramion, odrzuciła ją na tylne siedzenie, po czym ściągnęła przez głowę purpurowy kaszmirowy sweter, pod którym nie miała zupełnie nic.

Hunter przełknął ślinę jakby patrzył na nią po raz pierwszy. Jej piersi połyskiwały jak marmur w białym świetle księżyca, ale wiedział, że były znacznie delikatniejsze. I dużo cieplejsze.

– A tak się martwiłaś, że zamarzniesz.

– Tak było przedtem. – Zaczęła kręcić biodrami, by wydobyć się z dżinsów. – A tak jest teraz.

Hunter pomógł jej ze spodniami, zastanawiając się, które z nich było bardziej szalone. Ściągnął je Gillian poniżej kolan, aż zatrzymały się na butach. W tym samym czasie jej ręce zajęły się jego kurtką. Guziki odskakiwały od jego grubej flanelowej koszuli, brzęcząc przy zetknięciu z deską rozdzielczą, zanim spadły na gumowe dywaniki.

– Dzięki Bogu, nie nosisz tych przeklętych džinsów na guziki – oświadczyła, rozsuwając zamek błyskawiczny i biorąc penisa w swe smukłe, niebezpieczne dłonie.

– Jutro wszystkie spalę – obiecał, zrywając z jej ud skąpy jedwabny fatałaszek i niszcząc w ten sposób swój najnowszy wynalazek.

Nie dotarli na tylne siedzenie. Wziął ją mocno i szybko na rozłożonym przednim siedzeniu dla pasażera, wdzierając się jak dzikus, podczas gdy jej palce wpiły się w jego nagie pośladki i rozpędzone biodra.

Przeszył ich wspólny organizm, najsilniejszy i najdłuższy jakie Hunter kiedykolwiek przeżył. Z lubością słuchał jej gardłowych krzyków spełnienia i z trudem opierał się pokusie, by nie zawyć triumfalnie jak wilk nad upolowaną zdobyczą.

Ich stygnące ciała były wilgotne i śliskie. Ciągłe wsparty na ramionach, Hunter ukrył twarz w jej karku, zastanawiając się, co by się stało, gdyby dostał teraz ataku serca i Charity znalazła go ze spodniami opuszczonymi do kostek – jak nastolatka, przyłapanego w alejce miłości przez policyjny patrol.

Miał wrażenie, że szczytowanie wypompowało całe powietrze z jego płuc. Najwyraźniej jednak nie był w tym osamotniony, bo Gillian, pod nim, dyszała równie ciężko. Przez zaparowane szyby widział sowę

śnieżną, pohukującą w rozświetlonej błyszczącym księżycem ciemności.

– To było lepsze niż moje fantazje – stwierdziła w końcu.

– Nie dotarliśmy do tylnego siedzenia – zauważył, przeczołgując się na swoje miejsce i próbując zebrać siły, by naciągnąć slipy i dzinsy.

Gillian zlokalizowała swoje spodnie – były w okropnym stanie, ale zignorowała to – i zaczęła wciskać się w nie, poruszając biodrami w taki sposób, że Hunter chętnie przystąpiłby znów do dzieła, gdyby nie był bliski zawału.

– Następnym razem – zaproponowała, posyłając mu promienny uśmiech, i uklękła na siedzeniu, by sięgnąć kurtkę z tyłu.

– Następnym razem – Zastanawiał się przez chwilę, co powiedziałałoby ci polisa ubezpieczeniowa by to pokryła. Kiedy doszedł do wniosku, że nie ma to znaczenia, bo i tak nie miał spadkobierców, i że nie mógłby sobie wyobrazić przyjemniejszej śmierci, zabrał się za ubieranie.

Chociaż zdawać się mogło, że czas stanął w miejscu, zegar na desce rozdzielczej pokazywał, że minęło niecałe dziesięć minut od chwili, kiedy zapytała go, czy mógłby zjechać na pobocze. I pewnie połowę z tego czasu spędzili na zmaganiach z ciężką, zimową odzieżą, pomyślał Hunter. Jednak intensywność, z jaką spożytkowali resztę, wynagradzała pośpiech.

– Hunter?

– Hm?

Niebo nad ich głowami było przejrzyste i przypominało kopułę planetarium. Nigdzie na horyzoncie nie

widać było nowej nawałnicy. Myśli Huntera powędrowały do agentów federalnych, którzy jutro z pewnością przyłyną na wyspę. Potrafił się z nimi obchodzić. Była to jednak kolejna rzecz, którą się martwił. Nie ze względu na siebie. Ze względu na Gillian.

– Kocham cię.

Było to tak niespodziewane, że aż zeszytniał.

– Nie.

Skrzyżowała ręce na piersi.

– Za późno.

Czuł na sobie jej spojrzenie, lecz nadal patrzył przez przednią szybę przed siebie. Noc była późna, a wąska, kręta droga oblodzona, i tylko głupiec nie koncentrowałby się na jeździe.

I tylko tchórz nie odpowiedziałby na czułe, błagalne spojrzenie ukochanej.

W jego głowie kłębił się milion myśli, a większość z nich ogniskowała się na tym, jak to możliwe, aby Gillian go kochała.

Hunter wiedział, że to strach. Ten widoczny i ten ukryty. Wiedział również, że chociaż potrafiłby wyjaśnić jej lepiej niż większość ludzi, dlaczego grupa tubylców może zachowywać się w określony sposób, nie miał pojęcia, jak postępować będąc mężem. Albo ojcem.

Ta myśl przejęła go strachem od stóp do głów. Przypomniał sobie, że zawsze był zapobiegliwy i nigdy nie pozwoliłby sobie na tak wielkie podniecenie, by zapomnieć o środkach bezpieczeństwa.

Aż do dzisiaj.

– Gdyby cokolwiek się zdarzyło... – Potrafił zaprezentować profile genetyczne przed międzynarodowym audytorium największych umysłów świata, lecz

nie umiał znaleźć słów, by wyrazić to, co chciał powiedzieć tej kobiecie. – Po tym, co dzisiejszej nocy...

– ...zaszło. Powiedziałam tylko, że cię kocham.

– Mylisz seks z miłością. Co mnie specjalnie nie dziwi. W końcu, zanim zmusiłem cię do przyjazdu tutaj, byłaś dziewicą...

– Byłam dziewicą z wyboru. Jestem też dorosła, Hunter. Do niczego mnie nie zmuszałeś. Być może twój mały plan z szantażem stanowił dla mnie główny bodziec do przyjazdu na tę wyspę, ale kiedy znalazłam się w twoim domu, chciałam uczestniczyć we wszystkim. Nie wyłączając nocy.

– Jeżeli zajdziesz w ciążę, chcę o tym wiedzieć.

– Nadal unikał jej wzroku.

– I co byś zrobił, Hunter? – Słyszał, jak podniosła się na siedzeniu, i wiedział, że zwróciła się w jego kierunku. – Gdybym stwierdziła, że noszę twoje dziecko?

– Chciałbym być pomocny.

– Pomocny. Ciekawy, choć bardzo pokrętny sposób wyrażania się. Masz na myśli to, że zmieniałbyś naszemu synkowi pieluszki, prowadzał po podłodze, woził na zawody Dziecięcej Ligi?

– Nie wiem, do cholery! – Rzucił jej szybkie, gniewne spojrzenie. – Nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałem.

– Naprawdę? – Jej głos przestał zdradzać irytację, za to nabrał cech autentycznej ciekawości. – Nigdy nie marzyłeś o dzieciach? Dlaczego?

– A skąd u licha mam wiedzieć? – Przeczesał włosy zniecierpliwionym ruchem ręki, zastanawiając się, czy znowu nie zjechać na pobocze i nie zacząć się z nią kochać, byleby tylko zmieniła temat.

Czuł jej długie, uparte spojrzenie.

– Myślę, że to najsmutniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam.

– No to niewiele w życiu słyszałaś. Wierz mi, dziecinko, na tym świecie jest mnóstwo dużo smutniejszych rzeczy.

Kiedy wygłosił to oświadczenie, w ciemnym wnętrzu samochodu zaległa cisza.

– Wiesz – powiedziała wreszcie – jak na kogoś podobno genialnego, potrafisz się zachować idiotycznie.

Nie mógł się z tym nie zgodzić.

– Powiesz mi? – nalegał. – Jeśli będziesz w ciąży?

Usłyszał jej słabiutkie westchnienie i zastanawiał się, jak wiele niepożądanых emocji mógł wywołać w nim ów zwiewny, pełen rezygnacji dźwięk.

– Powiem ci.

Hunter zastanawiał się, dlaczego odpowiedź, którą na niej wymógł, nie sprawiła mu satysfakcji. Myślał nad tym, co powiedzieć, by naprawić swój błąd, by przywrócić ich stosunki do stanu takiego, jak podczas przejażdżki saniami. Kiedy pocałował ją pod rozgwieżdżonym nieboskłonem, i kiedy zdawało mu się, że posiada moc zdolną zatrzymać wirujący świat.

Musiał być idiotą, że do tego doprowadził, ale nawet on wiedział, że żadne ze słów, które przychodziły mu do głowy – wypowiedzianych automatycznie, ładnie brzmiących, bezpiecznych sloganów, jakimi karmił inne kobiety – nie było godne tej chwili.

Czuł się jak nędzny tchórz, ale wybrał najprostsze rozwiązanie i nie powiedział nic.

## ***Rozdział czternasty***

Gillian nie była specjalnie zdziwiona tym, że Hunter nie odezwał się już do niej do końca drogi powrotnej do domu. Rozumiała nawet, dlaczego wolał spędzić tę noc zamknięty w swym gabinecie, niż z nią, w ogromnym, zbyt zimnym łożu. Było dla niej niemal oczywiste, że dotychczas nikt nigdy go nie kochał. Potrzebował trochę czasu, by przyzwyczać się do tej myśli. Gillian była kobietą cierpliwą. W głębi duszy wiedziała, że nie jest osamotniona w swych uczuciach i była gotowa czekać.

Po męczącej i w większości nieprzespanej nocy, nadal przemawiała do siebie tymi słowami, kiedy wchodząc rano do kuchni, zobaczyła uderzająco zmysłową kobietę, siedzącą przy stole naprzeciw Huntera, popijającą kawę z filiżanki i wyglądającą tak, jakby była tu od zawsze.

Jej zmierzwione włosy i fakt, że jedyną rzeczą, jaką na sobie miała, była flanelowa, sięgająca po kolana jej bardzo zgrabnych nóg koszula Huntera sugerowały, że nie przyjechała przed chwilą.



Ból pojawił się nagle, był dojmujący i zmierzał prosto do serca Gillian.

– Dzień dobry – powiedziała tonem tak chłodnym, na jaki tylko było ją stać.

– Witaj. – Kobieta uśmiechnęła się do niej. Miała oczy czarne jak jelonek Bambi, ale daleko bardziej seksowne. Gillian dostrzegła w nich tę samą sympatię, co w spojrzeniu Dylana. – Ty musisz być Gillian. Ja jestem Toni Maggione. Jestem... – zawahała się tylko ułamek sekundy, ale wystarczająco długo, by Gillian zorientowała się, jak ostrożnie dobiera słowa – ...koleżanką Huntera z fabryki mózgow.

– Jakie to miłe.

Wiedząc, że Hunter tę scenę zaaranżował, i rozumiejąc nawet powody, Gillian uznała, że sytuacja nie wymaga od niej dobrych manier. Odwróciła się do niego.

– Naprawdę jesteś idiotą.

Przybrał nieprzeniknioną maskę, której nie cierpiała. Kiedy jego brwi wygięły się w łuk, w sposób wymowny i przewrotny, który zdążyła już poznać, Gillian z trudem powstrzymała się przed wylaniem mu na głowę kawy z karafki.

– Nie musisz organizować od razu całej farsy, jeśli chcesz, żebym wyjechała. Wystarczyło poprosić. W końcu – przypomniawszy mu – zgodnie z umową, mam robić, co mi polecisz.

Inaczej niż ubiegłej nocy, kiedy Hunter czuł się zbyt nieswojo by spojrzeć na Gillian, teraz z kamiennym spokojem patrzył prosto w jej zranione, pełne złości oczy.

– Zatem mam nadzieję, że spełnisz swoją obietnicę. Poproś Bena, żeby jeszcze tego ranka odwiózł cię na stały ląd.

Gillian wyrzała przez okno i zauważyła samochód Bena, zaparkowany przy drzwiach do kuchni. Siedział na miejscu dla kierowcy. Silnik pracował, a z rury wydechowej wydobywały się niebieskie obłoki.

Zdecydowała dać Hunterowi ostatnią szansę, licząc, że pójdzie wreszcie po rozum do głowy.

– Naprawdę tego właśnie chcesz?

Jego granitowa szczęka nie zdradzała żadnych emocji.

– Tak.

– Idiota – powtórzyła i wyszła z kuchni.

– Nie da się zaprzeczyć – odezwała się Toni, unosząc filiżankę. – Zawsze chętnie pomagam przyjaciołom nawet, jeżeli oznacza to wywleczenie mojego umęczonego lotem ciała o świcie z ciepłego łóżka i przywiezienie mnie tutaj. Ale ta inscenizacja rodem z opery mydlanej, ani przez chwilę nie miała szans zwiedzenia jakiegokolwiek inteligentnej kobiety. To najgłupszy pomysł, na jaki wpadłeś, kochanie.

– Wiem. – Hunter przesunął sprawną dłońią po twarzy. Ale nie wyszedł za Gillian, nie mógł.

Powoli zaczynał odchodzić od zmysłów. Mimo zapewnienia Toni, że Gillian nie uwierzyła w ich wspólnie spędzoną noc, intryga zadziałała tak, jak się spodziewał.

Gillian odeszła. Tak, jak tego chciał.

Była bezpieczna. Tak, jak zaplanował.

W dwa tygodnie od chwili, kiedy pozwolił Gillian wyjść ze swego domu, Hunter dostał telefon od generała. Informowano go, że FBI, we współpracy z CIA, zidentyfikowało napastnika jako członka

radykalnej grupy separatystycznej z powiązaniem na Bałkanach, działającej w Nowym Jorku,.

Schwymano pozostałych jej członków i umieszczono w areszcie federalnym tak, że Hunter mógł w spokoju kontynuować swoje prace, nie obawiając się następnych ataków. Nie obyło się bez pytania o termin zakończenia prac.

– Zawiadomię, kiedy nadejdzie czas – odpowiedział Hunter. Odłożył słuchawkę, wcisnął przycisk automatycznego wybierania numeru i zadzwonił do Bena Adamsa.

Nie był zdziwiony, gdy dowiedział się, że Gillian od razu zaczęła się rozglądać za pracą. Małe dochodzenie wykazało, że zgodziła się zastąpić pewnego artystę, który rozchorował się w trakcie świątecznej trasy koncertowej po Nowej Anglii.

Przez wiele lat używał podobnego antidotum na trudne sytuacje życiowe. Gdy jest się pochłoniętym pracą, to mimo wszystko, trudno myśleć o osobistych problemach, pragnieniach, czy nawet sekretnych życzeniach serca i marzeniach, do których nie możesz lub chcesz się przyznać.

Jego problem polegał na tym, że tym razem antidotum nie zadziało. Nie był w stanie pracować, ponieważ myślał jedynie o kobiecie, której tak głupio się pozbył. Ciągłe nie mogąc oswoić się z myślą o miłości – o tym, że ktoś go pokochał – próbował wmówić sobie, że wszystko, czego mu brakowało, to seks.

– Jesteś nie tylko idiotą – warknął i poddając się wreszcie, wrzucił do płóciennego, marynarskiego worka ubranie na zmianę. – Jesteś cholernym kłamcą. Po prostu jej potrzebujesz.

Nadal uważał, że gdyby powiedział Gillian prawdę, jak stara się ją chronić, opierałaby się przed wyjazdem z wyspy. Jednak wiedział też, że nie załatwił tej sprawy, jak należy.

Tym razem będzie inaczej, obiecał sobie. Nie miał konkretnego planu. Ale był człowiekiem inteligentnym. Coś wymyśli.

– Trochę późno rusza pan za tą dziewczyną – stwierdził Ben Adams, pilotując swoją łódź przez lekko wzburzone fale cieśniny, łączącej wyspę ze stałym lądem. – Przywiezie ją pan z powrotem?

– Nie wiem.

Hunter nie był pewien, co zrobi, jeżeli Gillian odmówi spotkania, rozmowy. Chociaż przez wiele lat mieszkał z dala od cywilizacji, podejrzewał, że prawo nie pozwalało bezkarnie porywać, wiązać i siłą ciągnąć kobiety na Castle Mountain.

– Nie, żebym miał mówić panu, co robić – zaciągał po swojemu Ben. – Ale jeżeli uda się panu odnaleźć tę pannę do jutra, będę wdzięczny.

Hunter przeniósł na niego spojrzenie z szarych fal.

– A co takiego ma być jutro?

– Boże Narodzenie – przypomniał mu Ben. – Poza tym obstawiłem ten dzień.

– Obstawiłeś? – Hunter wpatrywał się w niego przez chwilę. – Poważnie? To tu się robi zakłady, co do mojego życia prywatnego?

– Mhm – przyznał starszy mężczyzna. – Moja chciała obstawić na dzisiaj, ale doktor Prescott już obstawił ten dzień, więc skończyło się na dwudziestym szóstym grudnia. – Zmarszczył czoła. – Nie była za bardzo zadowolona.

Hunter próbował sobie przypomnieć, kiedy widział Mildred Adams zadowoloną z czegokolwiek – ale mu się nie udało.

– Dylan też się w to bawi?

– Prawie wszyscy na wyspie. Żeby w to wejść wystarczy pięć dorców. Mam na oku nowy silnik do mojej łódki – wyznał.

– Będę o tym pamiętał – odparł Hunter ironicznie.

– Wiesz – odezwał się Deke, wygodnie rozpierając swe kościste ciało na krześle w garderobie Gillian, nie większej od znaczka pocztowego. Przyglądał się, jak specjalistka od makijażu przekształca ją w prawdziwą gwiazdę, taką, jaką chce ją widzieć publiczność. – Znosi się na doskonały sezon.

– Tak mówią.

Konturówka, której działanie w blasku jupiterów na scenie nie było tak widoczne, sprawiała, że jej oczy robiły wrażenie jeszcze większych niż w rzeczywistości i jeszcze bardziej udręczonych. Zmarszczyła brwi. Wygląda jak te wszystkie sieroty z obrazów, z szeroko otwartymi oczami, które były kiedyś tak pełne życia.

– Więc może się trochę rozchmurzysz, zanim tam wyjdiesz. Wyglądasz, jakbyś miała tam grać marsza pogrzebowego.

Słyszając słowa Deke'a, wizażystka zwróciła baczniejszą uwagę na podkrążone oczy dziewczyny i sumiennie przypudrowała zaczerwienienia.

– Wszystko będzie dobrze – skłamała Gillian. Prawdę mówiąc, od wyjazdu z Castle Mountain jej samopoczucie było dalekie od dobrego. Nie chciała tęsknić za Hunterem. Ale tęskniła. Strasznie. Nieustannie.

– Jestem pewien, że występ będzie efektowny. Ale martwię się o twój publiczny wizerunek. Jesteśmy przyjaciółmi, Gilly. Jeżeli masz problem, a ewidentnie masz, to chcę ci pomóc.

– Na pewno chodzi o jakiegoś mężczyznę – wtrąciła wizażystka, która pracowała z Gillian niemal tak długo jak Deke. Podawała jej właśnie bibułkę do odciskania ust, które zamiast niewinnego pastelowego różu były dziś pokryte błyszczącą purpurą.

– Skąd ta pewność? – zapytał ją Deke.

Sześćdziesięciokilkuletnia kobieta wzruszyła ramionami, pudrując różem stanowczo zbyt blade policzki Gillian.

– A o co innego może chodzić?

Nie chcąc nawet najlepszemu przyjacielowi wyjaśniać swego skomplikowanego związku z Hunterem, Gillian poczuła ulgę, kiedy zapukano do jej drzwi, co oznaczało, że do wyjścia na scenę pozostało już tylko pięć minut. Wszyscy musieli zatem opuścić garderobę tak, aby mogła zdjąć szlafrok i włożyć suknię na dzisiejszy koncert.

Po dopłynięciu do brzegu Hunter wypożyczył samochód i pojechał do Bostonu, gdzie Gillian miała tego dnia występować. W kolejce przed wejściem do teatru, udało mu się namówić jakiegoś mężczyznę we fraku, aby za horrendalną sumę odsprzedał mu jeden z od dawna nieosiągalnych biletów.

Miał miejsce na balkonie w łoży, obitej w tym sezonie tkaniną w jodełkę. Nie był tak blisko sceny, jakby tego chciał, ale w odległości wystarczającej, by czuć emocje wydobywające się przez palce Gillian,

prosto z jej serca. Grała muzykę, którą napisała, gdy byli razem. Muzykę, która wyrażała namiętność wspólnie spędzonego czasu. Szczyty przyjemności i czeluście rozpacz. Wsłuchując się w melancholię, za którą był odpowiedzialny, po raz pierwszy musiał zadać sobie pytanie, czy Gillian, mimo całej swej wyrozumiałości, będzie w stanie mu wybaczyć.

Dziwne, kiedy zmienił się nastrój utworu i z tłumioną złością Gillian zaczęła uderzać w klawisze basowe, wprowadzając Huntera w wibracje, poczuł się trochę pewniej. Bo przecież, próbował sobie wmawiać, kobieta rozgniewana nie jest przynajmniej obojętna.

Wyglądała niesamowicie, jak zawsze – czy ubrana wyjściowo, czy w uwodzicielskiej bieliźnie, którą uwielbiał dla niej kupować. Miała na sobie suknię z aksamitu, zakrywającą stopy. Przypuszczał, że na kolor ciemnozielony, ze złotymi lampasami na rękawach, zdecydowała się ze względu na Boże Narodzenie; zwykle zakładała coś czarnego. Zmieniła też uczesanie. Zamiast włosów opadających swobodnie na ramiona, jak lubił i jak wystąpiła w Stonehenge, zrobiono jej coś w rodzaju skomplikowanego koka, dzięki któremu jej spojrzenie stało się bardziej wyrafinowane i zdystansowane. Nie była już tą gorącą, nieujarzmioną kobietą, która ujeżdżała go jak dzika Amazonka. Albo śmiała się i kochała z nim podczas zimowego festynu.

Naprawdę, gdyby nie zmiany w jej muzyce, ku jeszcze głębszej emocjonalnej jakości i zmysłowości, gotów był pomyśleć, że cały ten wspólnie spędzony czas istniał tylko w jego wyobraźni.

Publiczność zgotowała jej owację na stojąco. Wymogła trzykrotny bis. Oni naprawdę ją kochają. Tak jak Hunter.



## ***Rozdział piętnasty***

Kiedy stało się jasne, że Gillian nie zamierza już więcej wychodzić na scenę, Hunter poszedł do westybuli i odszukał portierkę.

– Zastanawiam się, czy mogłaby mi pani pomóc – zapytał.

Kobieta uśmiechnęła się. Jej wzrok momentalnie ześlizgnął się na jego policzek, ale nie dała po sobie nic poznać, w przeciwieństwie do biletera. Pomyślał, że ma szansę.

– O co chodzi, proszę pana?

– Chciałbym się dostać za kulisy.

– Przykro mi, ale to niemożliwe.

Gdyby była mężczyzną, Hunter próbowałby przekupstwa. Ponieważ jednak była młodą i zgrabną, mniej więcej dwudziestopięcioletnią blondynką, wybrał inną taktykę.

– Rozumiem. Myślę, że na to zasłużyłem. Po tym, co zrobiłem. – Westchnął i prawie odwrócił się, by odejść.

Połknęła przynętę tak, jak zaplanował.

– Co pan zrobił?

– Pani Cassidy i ja byliśmy... – Przerwał, jakby szukał odpowiedniego słowa. – Cóż... blisko. – Przechesał włosy sprawną ręką. – Właściwie, prawda jest taka, że się w sobie kochaliśmy.

– Rozumiem. – Jej oczy zwężyły się.

– Ale zbyt długo zwlekałem, by jej o tym powiedzieć. Więc w końcu zmęczyło ją czekanie i opuściła mnie.

Uznał, że szczegóły na temat wyjazdu Gillian i żalostnej intrygi, w którą wmieszał Toni, tylko zmąciłyby przejrzystość tego dyskursu.

– To było dwa tygodnie temu. Cały ten czas odchodzę od zmysłów.

Hunter obserwował, jak portierka deliberuje nad jego oględnymi zwierzeniami. Obserwował jej spojrzenie, wędrujące w kierunku drzwi po drugiej stronie foyer. Ledwie dostrzegalne, zdradzające współczucie skinienie głowy, dawało do zrozumienia, że przekonać ją będzie trudniej niż przypuszczał. Jednak mała gałązka ostrokrzewu przy spince w jej długich włosach podsunęła Hunterowi pomysł.

– To trudne, żyć w ciągłym osamotnieniu. Ale myślę, że nie jestem jedyną osobą na świecie, która odczuwa to szczególnie mocno w Boże Narodzenie.

– Tak. – Odległe wspomnienie zdawało się przez moment przysłaniać jej promienne, niebieskie oczy. – Samotność może być trudna. – Dumiała dłuższą chwilę, ogryzając końcówkę paznokcia kciuka, poddanego wcześniej francuskiemu manicure.

Hunter zebrał się na swój najlepszy uśmiech. Taki sam, do jakiego się zwykle zmuszał, kiedy brał udział

w tych wszystkich cocktailach i dusznych, nudnych herbatkach, by w możliwie najbardziej czarujący sposób wyciągać czeki na badania naukowe. Zawsze kojarzyło mu się to nieprzyjemnie z potrząsaniem drzewem, na którym zamiast liści rosną pieniądze.

– Naprawdę nie jestem żadnym zwariowanym natrętem, jeżeli o to pani chodzi.

Jej policzki pokryły się delikatnym rumieńcem, ale nie zapewniła go, że taki pomysł w ogóle nie przyszedł jej do głowy.

– Może będę mogła coś dla pana zrobić – odpowiedziała z namysłem.

Uśmiechnął się tak szeroko, że aż zaboląła go szczęka.

– Będę dozwonnie wdzięczny za jakąkolwiek pomoc.

– Wyślę z panem Bernarda.

– Dziękuję.

Hunter nie miał pojęcia, kim jest Bernard, ale był gotów zrobić wszystko, byle tylko dostać się do Gillian.

Okazał się chłopakiem portierki, który wpadł do teatru, żeby zabrać ją po pracy na przekąskę. Był bostońskim policjantem.

– Jeżeli panna Cassidy nie zechce pana widzieć, to radzę się stąd szybko zabierać – oświadczył Hunterowi, kiedy szli za kulisy krętymi korytarzami, wyłożonymi afiszami z przedstawień.

– Jasne – zgodził się Hunter. Może i jest idiotą, ale nawet on nie stawiałby się facetowi, który mógłby być dublerem Arnolda Schwarzeneggera.

Garderoba była otwarta. W małym pomieszczeniu, nie większym od głównej łazienki w jego domu, tłoczyli się ludzie.

Ekskluzywne perfumy mieszały się z orzeźwiają-

cym zapachem choinki, ustawionej na stoliku w rogu i obwieszanej małymi, białymi lampkami, które przypomniały mu Winterfest w towarzystwie Gillian.

Nie było to zresztą wcale takie dziwne, bo wszystko mu się z nią kojarzyło.

Długa, aksamitna suknia odsłaniała nagie, porcelanowe ramiona Gillian. Jej włosy jaśniały niczym płomień. Koniuszki uszu i talię zdobiły błyszczące brylanty. Smugi artystycznego makijażu jeszcze bardziej powiększały jej oczy i podkreślały regularne rysy twarzy. Jej usta, uśmiechające się do wysokiego, przystojnego mężczyzny w modnej, czarnej, jedwabnej koszuli, dominującej nad frakiem, nie były w delikatnym odcieniu ecru, jak na kasecie video, lecz purpurowe. Jak u syreny, którą według niego w głębi duszy była, choć staranna europejska edukacja przysporzyło jej dużo wyrefinowania.

Była kobietą o najbardziej olśniewającej urodzie, jaką kiedykolwiek widział. Bez wątpienia. Niestety, kiedy patrzył jak przyjmuje złocony na brzegach kieliszek szampana od faceta, wyglądającego, jakby zszedł z okładki „GQ”, i do którego zradzała trochę za dużo sympatii, Hunter z niechęcią uznał, że była również kobietą najbardziej niedostępną.

Najważniejszy jest właściwy moment, pomyślał Hunter ponuro. Mogłaby być Królową, mieć swój dwór, przyjmować dary i nagrody od ludzi, którzy ją kochali w tym wytwornym świecie sztuki, zaszczytów i bogactwa. W ciągu tego czasu, który razem spędzili, Hunter nie tylko obserwował, jak poważnie traktuje karierę, i jak ciężko pracuje nad swoją muzyką, ale zaczął też przypominać sobie dziewczynkę, którą

kiedyś była. Przesadnie chude i poważne dziecko, które zawsze, kiedy bywał u Cassidy'ch, grało na swym drogocennym fortepianie.

W drodze na szczyt wiele lat musiała poświęcić pracy, i w pełni zasługiwała na piękne chwile w blasku fleszy.

Nawet tak nieobyty w wielkim świecie człowiek jak on wiedział, że nie był to najlepszy moment na podejmowanie próby rozmowy o ich niekonwencjonalnym związku.

Zwrócił się do Bernarda.

– Wyświadczy mi pan przysługę?

– To zależy jaką – odpowiedział mężczyzna, z typową u policjantów podejrziwością.

– Przekaze pan ode mnie wiadomość pannie Cassidy?

Bernard przeniósł wzrok z Huntera na Gillian, która śmiała się wesoło z czegoś, co powiedział mężczyzna od szampana.

– Tylko szybko – mruknął, a na jego kamiennej dotąd twarzy pojawił się wyraz lekkiej sympatii, czego Hunter nie cierpiał.

Skreślił krótki liścik na odwrocie swego programu, przekazał go muskularnemu przyjacielowi portierki, a potem, choć nie taki był jego pierwotny zamiar, wyszedł z teatru.

Nie chcąc czekać do rana na łódź pocztową Bena, pojechał na lotnisko. Tam, za dziesięciokrotnie wyższą stawkę od powszechnie przyjętej, udało mu się wynająć samolot z pilotem, no, ale w końcu była Wigilia, przypomniał mu pilot.

Po z górą dziesięciu godzinach od wyruszenia po Gillian, Hunter siedział z powrotem w swojej bibliotece, podziwiając niebo o północy. Czekał.

– Byłaś dzisiaj rewelacyjna.

– Dziękuję. – Gillian była z Deke'm sama. Nie siedziała jednak przy swojej toalecie zajęta zmywaniem makijażu, lecz przemierzała pokój z pomiętym listem od Huntera w dłoni. – Moim zdaniem, poszło nieźle – powiedziała nieobecny głosem. – Nowe kompozycje chyba się wszystkim podobały.

– Były odlotowe. Najlepsze, jakie kiedykolwiek napisałaś. Ale ja nie mówiłem o tym co na scenie. Mówiłem o przedstawieniu po koncercie. O tym, które dałaś tutaj, wobec wiernych fanów.

– O czym ty mówisz? – Zatrzymała się przy zamkniętych drzwiach, spoglądając na niego przez obnażone ramię.

– Dobrze wiesz, że nawet jeśli uśmiechałaś się kiedy trzeba i mówiłaś co trzeba, myślami byłaś zupełnie gdzie indziej. Szczególnie po wizycie tego olbrzyma z wiadomością.

Rozchyliła zaciśnięte palce na tyle, by móc jeszcze raz ją przeczytać. Ciągle nie wierzyła, że Hunter mógł być aż tak bezmyślny.

– Czy kiedykolwiek byłeś zakochany?

– Jasne. Przynajmniej raz w miesiącu. W tej brunetce z Rio, i tamtej rudej, w Dublinie, i w tej blondynce z deską surfingową, w Sydney...

– Nie mówię o zauroczeniu – powiedziała, kierując rozmowę w zupełnie innym kierunku. – Ani nawet o pożądaniu. – Chociaż w ciągu ostatniego miesiąca poznała to uczucie. – Mówię o miłości. Takiej do grobowej deski.

– Aha – pokiwał głową. – To by wyjaśniało zmianę w twojej muzyce. Więc, w czym rzecz? Czy ten facet

jest zbyt głupi, żeby zrozumieć, jakim jesteś klejnotem?

– Właściwie to najbardziej błyskotliwy człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkałam. I chyba najgłupszy – dodała.

– To normalne kiedy pojawia się miłość. Jeśli się pokłóciliście, to nie chcę brać niczyjej strony, ale większość facetów jest wtedy śmiertelnie przerażona.

– Wszystko, czego chcę, to mieć z nim dzieci.  
– Doszła do ściany i znowu się odwróciła.

– No, właśnie. – Deke wziął głęboki oddech. – Właśnie o to chodzi. Chcę ci tylko powiedzieć, że od chodzenia po garderobie i gadania tu ze mną na pewno nie zajdziesz w ciążę.

– Masz rację. – Gillian zatrzymała się, podejmując decyzję. – Czy udałoby ci się zorganizować dla mnie czarter na Castle Mountain w Maine?

– Wiesz, że dla ciebie, Gilly, zrobiłbym wszystko. Ale jest Boże Narodzenie, a ja nigdy w życiu nie słyszałem o Castle Mountain.

– To wyspa.

– A jest tam chociaż jakieś miejsce do lądowania?

– Niewielkie. – Widziała je, kiedy Hunter zabrał ją na Winterfest. Było w odległym zakątku wioski. Większość mieszkańców wołała pewnie łódź Bena Adamsa.

– Zobaczę, co się da zrobić.

– Dziękuję. – Wspięła się na palce i pocałowała go w policzek. – Jesteś prawdziwym przyjacielem.

– Obiecuj mi tylko, że dostanę zaproszenie na ślub.

– Żartujesz? Nie wyszłabym za mąż, gdyby ciebie przy mnie nie było. – Mimo nie mijającego uczucia

złości na Huntera, uśmiechnęła się. – No, bo kto zadba o te wszystkie szczegóły?

Wprawdzie nigdy nie miała kłopotów z lataniem, jednak nie przepadała za takim podróżowaniem. Szczególnie nie lubiła przelotów awionetkami w bezgwiezdną noc nad oceanem.

Powtarzała sobie, że najrozsądniej byłoby po prostu poczekać do rana i wsiąść na prom Bena Adamsa. Ale nie miała pewności, czy jego łódź pocztowa kursowała na Castle Mountain w Boże Narodzenie, nie mówiąc o tym, że kiedy chodziło o Huntera, nie miała w sobie ani krzty rozsądku.

Mogła kazać mu czekać. Pewnie powinna kazać mu czekać. Ale była zbyt wzburzona, by samotnie stawić czoło tłumionym uczuciom.

Wiadomość przyniesiona przez bostońskiego olbrzyma była oburzająca – nawet po Hunterze nie spodziewała się czegoś podobnego.

– Gillian – napisał tym swoim wyraźnym, stanowczym pismem, które rozpoznawała aż za dobrze od czasu tamtego pierwszego liściku, który zastała zaraz po przyjeździe – jak kiedyś stwierdziłaś, zawarliśmy umowę na trzydzieści dni. Nadal jesteś mi dłużna siedem dni. Jeżeli nie wypełnisz zobowiązania do końca, nie pozostanie mi nic innego, jak powiadomić opinię publiczną o sprawkach twojego ojca. Jak zawsze, wybór należy do Ciebie.

– Co za idiota – mruknęła, wpatrując się w mrok.

– Mówiła pani coś? – zapytał siedzący obok pilot.

To jeszcze jedna rzecz, za którą Hunter jej zapłacił, postanowiła. Powinien też pokryć rachunek za ten cholerny czarter. Uznała za zrządzenie losu, że kiedy



dotarli z Deke'm na lotnisko, pilot wracał właśnie z poprzedniego kursu. Było to, zanim usłyszała cenę za przelot na Castle Mountain.

-Mamy Wigilię – przypomniał jej, kiedy zaprotestowała na tak horrendalną opłatę.

- Mówiłam do siebie – odparła.

- Coś duży ruch tej nocy.

Pochłonięta komponowaniem przemowy do Huntera, napawająca się już jego widokiem na kolanach przepaszającego za swoje oburzające zachowanie, Gillian nie zwróciła nawet uwagi na burkliwy komentarz pilota.

Ale uśmiechnęła się lekko na wyobrażenie Huntera zmuszonego podawać jej śniadanie do łóżka każdego ranka, aż do ich dziesiątej rocznicy ślubu.

Chciał, żeby przyjechała. Kiedy jednak otworzył drzwi kuchenne i stwierdził, że to Gillian, serce Huntera zamarło.

- Co ty tu u licha robisz? – Celowo wypowiedział te słowa tonem zimnym i zdecydowanie niegościnnym, mając nadzieję, że odjedzie.

- Nie zgrywaj przede mną nieobecnego duchem geniusza, Hunter. – Rzuciła w niego zmiętym programem koncertowym. – Wezwałeś mnie, pamiętasz?

- Jak dostałaś się tu tak szybko? – Ciągle miała na sobie tę zieloną suknię z aksamitu, w której występowała na scenie, okrytą czarnym płaszczem z kapturem. Hunter zajrzał jej przez ramię, upewniając się, czy jest sama.

- Wynajęłam samolot z Bostonu, a potem jeepa od bardzo miłego człowieka, którego pilot wywłókł z domu po raz drugi tej nocy, by odśnieżyć pas startowy.

Wyraził zresztą nadzieję, że nie ruszymy się już dzisiaj domu, bo musi jeszcze dokończyć składanie domku dla lalek i miniaturowego toru wyścigowego, zanim jego dzieci rano wstaną... Poza tym, to doskonała sprawa, jak się ma nadmiar pieniędzy, bo za sumę, jaką zapłaciłam pilotowi za latanie w Wigilię, mogłabym pewnie polecieć pierwszą klasą do Paryża.

– W Boże Narodzenie – poprawił ją. Północ już minęła, więc Ben wygrał zakład, pomyślał Hunter.

– Nie cierpię tej twojej drobiazgowości – mruknęła.

– A tak przy okazji, Hunter, robisz się nieostrożny.

– Ponieważ on ciągle był zaskoczony jej przybyciem, udało się Gillian prześlizgnąć bokiem, do kuchni.

– Wszystkie bramy bezpieczeństwa były otwarte.

Rzuciła swą ośnieżoną torbę na stół kuchenny, a kiedy się odwróciła, osłupiała na widok obcej osoby. Za Hunterem stał blondyn w rozpiętym, szytym na zamówienie, kaszmirowym płaszczu i grubym narciarskim swetrze, przykładając pistolet – bardzo niebezpieczny kawałek metalu – do śniadej skroni Huntera.

– Kim pan jest?

Hunter zaklął w duchu.

– To James Van Horn – powiedział. – Z Departamentu Stanu. Kierował też ostatnią próbą zamachu na mnie.

Trochę zbladła, ale znacznie mniej niż większość ludzi w tych okolicznościach, pomyślał Hunter. Jej oczy wyrażały raczej oczekiwanie niż przerażenie.

– Dlaczego miałyby pan chcieć śmierci Huntera, skoro tyle pieniędzy wyłożyliście na jego badania? – Nie zadałaby tego pytania, gdyby błysk zrozumienia, który Hunter zauważył, pojawił się w jej oczach

odrobinę wcześniej. – Nie jest pan zwolennikiem ich pokojowego wykorzystania, prawda?

– Brak dowodów na poparcie tej teorii – warknął mężczyzna, i były to jego pierwsze słowa od chwili, gdy polecił Hunterowi odprawić dziewczynę spod drzwi. Ton jego głosu potwierdzał, że Gillian była bliska prawdy.

– Jesteś pewien, że Departament Stanu nie jest w to zamieszany?

– Van Horn działa na własną rękę – wyjaśnił Hunter. – Zdaje się, że rozpiisał przetarg na te badania. Teraz, kiedy zdecydował się wybrać konkretnego kupca, potrzebny mu jest towar.

– Nigdy tego nie dostaniesz – oświadczyła napastnikowi Gillian w przypływie emocji.

Przyglądała mu się, próbując zachować spokój. Jak na gangstera był zbyt szarmancki i zbyt przystojny, ale w końcu gangsterów widywała dotąd jedynie w filmach.

– Pańska kochanka wykazuje irytujący brak woli współpracy. – Van Horn nie powiedział Gillian nic nowego. – Ale myślę, że to już nic nie zmieni.

– Jeżeli spadnie jej choćby włos z głowy, Van Horn, zabiję cię gołymi rękami. – Głos Huntera był śmiertelnie poważny, a spojrzenie lodowate. – Pozwól jej teraz odejść, a ja oddam ci te przeklęte kody do programu.

– Hunter! – Gillian wpatrywała się w niego z niedowierzaniem. – Nie możesz pozwolić temu... temu... terroryście zawładnąć światem.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, byś była bezpieczna – odpowiedział. – Program nie działa bez kodów – przypomniał Van Hornowi. – Puść ją, a ja ci je dam. Do diabła, zrobię ci nawet szkolenie, jak z tych informacji korzystać.

– Hunter – powtórzyła Gillian – ty chyba nie mówisz poważnie! Nie pozwolę, żebyś przeze mnie został zdrajcą!

– Czy ona zawsze jest taka? – spytał z irytacją Van Horn, zbliżając się do dziewczyny.

– Dość często – przyznał Hunter.

Mężczyzna zaklął wulgarnie i dosadnie.

– Będziemy ją zatem musieli nauczyć, trzymać się z dala od miejsc i spraw, które jej nie dotyczą. – Jednym brutalnym ruchem wykręcił Gillian rękę z taką siłą, że aż krzyknęła z bólu.

To błyskawicznie poderwało niezauważoną przez nikogo kotkę, która przypatrywała się zajściu ze swojego pudełka obok kuchenki. Z przeraźliwym miauknięciem rzuciła się na mężczyznę krzywdzącego kobietę, która ją dokarmiała i która uratowała jej kocięta przed śmiercią w oceanie. Pazury wplotły się w blond włosy Van Horna, przeorały mu twarz i wpiły w jego pierś.

Hunter wykorzystał chwilę zamieszania, by chwycić Gillian, która zachwiała się, gdy Van Horn mocował się z wściekłym, gotowym na wszystko zwierzęciem, przypiętym do jego swetra.

Zanim zdołał doprowadzić ją do drzwi, ciszę nocy przeszył wystrzał.

Hunter zobaczył przerażony, że na pelerynie z przodu pojawił się strumyk w kolorze przekwitającego maku. Po chwili krew trysnęła.

– Hunter? – Oczy Gillian zasłzy mgłą. Jej twarz zrobiła blada jak ściana.

– W porządku, kochanie. – Kiedy przyciskał ją do siebie, usłyszał przekleństwo Van Horna. Spojrzał na

niego w samą porę, by być świadkiem, jak ten przykłada sobie pistolet do skroni i pociąga za spust.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniał Gillian, w jednej chwili zapominając o mężczyźnie, który leżał pod ścianą. Rozdarł jej długą, wełnianą pelerynę, dostał się do rany, która wykwitła intensywną czerwienią na przedzie zielonej sukni z aksamitu, i modlił się, by to była prawda.

Jej ciało zrobiło się lodowate, a nogi jak z waty. Drżała jak w febrze. Stało się jasne, że nie jest już w stanie stać o własnych siłach. Hunter trzymał ją mocno, próbując jednocześnie dosięgnąć słuchawki telefonu, wiszącego na ścianie. Gillian była za słaba, by mu w tym pomóc, a odległość zbyt duża.

– Na chwilę cię tu położę – powiedział – zadzwonię na policję i ściągnę pomoc.

Nie chciał rozstawać się z nią nawet na krótką chwilę, lecz nie miał wyboru. Ułożył ją ostrożnie, delikatnie na różowej podłodze z desek.

Kot momentalnie znalazł się przy niej, wtulając pomarańczowo-czarne futerko w jej bok. Hunter tymczasem chwycił prawą ręką za telefon, a lewą uciskał ranę ścierką do talerzy.

– Hunter?

Z trudem mógł zrozumieć jej szept, wydobywający się przez zaciśnięte zęby. Zagłuszał go łomot własnego serca.

– Jestem przy tobie, skarbie. – Wcisnął szybkie wybieranie numeru. – Nie opuszczę cię.

Oczy miała zamglone, lecz usta układały się w coś, co udało mu się odczytać. – Kocham cię.

Jej powieki zatrzepotały i opadły. Dyżurujący policjant już po pierwszym dzwonku podniósł słuchawkę

i przyjął wezwanie. Hunter miał tylko nadzieję, że to wystarczy, czując, jak Gillian oddala się coraz bardziej.

Przyciskał ją do piersi, usta skrywając w bujnych, płomiennych puklach jej włosów. W oczekiwaniu na pomoc sanitarną negocjował z Bogiem, w którego dawno przestał wierzyć.

## ***Rozdział szesnasty***

Śniło jej się, że brnie w zamieci. Było jej zimno, śmiertelnie zimno. Otaczał ją oślepiająco biały krajobraz, zdeorientowaną, zagubioną. Gdzieś w oddali słyszała głos Huntera, wołającego ją raz i drugi, ale nie mogła go dostrzec. Nie mogła go odnaleźć.

Wpadła w głęboką zaspę. Próbowwała mu odpowiedzieć, dać znać, gdzie jest, aby mógł pospieszyć z pomocą. Jednak jej wargi zamieniły się w kamień, a umysł, zanurzony w białym, lodowatym oparze, nie mógł wymyślić słów.

– Kocham cię. – Te słowa pochodziły raczej z serca niż z głowy i, kiedy poczuła grzebiący ją nagle śnieg, nie była pewna, czy udało jej się wypowiedzieć je głośno.

Hunter powtarzał wołanie, które zdawało się coraz donośniejsze, lecz czy Gillian słyszała jego głos, stłumiony huraganowym porywem wiatru, nie było pewności.

Starła się go chwycić, ale siły ją opuściły, a ręka zrobiła się taka ciężka.

Było jej coraz zimniej. Była coraz bardziej zmęczona. Bardzo zmęczona.

Wyszeptała jego imię, jak modlitwę. Potem zamknęła oczy i poddała się wirującej bieli.

Kiedy wieziono Gillian z sali operacyjnej, Hunter nie odstępował jej ani na krok. Przez trzy przeraźliwie długie godziny siedział zgarbiony na plastikowym krześle, wypatrując choćby najśłabszej oznaki powrotu do świadomości, przemawiając do niej łagodnie, gdy na krótką chwilę otwierała oczy, obserwując jej oddech i kontrolując pokrzepiające wzloty zielonej linii na monitorze nad jej szpitalnym łóżkiem.

Dylan dołączył w czuwaniu do Huntera, podobnie jak Brian i Toni, chociaż Toni nie weszła na Oddział Intensywnej Opieki Medycznej, bojąc się przerazić Gillian swoją obecnością. Julianna i Charity zmieniały się: podczas gdy jedna jechała do szpitala, druga zajmowała się dziećmi.

Nawet Mildred i Ben Adamsowie wpadali każdego ranka i wieczora. Ponieważ Hunter nie chciał chodzić do baru i zostawiać Gillian, Mildred przynosiła mu gorące posiłki, domagając się na swój ujmujący sposób, by były zjadane.

Czwartego ranka Hunter ocknął się na dźwięk słabego głosu, który tak rozpaczliwie pragnął usłyszeć, i który wyrwał go z koszmarnego snu pełnego wyrazistych obrazów z tamtego wstrząsającego wydarzenia w kuchni.

– Nie śpisz. – Ulga i radość dźwięczały w jego głowie jak chóry kościelne, zanoszące ku niebiosom pochwalne hosanny.



– Myślę, że nie. – Gillian zerknęła na Huntera, a jej spojrzenie od dawna nie było tak jasne. – Wiem, że to zabrzmiało dziwnie, ale powiedz, gdzie ja jestem?

– Na Castle Mountain. W szpitalu.

– Śniło mi się, że jesteś aniołem.

– To przez te lampy na suficie. Pochylałem się nad tobą i częściowo ci je zasłaniałem. Lekarz powiedział, że ludzie budzący się z narkozy często tak reagują.

– Naprawdę. – Jej gładkie czoło pokryły zmarszczki. – Leciałam samolotem. Czy on się rozbił?

– Nie. Zostałaś postrzelona – powiedział Hunter, czując, że nigdy już nie pozbędzie się poczucia winy, za to, co się stało.

– Postrzelona? – Znowu zmarszczyła brwi, próbując przypomnieć sobie przebieg wypadków. – W samolocie?

– W kuchni. Cztery dni temu.

– Cztery dni? – Otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

Przytaknęła.

– I każdego z tych czterech dni myślałem, że oszaleję.

– Tak, byłam w kuchni. – Myślała jeszcze intensywniej. – Był tam mężczyzna...

– Van Horn.

– Człowiek z Departamentu Stanu. Zamierzał cię zastrzelić. Potem mnie chwycił. – Potarła skroń. – Nie pamiętam, co się wydarzyło dalej.

– Uratował cię twoja rozwścieczona kotka.

– Zaatakowała go. – Jej usta wygięły się lekko w uśmiechu. – Jak tygrysica. Tak, pamiętam. A potem zostałeś aniołem.

Może to i dobrze, że nic więcej nie pamięta, uznał

Hunter. Środki podjęte dla ratowania jej życia na oddziale intensywnej terapii nie były dobrym materiałem na wspomnienia.

Pomacała się po różowej szpitalnej piżamie.

– Boli mnie w piersiach.

– Masz między innymi złamane żebro. I musieli włożyć ci w klatkę piersiową rurkę, ponieważ pocisk przebił płuco.

To było przerażające. Całe szczęście, że nie trafił w serce, uspokajał go lekarz dyżurny.

– W głowie mi się kręci na samą myśl o tym, że w moim ciele utkwiała kula – szepnęła. Dotknęła swojej skroni, jak gdyby bolała ją głowa.

– Pistolet Van Horna wypalił, a ty byłaś na linii strzału. Chyba nigdy się już dowiem, czy mierzył we mnie, czy to przypadkowy wystrzał podczas szamotanimy z kotem. To wszystko moja wina. Gdybym nie zmuszał cię do powrotu...

– Zostawiłeś mi wiadomość – przypomniała.

– W teatrze. – Zmarszczki na jej czole jeszcze się pogłębiły. W jej oczach pojawiła się irytacja. Hunter powitał ten widok z ulgą, wdzięczny za jakąkolwiek oznakę emocji. Wiedział przy tym, że na nią zasłużył. – Z poleceniem wypełnienia zobowiązań.

– To był głupi pomysł – przyznał, przeczesując dłonią włosy. – Chciałem cię błagać o powrót, ale doszedłem do wniosku, że będziesz trzymała mnie przez dłuższy czas na dystans, żebym trochę pocierpiał. Do czego miałaś prawo – dorzucił zaraz. – Ale kiedy zacząłem pisać ten list, przemknęło mi przez myśl, że jeśli będę wystarczająco gniewny, od razu wrócisz.

Wpatrywała się w niego.

– Jak na takiego geniusza – powiedziała wolno – było to bez wątpienia najgłupsze, co dotąd wymyśliłeś.

– Wiem.

Zauważył, że Gillian oblizuje usta. Wlał do szklanki trochę wody z karafki koło łóżka, podniósł dziewczynę do pozycji siedzącej i przyłożył jej plastikowy kubek do ust.

Piła łąpczywie, zupełnie jakby przez igłę umieszczoną na wierzchniej części dłoni nie podawano jej już płynów. Opadła na poduszkę.

– Cóż, idiotyczne czy nie, najwyraźniej zadziałało. No, i jestem tutaj. Dostali to, po co przyszli?

– Co?

– Twoje badania. Van Horn nie miał wsparcia?

– Nie. Był wolnym strzelcem. Jedyнным jego partnerem był facet, którego zrzuciłem ze skały. Okazało się zresztą, że to były komandos, który został najemnikiem. Ale to nie bez znaczenia. Kiedy stanęłaś w drzwiach, byłem gotów oddać mu wszystko, czego zażąda.

Posłała mu długie, badawcze spojrzenie, jedno z tych, przy których wydawało mu się, że zagląda mu prosto w duszę.

– Naprawdę tak myślałeś. – To nie było pytanie.

– Oczywiście.

– Chociaż poświęciłeś im tyle lat, chociaż omal nie zginąłeś – a wiem już o co najmniej trzech takich zamachach – oddałbyś wszystkie wyniki badań temu szaleńcowi?

– Bez chwili wahania. Oddałbym mu wszystko,

czego by zażądał, byle tylko cię ochronić. Ponieważ bez ciebie, Gillian, nic dla mnie się nie liczy.

– Najwyższa pora, żeby to zrozumieć... A co się stało z Van Hornem?

– Nie żyje. – Odsunął parę niepokornych loczków z jej twarzy. – Powinnaś wypoczywać. Możemy wrócić do tego później.

– Ta scena z kobietą w twojej kuchni, twoją koleżanką to był akt desperacji, prawda?

– Prawda, a Toni ostrzegła mnie, że przesadzam. Ale byłem zdecydowany wypędzić cię z tej wyspy, zanim ktoś zrobi ci krzywdę, próbując dostać mnie. – I dokładnie tak się stało. Przez jego głupotę.

– Może i jest w tym jakaś pokrętna logika. Chociaż powinnam mieć prawo podjąć samodzielnie decyzję o wyjeździe. Ale jeżeli bałeś się o mnie, dlaczego nalegałeś, bym wróciła?

– Ponieważ zapewniono mnie, że wszyscy terroryści zostali wyłapani. Ale przede wszystkim dlatego, że piekielnie za tobą tęskniłem.

– Dobrze. – Pokiwała głową. – Więc tak naprawdę to z nią nie spałeś, tamtej nocy, kiedy wróciliśmy z festynu?

– Oczywiście, że nie. Od kiedy zobaczyłem cię na video, nie chciałem już żadnej innej kobiety. I nigdy nie będę chciał, póki żyję.

– Wcale cię nie podejrzywałam. – Uśmiechnęła się, a Hunter poczuł się tak, jak gdyby zza chmur, które wisały nad nim od zawsze, wreszcie wyszło słońce. – Wiesz, Hunter, ciągle mi tego nie powiedziałeś.

– Czego nie powiedziałeś?

– Że mnie kochasz.

– Wątpisz w to?

– Nie. – Uniosła tę rękę, w której nie miała igły od kroplówki, i dotknęła jego policzka. – Ale byłoby miło to usłyszeć.

Wziął głęboki wdech, splótł jej palce ze swoimi palcami i powiódł złączone dłonie do ust.

– Kocham cię. – Musnął wargami jej nadgarstek, potem purpurowy siniak na zgięciu, po wewnętrznej stronie łokcia. – Musisz mi uwierzyć, Gillian, nigdy dotąd nie powiedziałem tego żadnej kobiecie.

Słyszając to oświadczenie, z trudem powstrzymała się od serdecznego śmiechu.

– Och, wierzę ci, Hunter.

– Myślę, że od początku cię kochałem, może nawet od chwili, kiedy zobaczyłem tę kasetę. Ale było mi to zbyt obce. Wystraszyłem się i nie wiedziałem, jak nad tym zapanować. Więc próbowałem wmówić sobie, że to tylko pożądanie.

– Pożądanie nie jest takie złe.

– No, nie. – Udało mu się uśmiechnąć, po raz pierwszy od wielu dni. – Ale pożądanie i miłość, to dopiero coś. – Dotarł do ramienia. Odsunął na bok rąbek piżamy, by obsypać pocałunkami jej obojczyk. – A ja cię kocham. – Za drugim razem poszło łatwiej, stwierdził Hunter. Wypowiadanie tych słów zaczęło mu sprawiać prawdziwą przyjemność. – Kocham cię. – Musnął nosem jej szyję, upajał się niepowtarzalnym zapachem, którego nawet wszystkie szpitalne środki antyseptyczne świata nie potrafiłyby zabić. – Zawsze będę cię kochał.

– W samą porę poszedłeś po rozum do głowy. – Jej głos nadal jeszcze nie był tak silny, jak powinien, ale

Hunter wychwycił w nim nutkę humoru. Humor, który pozwolił jej przetrwać niewesołe, pozbawione ciepła dzieciństwo. Humor, który pomógł Gillian znieść jego zachowanie.

– Powiem więcej – dodał.

Ponieważ za bardzo kusiło go wskoczenie do jej wąskiego łóżka i ponieważ wiedział, że minie jeszcze sporo czasu, zanim będzie można ją fizycznie męczyć, pocałował tylko namiętnie Gillian w usta, a potem usiadł z powrotem na krześle. Ale nie wypuścił jej dłoni.

– Tak?

– Ożenię się z tobą.

– Jakie to szarmanckie – odparła ironicznie. – Ale jest jeden pocisk, któremu umknęliśmy, Hunter: nie jestem w ciąży.

– Miałem nadzieję, że nad tym popracujemy. Jak tylko to będzie możliwe. Jak tylko wyciągniemy cię z tej celi.

Rozejrzała się po skąpo wyposażonym pomieszczeniu, potem zerknęła na wiszące nad łóżkiem kroplówki.

– Im szybciej, tym lepiej – stwierdziła. – Oboje byliśmy jedykami, i chociaż niektórym się to podoba, ja chcę mieć dużą rodzinę.

– Załatwione. Wymień jakąś liczbę. Sześć, dziewięć, dwanaście, do licha, możemy mieć ich cały tuzin, jeśli chcesz. – Pokoje mógł dobudowywać w nieskończoność.

– Podoba mi się twój entuzjazm, Hunter. – Tym razem ona uniosła ich splecione ręce do swych ust. Jej oczy, jeszcze kilka dni temu szkliste i tchnące bliską

śmiercią, emanowały teraz energią i odzyskanym blaskiem miłości. – Ale coś pomiędzy czwórką a szóstką powinno wystarczyć. Ponieważ to ja będę tak naprawdę odwaląca całą robotę... Myślałam też o tych kamerach – szepnęła.

– Kamerach?

– O tych, które pochowałeś w całym domu – powiedziała, zachowując wyjątkowo zimną krew, jak na kobietę szpiegowaną.

– Wiedziałaś?

– Oczywiście. Kiedy wspomniałeś, że w gabinecie słyszysz moją muzykę, zaczęłam się za nimi rozglądać. Mogą zostać, o ile wcześniej ustalimy, kiedy będą włączane.

– Jak sobie życzysz. – Hunter nieświadomie wstrzymywał oddech, by wreszcie odetchnąć z ogromną ulgą. – Zgadzam się.

– I kocięta też zostają.

– Nie rozdzieliłbym ich od matki. – Widział, jak drapieżna jest kotka, więc nawet nie ośmieliłby się tego zrobić.

– Chcę również psa. Nigdy nie miałam psa, a sądzę, że byłoby to dobre dla dzieci. – Czego tylko zapragniesz, Gillian. Dzieci, psy, szmaragdy, księżyc, gwiazdy,

powiedz tylko co, a ja poruszę niebo i ziemię, żebyś to dostała.

Uśmiechnęła się. Potem ostrożnie uniosła dłoń podpiętą do kroplówki, i zgięła palec, przywołując Huntera do siebie.

– Szmaragdy są miłe. Dzieci jeszcze miłsze. Ale nie musisz się aż tak narażać. – Przytrzymała szeroko

rozstawionymi pacami z tyłu jego głowę, by pocałować go w usta. – Bo, gdybym miała wybierać spośród wszystkich uroków świata, wybrałabym ciebie, Hunter.



## *Epilog*

*Pięć lat później*

Szampan musował, brylanty lśniły, kwartet smyczkowy, wynajęty do obsady przedstawienia na Broadway'u rzewnie zawodził, chociaż nastrój tej nocy był nieodparcie radosny, jak się przyjęło podczas wieczorów premierowych.

– Olśniewające! Niezapomniane, pełne emocji przeżycie – odczytywała głośno piękna blondynka, grająca główną rolę w romantycznym gotyckim musicalu.

– To trzeba zobaczyć – czytał jej sceniczny partner. Dzięki niebezpiecznemu, pełnemu tajemniczości spojrzeniu i niskiej, barytonowej barwie głosu trafił na okładki zarówno „People” jak i „Time’a”, przywracając do łask określenie „idol popołudniówek,.. – Elektryzująca partytura stanowi kręgosłup tego ze wszechmiar wyśmienitego musicalu, uzmysławiając nam, że wodewilowe melodie, skomponowane przez wybitnie

twórczego kompozytora, mogą osiągać szczyty maestrii.

– Genialna i olśniewająca partytura, ukazująca całą paletę emocji miłosnych uniesień, nienawiści, strachu i żalu – odczytał fragment jeszcze innej recenzji producent.

– Zdaje się, że „olśniewająca” stało się hasłem tego wieczoru – szepnął Hunter Gillian do ucha. Stali przy oknie Sali Tęczowej, w centrum Nowego Jorku, i spoglądali na zamglone światła w dali pod nimi, migocące jak spadające gwiazdy.

Uśmiechnęła się do niego, ciesząc się z tryumfu, jaki tej nocy przeżywała. Lecz jeszcze bardziej ciesząc się możliwością dzielenia swej radości z mężem.

– Jesteś wspaniała, Gillian. – Położył dłoń na jej odsłoniętym ramieniu i przyciągnął do siebie. Sala była wypełniona ludźmi, którzy uczestniczyli w dzisiejszej premierze na Broadway’u, oraz tymi, którzy po prostu czuli, że powinni być świadkami takiego sukcesu. A od pierwszego taktu musicalu dla wszystkich obecnych stało się oczywiste, że dzieje się coś wyjątkowego. – I zasługujesz na to, by mieć u stóp cały świat.

– No, nie jest to jeszcze cały świat. – Jednak z tej magicznej sali, wysoko ponad miastem, widziała jaskrawo oświetlony namiot z jej nazwiskiem tak, jak zawsze o tym marzyła.

Hunter zachichotał.

– Powiedz to przeciętnemu nowojorczykowi.

Wsparła głowę o na jego ramieniu i znowu to poczuła – zdolność Huntera do zamykania się przed całym światem, zawężania pola zainteresowania,

nawet w takim tłumie, tylko do dwóch osób. Nie potrafiła zrozumieć, jak on to robił. Ale były takie chwile, na przykład dzisiejszego wieczora, kiedy była bardzo zadowolona, że posiadał tę niesamowitą umiejętność.

– Kocham to miasto – przyznała – tę żywotność, zapachy i dźwięki, i jedzenie. Ale z przyjemnością wróciłabym do domu.

– Popieram. – Nie zwracając uwagi na innych, dotknął ustami czubka jej głowy w miejscu, gdzie miała upięty kok, jak zawsze przy formalnych okazjach. – Dzieciaki się ucieszą, jak wrócisz. Kiedy podczas antraktu zadzwoniłem do pani Adams, powiedziała, że Sarah skomponowała dla nas piosenkę powitalną.

– Jakie to słodkie.

– A Spencer wysadził kuchnię.

W jej głowie pobrzmiwały jeszcze lekkie, zwiewne nutki, ale głos Huntera zmusił ją do koncentracji.

– Wysadził kuchnię?!

– No, niezupełnie. – Uśmiechnął się z zadowoleniem. – Mały eksperyment z proszkiem do pieczenia. Malarze powinni skończyć przed naszym przyjazdem.

– Nieodrodny syn swojego ojca – westchnęła Gillian.

– A Sarah to nieodrodna córka swojej mamusi – skwitował Hunter. Bliźniaki od początku miały wykształcone, nieprzeciętne osobowości. – Może za trzecim razem uda nam się zrobić mieszankę.

– Może.

Gillian uśmiechnęła się do niego, kładąc dłoń na płaskim jeszcze brzuchu. Zanim włożyła wieczorową

kreację na dzisiejszą premierę, zrobiła sobie test ciąży. Kiedy zobaczyła, że jest pozytywny, niemal przestała się martwić o recenzje ze swego spektaklu. Nieważne, jak długo czekała na ten moment, żadne przedstawienie nie mogło być ważniejsze od ich dziecka.

– Nie sądzisz, że wystarczająco długo wypełniałam dzisiaj swoje obowiązki? – zapytała.

W jego ciepłym spojrzeniu pojawił się niepokój.

– Coś się stało? Chodzi o dziecko?

– Wszystko w porządku, to nic takiego. Dziecko, o ile mogę tak wczesnie coś powiedzieć, jest grzeczne i potulne. Pomyślałam tylko, że wolałabym wrócić do hotelu i kontynuować świętowanie we własnym gronie.

Jego oczy zwęziły się pożądliwie, i Gillian wiedziała, że nawet, gdy będzie już bardzo wiekową damą, grającą swym prawnukom gamy na Stainway'u od Huntera, on nadal będzie miał moc wprawianie jej w drzenie.

– Olśniewająca – szepnął, prowadząc ją przez tłum melomanów.

Ucieczka zajęła im więcej czasu, niż się spodziewali. Co kilka metrów musieli się zatrzymać, by Gillian mogła przyjąć wyrazy uznania, wymienić uściski i przesłać na odległość całusy.

– Nareszcie sami – westchnął z ulgą Hunter, kiedy zamknęły się drzwi windy i zaczęli szybko zjeżdżać do holu. Oparł się o ścianę i wziął Gillian w ramiona. – Myślałem, że nigdy się stamtąd nie wydostaniemy.

– Ludzie w Nowym Jorku bawią się dłużej niż na

Castle Mountain – stwierdziła. – Technicznie rzecz biorąc, mamy przed sobą jeszcze całą noc. – Odchyliła głowę do tyłu i wzniosła usta do pocałunku. Długi, namiętny pocałunek sprawił, że palce u jej stóp, w przesadnie wysokich włoskich szpilkach, zacisnęły się.

– Dziękuję za prezent. Jest piękny – szepnęła wtulona w jego usta.

Dotknęła delikatnego naszyjnika z brylantem i szmaragdem oprawnych w platynę.

– Cieszę się. – Winda stanęła. – Kupiłem ci go z przyjemnością.

Drzwi rozsunęły się.

– Skoro o tym mowa, ja też mam dla ciebie mały prezencik – szepnęła.

Gillian pierwsza wyszła z windy, a Hunter mógł podziwiać jej półnagie ciało, odsłonięte głębokim dekoltem długiej, czarnej sukni z jedwabiu.

– Powiesz mi, co to takiego czy mam poczekać?

– To zależy, co sądzisz o szalonej, namiętnej miłości w limuzynie.

– Znasz mnie. Chętnie wezmę udział we wszystkim, byle z tobą, kochanie. Chociaż rozbieranie się w jadącym samochodzie zawsze wyglądało mi na trochę zbyt skomplikowane – przyznał.

Limuzyna podjechała, gdy tylko wyszli z budynku. Hunter gestem dłoni odsunął kierowcę i osobiście otworzył Gillian tylne drzwi.

– Może nie będzie to aż tak skomplikowane, jak myślisz, kochanie. – Zachęcające, kuszące spojrzenie Gillian, rzucone mu przez ramię, gdy wsiadali do limuzyny, miało go rzucić na kolana.

– Ach, tak?

Jej niewiarygodnie piękne oczy błyszczały z pożądania i szczęścia, jak dwa kamienie szlachetne, które zdobiły jej szyję.

– Nie mam nic pod spodem.